



Miranda Jarrett



***Niekończąca się
przygoda***

Rozdział pierwszy

Aston Hall, Kent Czerwiec 1784 roku

Zwiewna suknia z muślinu lekko zafalowała, gdy lady Mary Farren dołączyła do tancerzy, wirujących na parkiecie sali balowej. Tego wieczoru pogoda dopisała. Było tak ciepło, że służba otworzyła okna, aby wpuścić do środka choćby lekki powiew wiatru. W migotliwym blasku świec podekscytowani dżentelmeni wprost wychodzili z siebie, aby zaprezentować się z jak najlepszej strony, a rozszczebiotane damy usiłowały przykuć ich uwagę. Wszyscy bez wyjątku żywili przekonanie, że należą do elitarnego grona śmietanki towarzyskiej niewielkiej społeczności małego hrabstwa.

Osiemnastoletnia Mary nie знаła innego życia, gdyż jako najstarsza córka księcia Aston nie otrzymała dotąd przyzwolenia na kontakt z szerokim światem. Teraz jednak, już za trzy dni, wszystko miało się zmienić.

Nawet wtedy, gdy muzycy dograli ostatnie takty, a partner nisko się przed nią skłonił, Mary bezustannie rozmyślała o tym, co jeszcze pozostało do zrobienia przed wyjazdem. Szyta na miarę odzież podróżna bezpiecznie spoczywała w okutych mosiądzem kufrach, dokumenty były przygotowane, Mary zgromadziła też stosowne listy polecające, mapy, przewodniki.

- Droga Mary, za pozwoleniem. - Panna Wood, zaufana guwernantka, a także przyszła towarzyska podróży Mary, podeszła do podopiecznej i złożyła pulchne dłonie na prostej szarej sukni. - Słówko na osobności, bardzo proszę.

Mary bez wahania skinęła głową i ruszyła przodem ku okiennej wnęce. Pomyślała, że głośna muzyka i panujący wokół harmider skutecznie zagłuszą treść rozmowy.

Dwudziestoosmioletnia panna Wood konsekwentnie pracowała na opinię osoby dyskretnej i nobliwej. Z tego względu wyłącznie konieczność mogła ją sprowadzić do sali balowej, gdzie czuła się równie nieswojo jak kruk wśród rozbawionych papug. Od czasu długotrwałej choroby i śmierci księżnej, która odeszła z tego świata cztery lata temu, Mary przejęła wiele matczynych obowiązków względem ojca. Dlatego właśnie guwernantka miała pełne prawo przerwać wychowawcze zabawę.

Mary modliła się w duchu, aby nic nie opóźniło wyjazdu, gdyż koniecznie chciała pierwszy raz posmakować życia z dala od Aston Hall.

- Co się stało, panno Wood? - spytała cicho. W jej umyśle mnożyły się fatalne scenariusze i dramatyczne katastrofy: wypadek służącego, przykra przygoda gościa, ponure wieści z dalekich stron. Mogło się zdarzyć wszystko.

- O czym powinnam wiedzieć?

- Chodzi o twoją siostrę, Mary - wyjaśniła panna Wood.

- Ojciec chce, aby do niego dołączyła, a tymczasem nigdzie nie mogę jej znaleźć.

- Diana znikła?

Mary zaniepokoiła się nie na żarty. Nie obawiała się, że jej młodszej siostrze przytrafiło się coś złego. Piękna i beztroska Diana bezustannie sprawiała kłopoty, ale jak dotąd wychodziła ze wszystkiego obronną ręką. Budziła ogromne zainteresowanie mężczyzn, z czego skwapliwie korzystała. Kokieterię miała we krwi i chyba nic na to nie mogła poradzić. Mary była odpowiedzialna oraz rozważna, zdawało się, że siostra jest jej całkowitym przeciwieństwem. Trudno byłoby zliczyć, ile razy Mary musiała łagodzić ojcowski gniew po tym, jak Diana w towarzystwie przystojnego młodego dżentelmena niefrasobliwie wybrała się na kolejną przechadzkę po okolicy. Balansowanie na granicy skandalu sprawiało jej ogromną przyjemność, jakby nie uświadamiała sobie, że stawką w grze jest jej małżeństwo z godnym szacunku mężczyzną. Raz po raz składała uroczyste przyrzeczenia, że się zmieni, lecz już parę dni później ponownie błagała siostrę o wstawiennictwo u

ojca. Wystarczyło, że pod jej oknem pojawił się galant, a od razu zapomniała o rozsądku.

- Panno Wood, czy Diany na pewno nie ma w pobliżu? - spytała Mary. W duchu modliła się, aby guwernantka choć raz nie miała racji. - Jestem pewna, że najdalej pół godziny temu widziałam ją na parkiecie.

Okrążyła twarz panny Wood wyraźnie pojaśniała.

- Mary, czy pamiętasz jej partnera? - zapytała z nieskrywaną nadzieją w głosie. - Może przebywa teraz w jego towarzystwie, a my.

- Na wyraźną prośbę ojca tańczyła z doktorem Canningiem. - Mary westchnęła. Doktor Canning liczył sobie co najmniej siedemdziesiąt lat, nosił okulary o szklach grubych niczym denka butelek i dramatycznie doskwierały mu kłopoty z pamięcią. Kogoś takiego trudno byłoby uznać za atrakcyjnego partnera młodej dziewczyny. - To bardzo miły starszy pan, niemniej wątpię, żeby Diana chciała zaszyć się z nim w altanie lub w innym zakątku ogrodu.

- Zajrzałam już do altany.

Panna Wood obejrzała się przez ramię, by zerknąć na ojca dziewcząt, który stał w towarzystwie kilku przyjaciół. Choć zabawa trwała w najlepsze, nie wyglądał na zadowolonego. Przywołał Dianę i jako księżę oraz ojciec oczekiwał bezwarunkowego posłuszeństwa. Córka nie zjawiała się jednak, więc ponurym wzrokiem spoglądał na Mary i guwernantkę. Ręce trzymał założone na piersi i całą swą postawą manifestował zniecierpliwienie.

- Sprawdziłam też jej sypialnię - dodała panna Wood pośpiesznie. - Byłam w szkolnej sali, w bibliotece, w bawialni, nawet w serowni.

- Panno Wood, proszę nawet nie wspominać o serowni! - To, co ubiegłego lata wydarzyło się w tym pomieszczeniu między Dianą a pewnym młodym korepetytorem z Oksfordu, prowokowało niesforną dziewczynę do chichotu w chustkę za każdym razem, gdy ktoś przy stole sięgał po masło. Mary nawet nie chciała się domyślić, co zaszło.

- Może Diana udała się za potrzebą? Panna Wood pokręciła głową.

- Pokojówka nie widziała jej przez cały wieczór...

- Stajnia - oświadczyła nagle Mary.

Ze zgrozą przypomniała sobie, że tego ranka Diana uśmiechała się zalotnie do stajennego o potężnej muskulaturze. Pomagał jej wskoczyć na siodło i niestosownie odpowiedział uśmiechem. Mary uznała wówczas, że jako nowy pracownik jeszcze nie zna należnego sobie miejsca. Teraz wyciągnęła zupełnie inne wnioski. Co powiedziałby ojciec, gdyby się o tym dowiedział!

- Stajnia? - zdumiała się panna Wood. - Uważasz, że...

- Tylko zgaduję - przerwała jej pośpiesznie Mary. - Panno Wood, poszukam Diany, a pani niech powie ojcu...

- Przykro mi, ale na to nie wyrażę zgody - zaprotestowała stanowczo guwernantka. - Nie puszczę cię nocą do stajni, na dodatek samotnie.

- Ale jeśli uda mi się znaleźć Dianę, zanim.

- Twoje miejsce jest tutaj, na balu - upierała się panna Wood. - Pozostaniesz z szanownymi gośćmi księcia, a ja poszukam Diany.

- To moja siostra - podkreśliła Mary i dyskretnie zerknęła na rozżłoszczonego ojca. - Sama ją odnajdę.

Panna Wood nie wydawała się przekonana.

- Ale księżę...

- Proszę przekazać ojcu, że Diana za moment przyjdzie. Nawet się nie zorientuje, że opuściłam salę.

Zanim guwernantka zdołała ponownie zaprotestować, Mary podeszła do najbliższych drzwi i wymknęła się do ogrodu. Pośpiesznie zbiegła po kamiennych schodach i ruszyła, nieco unosząc suknię, aby się nie potknąć. Z dala od płomieni świec było przyjemnie chłodno. Głęboko oddychała rześkim powietrzem, aby przygotować się na to, co mogła za moment ujrzeć. Nie miała pojęcia, gdzie podziewa się Diana i w jakiej sytuacji ją zastanie.

W głębi duszy liczyła na to, że nie znajdzie siostry w stajni. W tym samym czasie, gdy Mary w towarzystwie panny Wood wyruszy na kontynent, Diana i ojciec pojedą do Londynu. Diana miała zostać przedstawiona na dworze królewskim. Przy swojej urodzie i odrobinie szczęścia mogła liczyć na upolowanie zamożnego męża o odpowiedniej pozycji. Przyszła debiutantka po wielokroć podkreślała, że tego właśnie

oczekuje od życia, więc Mary nie pojmowała, jak mogła ryzykować przyszłość dla flirtu z parobkiem.

Celowo trzymała się cienia, by nikt jej nie zobaczył. Na podwórzu przed stajniami tłoczyły się powozy gości, a nieco znudzeni woźnice i stangreci przesiadywali na stopniach pojazdów lub na trawniku, gawędzili, zaczepiali służące i od czasu do czasu wybuchali gromkim śmiechem. Mary nigdzie nie spostrzegła Diany ani przystojnego parobka. Domyśliła się, że oboje zaszyli się gdzieś w ustronnym miejscu.

Czy Diana naprawdę musi ponownie stawiać siostrę w kłopotliwej sytuacji? Lekko myśląca dziewczyna z pewnością wmówiła sobie, że nie łamie żadnych przysiąg, bo przecież flirt ze stajennym się nie liczy. Mary nie cierpiała występować w roli psa łańcuchowego, lecz jeszcze bardziej nie znosiła przykrych rozmów z ojcem. Kochała siostrę i starała się okazywać jej uczucie, zwłaszcza że w ich życiu brakowało matki. Była jednak wyczerpana pozostawaniem w cieniu rozbrykanej Diany i bezustanną gotowością do ratowania jej z opresji. Skrycie marzyła o tym, żeby być po prostu sobą, a nie córką jego książęcej mości lub siostrą lady Diany. Miała nadzieję, że na kontynencie, daleko od Aston Hall, te marzenia wreszcie się spełnią.

Pośpiesznym krokiem przeszła wzdłuż muru i stanęła przy bocznych drzwiach do stajni. Konie z niepokojem zarżały na widok nieoczekiwanego gościa, gdy Mary mijając boksy. W ciemnym i pustym budynku nie dostrzegła niczego podejrzanego, lecz wolą się upewnić.

- Diana? - zawołała. - Jesteś tutaj?

Nikt nie odpowiedział. Mary w gruncie rzeczy nie oczekiwała, że jej siostra z radosnym okrzykiem wyskoczy z siana, jak dawniej, gdy w dzieciństwie bawiły się w stodole. Od tamtych czasów wiele się zmieniło i miała prawo oczekiwać od Diany większej odpowiedzialności.

Odkaszlnęła i krzyknęła głośniejszym głosem:

- Diana, ojciec cię szuka! Musisz natychmiast wracać na tańce.

Słyszysz?

Ponownie nikt nie odpowiedział, lecz tym razem nabrała pewności, że słyszy odgłos, którego nie mógł wydać koń. W jednym z odleglejszych

boksów ktoś chichotał. Mary nie potrzebowała dodatkowych dowodów. Wzięta do ręki jedną z lamp, które wisały przy drzwiach, i pomaszrowała w głąb stajni. Latarnię trzymała nad głową.

- Diana, mówię poważnie - ostrzegła siostrę ze złością. Migotliwy płomień rzucał rozedrgane światło na deski w ścianach. - Wyjdź, bo cię wykurzę, tak jak psy ojca wykurzają lisa z nory. Zaraz się przekonasz!

Znieruchomiła przy ostatnim boksie i po chwili wahania gwałtownie otworzyła drzwi i jednocześnie wysoko uniosła latarnię.

Stajenny i Diana leżeli w sianie, spleceni w miłosnym uścisku. Żółta suknia dziewczyny była bezwstydnie zadarta, a śniada dłoń parobka władczo spoczywała na białym udzie, wysoko ponad jaskraworóżową podwiązką. Diana wyszarpnęła kochankowi koszulę z bryczesów i zarzuciła mu ręce na szerokie nagie plecy. Jej jasne, długie włosy były częściowo rozpuszczone, na policzkach widniały rumieńce. Wyglądała raczej jak ladacznica niż córka księcia.

- Mary! - pisnęła i przywarła jeszcze mocniej do stajennego, jakby chciała się ukryć za jego muskularnym torsem.

- Co tutaj robisz? Szpiegujesz mnie i Willa?

- Nikogo nie szpieguję. - Mary zarumieniła się, zakłopotana. - Ojciec chce cię natychmiast widzieć i dobrze wiesz, że musisz iść. Na miłość boską, usiłuję cię bronić przed samą sobą!

- Ejże, paniusiu, więcej humoru! - Parobek przekręcił się na plecy i obrzucił Mary lubieżnym spojrzeniem: Jedną ręką przytrzymał Dianę w talii, drugą skinął zachęcająco. - Zawsze mówię, że życie jest po to, co by korzystać! Chodź no tu, dzierlatko, znajdzie się pode mną miejsce i dla ciebie. Siostrunia nie będzie ci mnie skąpiła, co?

Zanim Mary zdołała zareagować, parobczak chwycił ją za rękę i pociągnął ku sobie. Zbyt zbulwersowana, aby zebrać myśli, usiłowała wyszarpnąć dłoń, uwięzioną w wielkich paluchach stajennego. Latarnia zakotłosała się niebezpiecznie...

- Will, przestań! Dość! - krzyknęła Diana. - Mary, daj spokój, to nie tak... Wielkie nieba, ojciec... Och nie, ojciec!

Serce Mary waliło jak młotem, kiedy się odwróciła. Diana nie

żartowała, nie drażniła się z siostrą. Przy bramie naprawdę stał ich ojciec, rozwścieczony i ponury. Jeszcze nigdy nie widzieli go w takim stanie. Panna Wood i Robinson, masztalerz, niepewnie wyglądali z za jego pleców.

Mary bezsensownie dygnęła, najpiękniej jak się dało w takich okolicznościach. Dlaczego panna Wood nie pozwoliła jej doprowadzić sprawy do końca? Czy naprawdę musiała wzywać ojca na pomoc?

- Ojczy, proszę... - wymamrotała Diana bez tchu. - To nie tak jak myślisz...

- To prawda, ojczy - przytaknęła Mary pośpiesznie. - To wcale nie tak. Parobek puścił Dianę i dłonią potarł czoło.

- Błagam o wybaczenie, miłościwy panie, ale jaśnie panienska dobrze mówi. To nie tak, choć myślałby kto, że tak...

- Powściągnij język, przeklęty durniu! Nie życzę sobie żadnych wyjaśnień. Nie jestem ślepy, wiem, co tu wyprawialiście!

- Ojczy, tylko nie wiń Mary, zaklinam cię! - Diana obciągnęła suknię i usiłowała poprawić skołtunione włosy. - Ona tylko...

- Powtarzam po raz ostatni: żadnych wyjaśnień! - wykrzyknął książę. - Wasze usprawiedliwienia niczego nie zmieniają.

- Wcale się nie usprawiedliwiamy, ojczy. - Mary była załamana. - To tylko... My właściwie...

- Dość! - Książę gwałtownie machnął ręką w powietrzu na znak, że rozmowa jest skończona. - Doprowadźcie się do porządku. Chcę widzieć was obie w bibliotece.

Okręcił się na pięcie i energicznie odmaszerował. Panna Wood podreptała za nim, a masztalerz chwycił stajennego za ramię i wyciągnął z boksu. Mary spojrzała na siostrę. Diana zwiesiła głowę. Było już za późno na tłumaczenie, wyrzuty sumienia, skruchę.

Nie pozostało im nic poza okazaniem posłuszeństwa.

Godzinę później Mary siedziała na skraju ławki przed drzwiami biblioteki. Stopy mocno opierała na podłodze, dłonie zacisnęła na udach. Diana pierwsza poszła na rozmowę z ojcem. Choć Mary niewiele słyszała przez zamknięte drzwi, była świadoma, że ojcowski gniew nie

minął. Płacze i szlochy Diany najwyraźniej nie zrobiły na księciu żadnego wrażenia.

Mary wiedziała, że lada moment zostanie wezwana przed oblicze ojca i spróbuje załagodzić jego wściekłość. Potem znowu przeprowadzi poważną rozmowę z siostrą i nakłoni ją do jeszcze jednej obietnicy poprawy. Ponownie doprowadzi do zawarcia niepewnego rozejmu i uspokoi rozhuśtane nastroje w Aston Hall.

Za zamkniętymi drzwiami rozległ się donośny brzęk rozbijanej porcelany. Mary skuliła się, wciskając głowę w ramiona niczym żółw, który w obliczu zagrożenia usiłuje ukryć się w skorupie. Za trzy dni popłynie do Francji i zostawi za sobą wszystkie zmartwienia...

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

- To okrutnik, Mary, potworny okrutnik - wykrztusiła roztrzęsiona Diana. - Nie ma litości ani dla mnie, ani dla ciebie... - Bezsilnie osunęła się na podłogę i chwyciła siostrę za rękę. Żółta suknia rozpostarła się wokół niej niczym barwna kałuża. - Wybacz mi, błagam!

- Mną się nie przejmuj, Di - wyszeptała Mary pośpiesznie. Wiedziała że lada moment nadejdzie jej kolej na przykrą rozmowę. - Co go najbardziej zirytowało? Szybko, mów natychmiast! Co muszę powiedzieć, aby wrócił mu dobry nastrój?

Diana tylko pokręciła głową. Po jej twarzy nadal sływały wielkie łzy.

- Czy kiedykolwiek mi wybaczysz? Miałam ochotę rozerwać się przez jedną krótką chwilę i do czego doprowadziłam! Z mojej winy obie będziemy cierpieć, ojciec mi tego nie daruje...

- Mary, do środka! - rozkazał ostro książę. - Wiem, że czekasz za drzwiami, zawsze okazywałaś mi posłuszeństwo.

- Nie martw się, siostrzyczko, na pewno wszystko uda się naprawić. - Mary z uśmiechem uściśnęła dłonie Diany. Dumnie uniosła głowę i przestąpiła próg biblioteki.

- Nareszcie jesteś - powitał ją ojciec. Siedział w skórzanym fotelu, który odsunął od biurka.

Był wdowcem, lecz trzymał się doskonale. Płaski brzuch ukrywał pod jedwabną kamizelką, a dokądkolwiek poszedł, wokoło rozlegały się

szepty i westchnienia rozanielonych pań. W przeciwieństwie do większości dżentelmenów w jego wieku, postanowił iść za modą i zrezygnował z peruki. Miał krótko przystrzyżone, ciemne włosy, tu i ówdzie przyprószone siwizną. Gdy Mary stanęła przed ojcem, dostrzegła pulsującą na jego czole żyłę. Doskonale wiedziała, że to fatalny znak.

- Twoja siostra ponownie okryła mnie hańbą - zaczął gniewnie. - Tym razem nawet ty jej nie obronisz.

- To prawda, dlatego nie zamierzam tego robić - odparła ostrożnie Mary. Chciała jak najszybciej uspokoić ojca. - Nie proszę cię o wybaczenie dla niej, lecz o litość.

- Dajże spokój! - prychnął z dezaprobatą. - Spodziewałem się po tobie większej pomysłowości.

- Miłosierni nie muszą być pomysłowi, ojczu.

- Przede wszystkim oczekuję od ciebie rozumu. - Nerwowo zabębnił palcami w rzeźbioną, mahoniową poręcz fotela. - Wyjaśnij mi, dlaczego właściwie bronisz Diany? Zbliżyła się do tego łotra jak pospolita dziewczka. Zupełnie jakby jej dobre imię i moja godność osobista nie były dla niej nic warte.

- Ojczu, nie chciała cię zdenerwować, jestem tego pewna. Po prostu zachowała się nieodpowiedzialnie.

- Nieodpowiedzialnie? Mało powiedziane. Pozwoliła, aby jakiś prostak pokładał się z nią na sianie. - Książę ze złością uderzył otwartą dłońią w poręcz fotela. - Jak mam się nie denerwować?

- Tak, ojczu - odparła Mary. Z doświadczenia wiedziała, że potakiwanie ojcu jest najskuteczniejszą taktyką. Książę zwykle nie przyjmował do wiadomości innej odpowiedzi poza twierdzącą. - To oczywiste, że w takiej sytuacji jesteś zdenerwowany.

- Wobec tego dlaczego twoja siostra bezustannie okrywa mnie hańbą? - Książę zerwał się z fotela, odwrócił plecami do córki i wyjrzał przez okno. - Najwyższa pora, aby wyszła za mąż. Znajdziemy jej sprawnego osiłka. Pokaże Dianie, gdzie jest jej miejsce i wypełni jej brzuch. Tego właśnie jej trzeba: uczciwego męża i gromady dzieci. Nie ma lepszego sposobu na to, aby z nieokiełznanej młódki uczynić

stateczną kobietę.

- Tak, ojciec - przytaknęła Mary. - Gdyby tylko Dianie udało się znaleźć dzentelmena, którego pokocha całym sercem...

- Nawet nie wspominaj o takich dyrdymałach! Miłość! Twoja siostra w ogóle nie potrzebuje tej nedorzecznosci.

- Masz rację, ojciec - przyznała cicho Mary. Pamiętała, że jej rodzice byli sobie oddani i kochali się całym sercem. Od śmierci żony ojciec mówił o miłości z goryczą i pogardą. Nie wspominał matki dziewcząt z czułością, jakby jej ostatnia, wyniszczająca choroba stanowiła dla niego osobisty afront. - Gdyby jednak udało się znaleźć odpowiedniego partnera w Londynie, a ty zaaprobowałbyś związek, wówczas...

- Nie ma mowy o żadnym wyjeździe do Londynu! Jak miałbym przedstawić Dianę Jej Królewskiej Mości po tak skandalicznym zachowaniu?

- Przecież ani jeden z gości się o tym nie dowiedział - zaprotestowała Mary. - Tylko ten nieszczęsny stajenny mógłby cokolwiek wypaplać, a jestem pewna, że pan Robinson przemówi mu do rozumu i każe trzymać język za zębami.

- „Ten nieszczęsny stajenny” będzie miał najbliższe trzy lata na przemyślenia. Kazałem Robinsonowi odprowadzić go do komisji poborowej, aby dobrze służył marynarce Jej Królewskiej Mości, a nie mojej córce.

- Do komisji poborowej! - wykrzyknęła Mary, oszołomiona surowością kary. - Och, ojciec, chyba nie zamierzasz pozbyć się także Diany?

- Gdybym mógł, najchętniej zamknąłbym ją w klasztorze o jak najsurowszej regule - wyznał ponuro. - Poprosiłaś mnie jednak o litość dla tej dziewczyny, więc ją okażę.

- Przebaczysz jej? - W Mary odżyła nadzieja. - Zabierzesz ją do Londynu, na królewski dwór?

- Powiedziałem, że będę litościwy, a nie głupi - zauważył książe i odwrócił się do córki. - Diana pojedzie z tobą do Francji.

Rozdział drugi

Calais, Francja

Mosiężny dzwoneczek zadzwonił hałaśliwie pod sufitem, kiedy lord John Fitzgerald przekroczył próg zatęchłego sklepu Dumont's Antiquities. Musiała minąć chwila, zanim jego oczy przywykły do półmroku. Był tutaj wielokrotnie i dobrze wiedział, czego się spodziewać. Nie odstraszała go wilgoć ani grzyb na ścianach. Choć Dumont był Francuzem do szpiku kości, antykwariat nosił angielską nazwę, aby zachęcać w większości wyspiarską klientelę.

Chytry handlarz dawno temu przekonał się, że Brytyjczycy z nabożną czcią oglądają każdą drobinę kurzu na rupieciach, uznając brud za świadectwo autentyczności. Od podpisania ostatniego traktatu pokojowego między Anglią a Francją podróże na kontynent ponownie weszły w modę, więc przybytek Dumonta odwiedzały tłumy Brytyjczyków. Klienci szeroko otwierali oczy, słysząc wysrane z palca opowieści kupca, i ochoczo otwierali portfele, aby za wszelką cenę nabyć wszelkiego typu graty.

John miał swój rozum. Dysponował rzadkim darem odróżniania przedmiotów fałszywych od autentyków, a w dodatku nie bał się głośno kwestionować wartości eksponowanych towarów. W sklepie, którego właściciel żerował na ludzkiej naiwności, nie był mile widzianym gościem. Dumont dawno temu stracił nadzieję, że uda mu się okantować tego inteligentnego i wykształconego arystokratę.

- Ach, dzień dobry, jaśnie panie. - Dumont zrobił kwaśną minę. -
Jaśnie pan wrócił, aby mnie ponownie dręczyć?

- Dzień dobry i tobie, Dumont - przywitał się John poufale i z miejsca przystąpił do przeglądania brudnych przeładowanych półek. Niemal za każdym razem wypatrzył na nich coś godnego uwagi. Calais bardzo często było pierwszym i ostatnim przystankiem w jego podróżach po Europie, więc regularnie wpadał do antykwariatu. - Wróciłem, bo doszły

mnie słuchy, że otrzymałeś nową dostawę z Florencji.

- Jaśnie pan jest niczym rozbójnik, przychodzi ograbić starego człowieka - gderał kupiec. Z wielkim trudem wygramolił się zza lady. - Niechże mnie jaśnie pan wreszcie zostawi w spokoju.

- Wykluczone, przyjacielu - odparł John, ignorując złośliwą uwagę Dumonta. - Tak się składa, że raz na jakiś rzadki czas znajduję w tej stercie rupieci prawdziwy skarb.

Spędził poza Londynem ponad rok i jeszcze w tym tygodniu zamierzał wreszcie wrócić do stolicy Anglii. Potrzebował drobnego upominku dla zamożnej księżnej Cumberland, bliskiej przyjaciółki. Flirt z bogatą damą rozpoczął się ubiegłej zimy w Rzymie i tam zakończył. Rozstali się w zgodzie. John uważał jednak, że symboliczny prezent do świeżo zakupionego przez księżnę domu przy Grosvenor Square a gdyby jakimś cudem wyprostował ugiętą w locie nogę, jedna uskrzydłona stopa zwiłaby dobre dwa cale poniżej drugiej.

Dumont błędnie zinterpretował milczenie Johna i zbliżył się ostrożnie.

- Jaśnie pan nie może wyjść z podziwu? - spytał domyślnie. - Mieć w dłoniach taki zabytek to zaszczyt, błogosławieństwo, honor...

- Oszustwo - zauważył John spokojnie. - Dobry człowieku, wiesz równie dobrze jak ja, że ta marna figura nie ma nawet trzech lat, a co tu mówić o trzystu.

Dumont wysoko uniósł siwe brwi i wybałuszył oczy, jakby poczuł się zraniony do żywego.

- Och nie, jaśnie panie! - zawołał. - Wiem z najlepszego źródła, że ten przedmiot to autentyk! To niewiarygodne, że jaśnie pan oskarża mnie o mistyfikację...

- O nic cię nie oskarżam, Dumont, i nie mówię ci niczego, czego nie wiesz.

- Ależ jaśnie panie, nie rozumiem.

Mosiężny dzwonek zadzwieczał nad drzwiami. Dumont w jednej chwili odwrócił się w kierunku nowego klienta, zadowolony z okazji do zakończenia niewygodnej rozmowy. John również skierował wzrok ku wejściu. Na jego ustach pojawił się uśmiech.

Nic dziwnego. Do środka weszła młoda śliczna dziewczyna, której uroda jaśniała takim blaskiem, że zdawała się rozświecić brudne graty, walające się po sklepie. Bez wątpienia była Angielką, do tego zapewne majątną. Nosła kolczyki z perłami zacnej wielkości, na jej szyi lśnił złoty naszyjnik, a na nadgarstkach okrytych rękawiczkami z koziej skóry widniały bransolety do kompletu. Płaszcz i pelerynkę miała kosztowne, lecz sprzed kilku sezonów, z nadrukami przerośniętych tulipanów, które u modnej paryżanki wywołałyby zapewne lekki wstrząs estetyczny. Kwiaty zbyt mocno kontrastowały z kremową cerą wyspiarki oraz jej ciemnokasztanowymi włosami. Nie liczyła sobie więcej niż dwadzieścia lat, miała wąską, zgrabną talię, jędrne, okrągłe piersi i małe stópki.

John obejrzał ją pośpiesznie, lecz uważnie, podobnie jak brązowy posążek. Uśmiechnął się, gdyż rozbawiło go, jak energicznie zamknęła wytworną parasolkę słoneczną i wkroczyła do sklepu z wysoko uniesioną głową. Tuż za nią podążał strażnik i służący w jednej osobie. Wydawało się, że dziewczyna nie przyszła na zakupy, lecz przybyła na podbój obcego kraju, niczym doświadczony generał na czele armii.

Dumont odchrząknął dyskretnie i przyklepał sfatygowaną perukę.

- Jaśnie pan zechce mi wybaczyć, ale czuję się w obowiązku powitać damę...

- Idź, stary łotrze. - John ustawił się tak, aby dobrze widzieć całą scenę we wnęce przy oknie. - Jakże miałbyś oprzeć się sposobności oskubania ładnej klientki?

Dumont był już przy dziewczynie, kłaniał się jej i prawił uprzejmości tak, jakby gościł królową.

- Dzień dobry, droga pani - powiedział po angielsku. Podobnie jak John, z miejsca rozpoznał jej narodowość. - Pozwolę sobie powitać panią w moim skromnym sklepie. Jestem do pani wyłącznej dyspozycji, służę wszelką pomocą.

- Chcę obejrzeć wszystkie dobre obrazy, które ma pan na sprzedaż.

- Może być pani pewna, że wszystkie obrazy z mojego sklepu są najwyższej jakości - podkreślił Dumont. - W przeciwnym razie w ogóle by tutaj nie trafiły, mademoiselle.

- Więcej szacunku! - rozkazał surowo służący. - Jaśnie wielmożna pani nie jest byle mamzelą. To lady Mary Farren, córka jaśnie wielmożnego księcia Aston.

Młoda dama zmarszczyła brwi.

- Winters, daj spokój - poleciła. - To nie jest konieczne. Tego człowieka nie obchodzi, kim jestem.

Akurat ta sprawa ogromnie obchodziła Dumonta. John w jednej chwili wyobraził sobie, jak w głowie sklepikarza podskakują ceny na wszystkie towary w sklepie. Córki angielskich księżąt nieczęsto gościły w brudnych portowych miastach, takich jak Calais.

John się zdumiał, że córka księcia nie ma męża. Ciekawe, pomyślał. Dlaczego nie siedzi w Londynie, próbując upolować odpowiedniego partnera? Tak czyniły wszystkie inne arystokratki w jej wieku. Dziewczyna była urodziwa i bez wątpienia z okazałym posagiem. Czyżby w grę wchodził fascynujący skandalik? Bardzo interesujące. Może udałoby się ją przekonać, żeby dotrzymała mu towarzystwa, nim będzie musiał wyruszyć do Londynu...

- Och, jaśnie pani, proszę o wybaczenie, skąd mogłem wiedzieć, że goszczę damę! - zawołał handlarz. - Jestem zaszczycony, chyba jaśnie pani nie wątpi?

- Tak, tak, dziękuję - mruknęła lady Farren, ewidentnie niedowierzając kupcowi. - Teraz chętnie obejrzałabym obrazy.

John ponownie się uśmiechnął. Przypadła mu do gustu ta bezpośrednia kobieta, która nie dała się nabrać na banalne pochlebstwa.

- Jak najbardziej. - Dumont ruszył wzdłuż ściany, wypełnionej portretami osób o poważnych minach, i przystanął przed idylliczną scenką z dwoma satyrami, grającymi na fletach i deptającymi kwiaty kozimi nogami. - Obraz najwyższych lotów, jaśnie pani. Szkoła Claude'a, a kto wie, może dzieło wyszło spod pędzla samego mistrza.

Mary nie odpowiedziała. Pochyliła się w milczeniu, aby lepiej widzieć obraz, i sceptycznie zmarszczyła czoło. Dumont tak łatwo się nie zniechęcał.

- Artysta doskonale operował pędzlem, czyż nie? - spytał, nie oczekując odpowiedzi. - Taki obraz jak ten, choć nawet w połowie nie tak wyborny, w ubiegłym tygodniu sprzedałem pewnemu angielskiemu dzentelmenowi. Zachwycony, zawiózł go do swojej posiadłości.

- Ja nie powiesiłabym takiego obrazu w domu - odparła Mary i cofnęła się o krok. - Kto chciałby dzień w dzień, przy podwieczorku, oglądać okropnych satyrów?

- Ach, jaśnie wielmożna pani ma wyrobiony smak - wymamrotał Dumont. - I sprecyzowany gust.

- Jeśli chodzi o mój gust, to przede wszystkim cenię sobie wysoką jakość - oświadczyła przybyła z przekonaniem.

- Nie satyrowie mi przeszkadzają, lecz nieudolność, z jaką ich namalowano. Obraża pan Claude'a, sugerując, że ten bohomas wyszedł spod jego pędzla.

- Miałem na myśli szkołę Claudea, jaśnie pani - zapewnił ją pośpiesznie Dumont i przesunął się do ponurej martwej natury, przedstawiającej zwiędłe kwiaty i zgniłe owoce.

- Może jaśnie pani woląaby nieco głębsze w wymowie arcydzieło, przypomnienie o śmierci i ostrzeżenie przed zgubnymi skutkami światowego życia.

- Prawdziwa dama nie potrzebuje takiego memento - zauważyła Mary z godnością. - Ale ten obraz mi się podoba.

Z gracją obeszła Dumonta i przykucnęła przed opartym o ścianę małym dziełem. Dłonią w rękawiczce nieco odsunęła ciężką, złotą ramę i uśmiechnęła się triumfalnie.

Dumont zmarszczył brwi.

- Ten, jaśnie pani? Och nie, obawiam się, że nie... John z narastającym zainteresowaniem obserwował przebieg zdarzeń. Z miejsca obok okna nie widział obrazu zasłoniętego przez rąbek jasnej sukni damy. Czyżby znała się na sztuce? Czy ujęła ją uśmiechnięta pastereczka albo szczenię o cielejących oczach, czy też odkryła dzieło rzeczywistej wartości?

Lady Farren podniosła wzrok na Dumonta. Na jej twarzy malowało się niedowierzanie.

- Nie rozumiem, z czego wynikają pańskie obawy. To bardzo zacny obraz, wręcz fenomenalny, i wcale nie straszny. Dlaczego nie zaprezentował mi go pan w pierwszej kolejności?

Zdumiony John zauważył grymas niezadowolenia na twarzy antykwariusza, który z założonymi rękami niepewnie przestępował z nogi na nogę.

- To nowy przedmiot w sklepie, jaśnie pani, a ponieważ wierzę w uczciwe traktowanie klientów, muszę wyznać, że nic nie wiem o autorze obrazu ani o jego historii. Bez tej wiedzy nie mogę go w dobrej wierze pani sprzedać.

- Nie może mi go pan sprzedać? Nie może pan czy nie chce?

- W cokolwiek jaśnie pani jest skłonna uwierzyć. - Dumont wyrwał obraz z rąk Mary i wepchnął go za ladę, aby nie mogła go dosięgnąć. - Żałuję, ale muszę być nieustępliwy. Ten obraz nie jest na sprzedaż.

John w końcu uznał, że tego za wiele.

- Dumont, co w ciebie wstąpiło? - Wyszedł z wnęki okiennej. - Dobrze wiesz, że prośbom damy się nie odmawia. Zapewniam panią, że maniere tego człowieka są zazwyczaj całkiem odmienne.

Mary momentalnie się wyprostowała i mocno zacisnęła dłonie na rączce parasolki.

- Bardzo mi przykro, ale obawiam się, że pana nie znam - oświadczyła z wyższością.

Dumont machnął dłonią.

- Lady Mary Farren. Lord John Fitzgerald.

- Jestem zaszczycony. - John ukłonił się szarmancko. - Pozostaję do pani dyspozycji i jestem gotów pełnić rolę rycerza w walce z tym oto smokiem.

Lady Farren nie wydawała się rozbawiona.

- Nie przypominam sobie, abym wzywała na pomoc rycerza - wycedziła lodowatym tonem. Nawet nie próbowała uśmiechnąć się do Johna.

- Wcale pani nie musiała - zapewnił ją.

Miał nadzieję, że w końcu uda się rozbroić tę uroczą istotę. Kobiety

nigdy nie traktowały go tak oschle. Wiedział, że jest dobrze zbudowany, miał zaledwie dwadzieścia dziewięć lat i był tak przystojny, że większość dam chętnie odwzajemniała jego uśmiech. Nie uważał się za olśniewającego piękniśa, lecz oczekiwał przychyłnej reakcji na swoje starania. Tymczasem lady Farren zachowywała się obojętnie, wręcz oziębłe, i to go zdumiało. Może niepotrzebnie zaprzętał nią sobie głowę? Tego nie wiedział. Nie miał też pojęcia, czy nie lepiej byłoby machnąć ręką i poszukać innego obiektu adoracji. Postanowił jeszcze nie dawać za wygraną.

- Dumont, daj spokój. Pokaż mi ten obraz, sam chętnie...

- Wasza lordowska mość, jestem pewna, że sobie poradzę i bez pańskiej pomocy sfinalizuję transakcję - przerwała mu. - Nie zawitałabym do tego sklepu, gdybym nie wierzyła we własne siły.

- Och, to nie jest sprawa wiary - zaprotestował John i odstawił figurkę Merkurego na ladę. - Dobrze by było, gdyby ktoś panią wspierał w negocjacjach z monsieur Dumontem.

- Nie potrzeba mi wsparcia - orzekła oschle. - Potrafię samodzielnie uporać się z problemami domu i posiadłości ojca, z pewnością umiem też wybrać najodpowiedniejszy obraz.

Uśmiech powoli znikł z ust Johna. Postanowił spróbować innej taktyki.

- Nic zatem dziwnego, że pani ojciec darzy panią tak ogromnym zaufaniem. Kto inny zapewne nie pozwoliłby córce na samotne wyprawy do sklepów.

- Ojciec ufa mi do tego stopnia, że zgodził się, abym samodzielnie wyjechała za granicę. Mógł spokojnie zostać w Anglii, bo we mnie wierzy.

- Naprawdę podróżuje pani sama? - John wydawał się oszołomiony. Młode angielskie damy na kontynencie zwykle były otoczone przez podstarzałe ciotki oraz przyzwoitki. Nikt pani nie towarzyszy w Calais?

- Dość tych pytań, wasza lordowska mość - wtrącił ostrzegawczo służący i stanął między Johnem a Mary. Był to potężnie zbudowany mężczyzna o imponującym wzroście i John wcale nie miał ochoty się z

nim klócić. - Lady Farren nie musi na nie odpowiadać.

Mary westchnęła ze zniecierpliwieniem i stanęła pomiędzy służącym a Johnem.

- Podróżuję z siostrą oraz naszą guwernantką i służącymi - odparła szczerze. - Jak więc pan widzi, „samodzielnie” oznacza w moim wypadku „bez ojca”.

John wiedział swoje. Bez ojca i innych męskich krewnych była równie bezbronna, jakby podróżowała sama.

- Zbiera pani dzieła sztuki - zauważył domyślnie. - Proszę mi jednak powiedzieć, lady Farren, czy w swojej opinii jest pani *connoisseur* czy też tylko *dilettante*?

Wyraźnie się zawahała. Właśnie o to mu chodziło.

- Nie jestem pewna, czy pasuję do któregośkolwiek z tych określeń - odparła w końcu.

John z uśmiechem pomyślał, że jego podejrzenia się potwierdziły. Dama nie rozumiała znaczenia tych słów. Było niemal pewne, że piękna Mary jest taką samą ignorantką, jak każda inna angielska podróżniczka, która nie zauważała różnicy między *bonjour* a *buongiorno*.

- Och, mniejsza z tym. - Lekceważąco machnął ręką. - Niepotrzebnie pytałem, postąpiłem nie fair.

- Lordzie Fitzgerald, doskonale zdaję sobie sprawę z własnej ignorancji - oznajmiła podniesionym głosem Mary. Świetnie wyczuła protekcyjną nutę, której Johnowi nie udało się całkiem wyeliminować. - Mojego ojca zawsze dręczyła obawa, że zbyt się wykształcę i tym samym stracę na atrakcyjności w oczach mężczyzn. W rezultacie moja wiedza opiera się na tym, co panna Wood zdołała ukradkiem mi przekazać. Karmita mnie informacjami niczym smakotkami kradzionymi z kuchni.

- Proszę o wybaczenie, lady Farren - zmitygował się. - Nie zamierzałem...

- Przeciwnie, zamierzał pan. Proszę nie udawać.

- Nie udaję - zaprotestował, choć doskonale wiedział, że mija się z prawdą. - Po prostu jestem uczciwy.

- Tak samo uczciwy jak monsieur Dumont. - Dobitnie postukała palcem w ladę. - Jak pan widzi, jestem *dilettante* czy też wielbicielek sztuki, jak kto woli. Niestety, moje wykształcenie w tej dziedzinie jest zbyt płytkie, aby przekuć zainteresowanie na obszerną wiedzę, godną *connoisseur*. Nie mogę udawać znawczyni, skoro jeszcze nie zawitałam do galerii w Paryżu oraz Rzymie i nie podziwiałam na własne oczy dzieł wielkich mistrzów.

- Racja - przyznał John. Poległ od własnej broni, lecz nie miał nic przeciwko temu. Lady Farren podobała mu się teraz nieporównanie bardziej niż wówczas, gdy jej głównymi atutami wydawały mu się uroda, młodość i jasna skóra o barwie słodkiej śmietanki. - W takich okolicznościach byłoby to trudne.

- Właśnie. - W końcu zdobyła się na uśmiech. - Obecnie jestem zaledwie skromną kolekcjonerką. Kupuję obrazy, które przypadną mi do gustu, i nie kieruję się ich wartością ani znaczeniem. Dlatego tak bardzo zależy mi na nabyciu tego dzieła.

- Będzie je pani miała. - Pragnął, by ponownie się do niego uśmiechnęła. Miała drobne białe ząbki, które na samym przedzie zachodziły na siebie o milimetr, tworząc intrygującą niedoskonałość. - Dumont, obraz.

Francuz pokręcił głową równie stanowczo jak poprzednio.

- Z żalem muszę odmówić także jaśnie panu - powiedział. - Tego obrazu nie mogę sprzedać ani lady Farren, ani jaśnie panu.

- Wobec tego przynajmniej pokaż mi, co tam chowasz. - Jednym zwinnym ruchem John pochylił się nad ladą i złapał obraz za ramę.

- Och nie, jaśnie panie, błagam, proszę! - zawołał Dumont z przerażeniem, gdy John podniósł dzieło wysoko, poza zasięg jego rąk. - To nie dla jaśnie pana!

- Śmiem przypomnieć, że pierwsza zauważyłam obraz. - Mary pośpiesznie stanęła u boku Johna, jakby się obawiała, że rzuci się on do ucieczki wraz z łupem. - Jestem gotowa zapłacić każdą cenę, której zażąda ten człowiek.

- Mam tego świadomość.

John odwrócił ramę ku światłu z okna. Po raz pierwszy ujrzał, co przedstawia niewielkich rozmiarów dzieło, i cicho gwizdnął z wrażenia. To nie był banalny falsyfikat ani odpowiednio spreparowana tandeta. Wbrew oczekiwaniom Johna, na obrazie nie widniała też sentymentalna scenka rodzajowa, która mogłaby wzbudzić zainteresowanie młodej dziewczyny.

Obraz niewątpliwie liczył sobie wiele setek lat, co najmniej trzysta. Artysta namalował go na desce, a nie na płótnie rozpiętym na ramie. Dzieło pochodziło z Włoch, prawdopodobnie z Florencji, bo mistrzowie z północy nigdy tak nie malowali. Na drewnie widniał klęczący anioł z wielobarwnymi skrzydłami i z płomienistym, pomarańczowym mieczem w dłoni. Aureolę miał pokrytą grubą warstwą pozłoty, a jego szaty charakteryzowały się szczególnym jaskrawoniebieskim kolorem, uzyskiwanym wyłącznie dzięki farbie na bazie lazurytu. Prawdziwym arcydziełem było jednak oblicze anioła: surowe, srogie i wojownicze, jak przystało na anioła stróża.

- Piękne, prawda? - wyszeptała Mary i pochyliła głowę, aby lepiej się przyjrzeć. - Ktoś barbarzyńsko wyciął ten fragment z większej kompozycji, może z ołtarza, a rama zapewne jest nowsza.

- Czy potrafiłaby pani powiedzieć coś więcej o tym obrazie? - zapytał John.

Za bardzo skupiła uwagę na dziele sztuki, aby się zorientować, że nowy znajomy poddaje ją testowi.

- Z całą pewnością pochodzi z Florencji, z piętnastego wieku. Użyta farba to tempera, nie olej, bo jako spoiwa użyto jajek. Widać to po gładkości pociągnięć pędzlem, praktycznie niewidocznych. Autor? Może Giotto. Jednak nie. Przecież on tworzył wcześniej, w czternastym wieku. A zatem może ktoś z pracowni Fra Angelica, niewykluczone, że sam mistrz.

- Większość Anglików chętniej sięgnęłaby po dzieła późniejszych autorów, Guida lub Tycjana. Wcześniejsze obrazy, takie jak ten, są zwykle uważane za niedoskonałe.

- Wobec tego większość Anglików to głupcy, którzy nie dostrzegają

niewątpliwej wartości wcześniejszych prac -oznajmiła z oburzeniem.

John pomyślał, że lady Mary wie, co mówi.

- Skąd pewność, że to nie falsyfikat? Oderwała wzrok od obrazu i popatrzyła na Johna.

- Nie mam jej - przyznała niechętnie. - Uzdolniony fałszerz mógł namalować obraz choćby w ubiegłym tygodniu. Nie potrafię tego zweryfikować. Wiem tylko tyle, ile wyczytam w książkach i obejrzę na rycinach. Na własne oczy widziałam zaledwie garstkę starych włoskich arcydzieł, które nasz sąsiad przywiózł z wyprawy na kontynent. Dlatego potrafię odróżnić temperę od farby olejnej.

- Naprawdę? - zdumiał się John. Jeśli Mary rzeczywiście nie pobierała żadnych innych nauk, to trzeba przyznać, że jej opis dzieła był całkiem trafny. - Czy to możliwe, że posiadała pani taką wiedzę tylko z książek i z pamiętek z domu sąsiada?

- Pewnie to pana rozbawi, ale czuję, co chce mi przekazać obraz. Barwy, twarz anioła, nawet szlaczek, okalający jego szatę i biegnący przez skrzydła - wszystko to jest tak magiczne, że nie wątpię w autentyczność dzieła. Nawet najlepszy fałszerz nie potrafi odtworzyć magii obrazu.

- Teraz już wiem, że nie jest pani ignorantką - oświadczył John. - Obrazy rozmawiają wyłącznie z koneserami, a pomimo braku doświadczenia dysponuje pani mądrością wytrawnego znawcy. Potrafi pani nie tylko studiować dzieło, ale także wsłuchiwać się w jego głos.

- Właśnie dlatego nie mogę sprzedać obrazu! - Dumont ponownie usiłował przejąć temperę, która jednak wciąż pozostawała poza zasięgiem jego rąk. - Nawet ta młoda dama jest przekonana o jego wartości i znaczeniu.

- Młoda dama jest przekonana, że obraz należy do niej - odezwała się Mary z determinacją. - Albo będzie, kiedy tylko ustalimy cenę.

- Mów, Dumont, ile żądasz - przytaknął John. - Zapłacę, ile zechcesz, bo pragnę zrobić prezent mojej nowej pięknej znajomej.

- Nie zamierzam przyjmować od pana tego typu podarunków - oznajmiła Mary. - Chcę kupić ten obraz sama, z godnością i bez

niczyjego wsparcia.

- Pokłócimy się o to, kiedy Dumont ustali cenę. - John zmarszczył brwi i popatrzył z góry na handlarza, aby go onieśmielić i skłonić do posłuszeństwa. Był pewien, że Dumont w myślach podbijał cenę coraz wyżej za każdym razem, gdy lady Farren pochwaliła dzieło. Teraz John miał za zadanie zbić cenę do racjonalnego poziomu. - Pokaż, że naprawdę jesteś uczciwy, Dumont. Wiesz, że ciężko ci będzie sprzedać taki obraz. Większość klientów uzna go za potworne brzydactwo.

- On wcale nie jest brzydki! - oburzyła się Mary. - Przeciwnie... ,

- Obraz jest niemodny, Dumont, to jasne jak słońce -przerwał jej John stanowczo. - Lady Farren jest amatorką, której ten styl przypadł do gustu... Dam ci za tę temperę dziesięć liwrów.

Dumont się zasepił.

- Dlaczego jasnie pan mi nie wierzy? - poskarżył się. -Obraz nie jest na sprzedaż.

John westchnął ciężko. Proponował więcej, niż należało, a jednak z niezrozumiałych względów ogromnie pragnął kupić obraz i ofiarować go dziewczynie.

- Jedenaście liwrów to naprawdę szczodra oferta. Dumont nadal wyglądał na przygnębionego.

- Bardzo mi przykro, jasnie panie, ale nie mogę przyjąć pańskiej propozycji.

- Jesteś starym uparciuchem, Dumont - zirytował się John i zerknął na anioła. Mary miała słuszność: był magiczny. - Dwanaście liwrów i ani su więcej.

- Jasnie panie, żałuję całym sercem, ale nie mogę...

- Dam panu dwadzieścia luidorów, monsieur, i biorę obraz. - Nie czekając na odpowiedź, Mary wyciągnęła z kieszeni sukni małą sakiewkę i odliczyła ciężkie złote monety. - To aż nadto. Winters, odbierz obraz jego lordowskiej mości. Zabierzemy temperę do gospody, tam będzie bezpieczna.

Służący posłusznie wyciągnął ręce po obraz, lecz John go odsunął.

- Ejże, Dumont! - oburzył się. - Co się z tobą dzieje? Jestem twoim

stałym klientem!

- Jaśnie pani pomogła mi zagłuszyć wyrzuty sumienia - wyznał handlarz ze smutkiem, choć nikt nie wątpił, że jego chciwość weźmie górę nad lojalnością. Pośpiesznie zagarnął wyłożone na ladzie pieniądze i upchnął je w kieszonce czarnej kamizelki. - Z dumą i zadowoleniem ogłaszam, że obraz stanowi odtąd własność lady Farren.

- Jeśli łaska, wasza lordowska mość... - Służący pośpieszył Johna, który tym razem musiał ustąpić. Mary schowała sakiewkę, a sklepikarz i sługa wspólnie owinęli obraz starym płótnem i obwiązali sznurkiem.

John uświadomił sobie, że za moment lady Farren opuści sklep i bezpowrotnie zniknie z jego życia. Kobiety, które spotykał podczas podróży, zawsze odchodziły, pozostawiając po sobie miłe wspomnienia i niewiele więcej. Tym razem nie zamierzał do tego dopuścić. Nigdy nie przepadał za tajemnicami, wolał odpowiedzi poparte faktami. Pragnął wiedzieć, dlaczego córka angielskiego księcia wędruje po Calais bez odpowiedniej opieki. Musiał ustalić, skąd tak młoda dziewczyna czerpała wiedzę o sztuce, skoro nie miała doświadczenia. Zastanawiał się też, dlaczego jeden mały, niemodny obraz znaczył dla niej tyle, że zapłaciła za niego niebotyczną kwotę. Przede wszystkim jednak chciał się przekonać, co zrobić, aby Mary znowu obdarzyła go uśmiechem. Dover mogło zaczekać. Calais wydawało się teraz nieporównanie ciekawszym miejscem. Szarmanckim gestem nadstawił łokieć.

- Lady Farren, służę ramieniem - oznajmił. - Chętnie odprowadzę panią do gospody. To miasto bywa niebezpieczne dla angielskich podróżników.

Popatrzyła na jego rękę jak na jadowitego węża. Rzecz jasna, nie przyjęła propozycji.

- Pan, zdaje się, również jest Brytyjczykiem, prawda? - spytała. - A może Francuzem?

- Urodziłem się nieopodal Kerry, w Irlandii - wyznał. - Z tego względu jestem bardziej Brytyjczykiem niż Francuzem, Hiszpanem bądź Włochem. Opuściłem rodzinne strony tak dawno temu, że nie uważam ich za swój dom.

Przekrzywiła głowę.

- Każdy ma jakiś dom, do którego pragnie wracać.

- Zwą mnie obywatelem świata. - Wykonał zamaszysty ruch ręką, jakby chciał w ten sposób zobrazować wypowiedziane słowa. - Jestem wędrowcem, lady Farren. Mój dom jest tam, dokąd trafię.

Większość kobiet uznawała go za pociągającego romantyka, lecz Mary nie należała do większości.

- Jak można twierdzić, że ma się dom wszędzie i nigdzie? - spytała rzeczowo. - To bez sensu, proszę pana.

- Ależ to prawda - odparł z przekonaniem. - Potrafię wyliczyć najgościnniejsze gospody w Ameryce i najbardziej odpychające na Malajach. Calais znam jak własną kieszeń, nie zliczę, ile razy tutaj gościłem.

- Zatem z pewnością zdoła pan znaleźć sobie rozrywki. Nie muszę pana wspierać w poszukiwaniach - oświadczyła Mary i skinęła głową na służącego, który wsunął pod pachę obraz, aby otworzyć drzwi. - Miłego dnia, wasza lordowska mość.

Rozpostarła parasolkę przeciwstónczną i wyszła dostojnym krokiem.

- Za pozwoleniem, jaśnie panie - odezwał się Dumont.

- W tym rozdaniu kiepsko jaśnie panu poszło.

- Gra jeszcze nie jest skończona.

John patrzył przez szybę na nową znajomą. Nie wątpił, że ją odnajdzie. Poszukiwania nie powinny sprawić mu większych trudności, córki angielskich książąt należały do rzadkości w Calais. Wystarczyło popytać tu i tam, aby się dowiedzieć, gdzie zamieszkała. A potem... to się dopiero okaże, co potem. Póki co musiał poznać odpowiedzi na kilka pytań, aby zaskarbić sobie szczerą wdzięczność lady Farren.

- Powiedziałbym, że pierwsze koty za płaty, przyjacielu - dodał.

- Nie tym razem, jaśnie panie. - Dumont pociągnął nosem i przetarł szmatką posążek Merkurego, który John wcześniej postawił na ladzie. - Piękna angielska dama, urocza osobka, ale od razu widać, że zawsze dostaje to, czego zapragnie.

Mary i służący z obrazem znikli za rogiem. John odwrócił się od okna.

- Zatem odpowiedź jest prosta, Dumont. Muszę stać się obiektem jej pragnień.

Handlarz wydał usta.

- Wątpisz w moje słowa?

Francuz wymijająco wzruszył ramionami.

- Pamiętaj, że ja również zawsze uparcie dążę do celu. - John oparł ręce na ladzie i nachylił się ku handlarzowi. - Dlatego powiesz mi teraz, co zataiłeś w związku z obrazem, który przed momentem sprzedałeś za ciężkie pieniądze.

- Nie musiałem nic zatajać, jaśnie panie. - Dumont się cofnął, święcie oburzony i wyraźnie zdenerwowany. - Czyżby jaśnie pan coś mi zarzucał? Lady Farren potwierdziła, że dzieło to oryginał, a ja przenigdy...

- Jest kradzione, prawda? - John postawił sprawę jasno. - Dlatego nie chciałeś go sprzedać?

- Ale jaśnie panie, tak się nie godzi... Co za oskarżenie, zniestawienie...

- Tak czy nie, Dumont, mów krótko - zażądał John. - Lady Farren zna się na dawnych mistrzach, ale jest zbyt młoda, aby mieć pojęcie o złodziejstwie. Z początku nie chciałeś sprzedać obrazu może dlatego, że twoje kurczące się sumienie jeszcze nie całkiem ustąpiło pola chciwości?

Z oczu starego Francuza znikł gniew, a w jego miejsce pojawił się strach.

- Jaśnie panie, nie potrafię powiedzieć, jak...

- Tak albo nie, Dumont. Co innego wciskać tłustej żonie kupca z Birmingham nieudolne podróbki starożytnych zabytków, a co innego sprzedawać kradziony towar córce arystokraty. Jestem pewien, że zgodziliby się ze mną krewcy jegomości z urzędu miejskiego kilka przecznic stąd.

- Na wszystkie świętości, jaśnie panie, przysięgam, że nic nie wiem o złodziejstwie ani o kradzionych towarach! - wykrzyknął Dumont. - Jeśli jaśnie pan na mnie doniesie, zabiorą mi sklep i wszystko, co mam! Zostanę z niczym! Niech jaśnie pan ma litość nad człowiekiem w jesieni życia!

- Będę miał, jeśli wyznasz mi prawdę - oznajmił John. Zbyt dobrze znał Dumonta i jego skłonność do hysterii, aby się przejmować. - Jak wszedłeś w posiadanie obrazu z aniołem?

Handlarz westchnął ciężko.

- Dostarczono mi go w ubiegłym tygodniu - wyznał. - Otrzymałem go od cudzoziemca, jaśnie panie, chyba Holendra. Oznajmił, że pozbywa się go z bólem, bo to arcydzieło, ale nie otrzymał spodziewanego przekazu pieniężnego, a natychmiast potrzebuje gotówki. Historia, jakich wiele, jaśnie panie.

- W rzeczy samej. Ile zapłaciłeś temu człowiekowi?

- Trzy liwry - odparł pośpiesznie Dumont. John od razu się domyślił, że nieszczęsny Holender dostał dwa razy mniej. - Jaśnie pan sam zauważył, że obraz jest niemodny i raczej trudny do sprzedania.

- Więc czemu, u licha ciężkiego, nie chciałeś go sprzedać mnie, gdy tego zażądałem?

Dumont ze skrucą zwiesił głowę.

- Wiedziałem, że lady Farren zaoferuje mi więcej niż jaśnie pan. I tak się stało - dodał.

- I tak się stało... - powtórzył John. Nie wątpił, że Dumont mówi prawdę, choć niekoniecznie całą.

Rozdział trzeci

Gdzie byłaś, Mary?

Diana przycisnęła dłoń do skroni, jakby wysiłek związany z powitaniem siostry przerastał jej możliwości. Wczorajsza przeprawa przez kanał La Manche okazała się wyjątkowo przykrym doświadczeniem. Po drodze rozszalał się sztorm, statkiem rzucało na wszystkie strony, a podróż trwała znacznie dłużej, niż powinna. Mary okazała się wzorowym marynarzem o żołądku ze spizu, lecz jej siostra, panna Wood i pokojówka Deborah ucierpiały tak dramatycznie, że poprzedniej nocy trzeba było je niemal wynosić z pokładu. Na domiar złego wszystkie musiały się przedstawić gubernatorowi, bo tak stanowiło francuskie prawo. Potem udały się do sali odpraw, gdzie czekały, aż celnicy przetrząsną ich kufry, sporządzą spis bagażów i wymierzą cło. Urzędnicy na każdym kroku oczekiwali łapówek i nie zamierzali wpuścić do miasta żadnego Anglika, który nie zapłaci haraczu. Nic dziwnego, że po takich przejściach wszystkie trzy kobiety potrzebowały co najmniej dnia na odzyskanie sił.

Teraz Diana leżała w łóżku, na stercie poduszek. Zastony w oknach były starannie zaciągnięte, choć zbliżał się wieczór. Taca z imbrykiem i kilkoma zimnymi tostami, ledwie skubniętymi, dowodziła, że Diana usiłowała coś zjeść, lecz dała za wygraną. Dramatycznym gestem wyciągnęła rękę ku siostrze.

- Och, Mary, tak bardzo za tobą tęskniłam!

- Ja za tobą również, słonko. - Mary pochyliła się i pocałowała Dianę w czoło. - Widzę, że powoli odzyskujesz kolory. Z pewnością zdrowiejesz.

- Dziękuję. - Diana uśmiechnęła się, zadowolona z powrotu siostry. - Och, bez ciebie było mi tak źle... Panna Wood i Deborah również się pochorowały, a służący mówił wyłącznie po francusku, co za okropny język!

- To oczywiste. Jesteśmy we Francji. Gdybyś bardziej przykładała się

do lekcji francuskiego z panną Wood, teraz nie miałabyś żadnych trudności. - Mary podeszła do okna i odciągnęła zasłony. W jednej chwili światło słoneczne zalało pokój. - Wymknęłam się za ledwie na godzinę, a gdy wychodziłam, spałaś w najlepsze.

- Ale potem się obudziłam, a ciebie nie było. - Diana osłoniła oczy przedramieniem, nie mogąc znieść blasku promieni. - Wydawało mi się, że poszłaś sobie na znacznie dłużej.

- To była tylko godzina.

Mary się zamyśliła. Dlaczego i jej ten czas wydał się znacznie dłuższy? Za ledwie sześćdziesiąt minut. Wskazówki złotego zegarka nie poruszały się ani szybciej, ani wolniej niż zwykle. Czy to możliwe, że w tak krótkim czasie tyle się zdarzyło?

Diana poprawiła się na poduszkach.

- Nie powinnaś była wychodzić sama. Przecież pamiętasz, co powiedział ojciec.

- Jego słowa odnosiły się do ciebie, nie do mnie - zauważyła Mary. - Poza tym nie byłam sama. Zabrałam ze sobą Wintersa.

- Ach, to wszystko zmienia! - zakpiła Diana. - Niech żyje wierny sługa Winters. Półgłówek, obrońca naszej cnoty!

- Jego towarzystwo w zupełności mi wystarczyło - odparła Mary, ale odwróciła głowę, zadowolona, że w słabym świetle nie widać jej rumieńca.

Opuszczając gospodę z zamiarem odbycia krótkiej przechadzki, aby odetchnąć świeżym powietrzem. Potem zauważyła intrygujący sklepik i przyrzekła sobie, że spędzi w nim tylko minutę lub dwie. Zanim się zorientowała, kupiła piękny stary obraz. Zapłaciła zatrważająco wysoką sumę, a puszczając mimo uszu wszelkie ostrzeżenia, których wysłuchiwała przed wyjazdem, dała się wciągnąć w rozmowę z obcym mężczyzną.

- Nie jestem tobą, pamiętaj - zauważyła Mary.

- Niestety, nic na to nie poradzisz. Żałuj, odrobina mnie dobrze by ci zrobiła. Lepiej byś się bawiła.

- Bawiłam się całkiem nieźle, dziękuję. - Mary wzięła obraz ze stołu, gdzie go wcześniej położyła, aby nie myśleć o tajemniczym

nieznajomym. Nie wspomniała o nim słowem. Bez trudu wyobraziła sobie, że Diana nalegałaby na spotkanie z tym mężczyzną. - Kupiłam obraz.

Mary z dumą zaprezentowała siostrze anioła i zaraz tego pożałowała.

- Upiorny - oceniła Diana. - Anioły powinny być piękne, a ten wygląda tak, jakby miał komuś odgryźć nogę. Szkoda pieniędzy ojca na takie bohomyzy.

Mary odwróciła obraz ku sobie i oparła ciężką ramę na biodrze. Wydawał się jej teraz jeszcze bardziej wyjątkowy niż wtedy, gdy go ujrzała po raz pierwszy. Podobał się jej anioł o surowym obliczu, gotowy bronić wiary lub też walczyć w imię czegoś, co przedstawiała brakująca część tempery.

- Zdradzasz swoją ignorancję - upomniała siostrę, nie podnosząc wzroku. - Każdy, kto choć trochę zna się na rzeczy, od razu potwierdzi, że to bardzo rzadkie i piękne arcydzieło.

Nieznajomy nie naigrywał się z niej, gdy opowiadała o mistycznych właściwościach obrazu. W jednej chwili polubiła tego człowieka, bo zdawał się rozumieć jej punkt widzenia. Przedstawił się jako lord John Fitzgerald. Podobno urodził się w Irlandii, lecz był obywatelem świata, cokolwiek to znaczyło. Ponad wszelką wątpliwość jego oczy były intensywnie błękitne i pogodne, nawet gdy surowo zaciskał usta. Miał mocną szczękę oraz krótkie, kręcone włosy. Z jego słów i ubioru wnioskowowała, że jest dżentelmenem. Dlaczego zatem usiłował kupić dla niej obraz? Prawdziwy dżentelmen nigdy by tak nie postąpił...

Może była to jedna z licznych różnic pomiędzy Anglią a Francją? Może tutaj nic nie stało na przeszkodzie, aby dżentelmen obdarowywał drogimi prezentami świeżo poznane damy. Może we Francji tego typu rozmowy i taka hojność znajdowały się na porządku dziennym...

A jeśli pogawędka z czarującym mężczyzną była właśnie tym, czego jej brakowało podczas wojaży? Szkoda tylko, że nieśmiałość nie pozwoliła jej w pełni cieszyć się nową znajomością. Lord Fitzgerald z pewnością uznał ją za beznadziejną nudziarę, zbyt pruderyjną, aby wziąć dżentelmena pod rękę. Cóż, trudno. I tak nie będzie miała sposobności

naprawić tego błędu. Wkrótce wyruszała do Paryża, a ponieważ jej życie w niczym nie przypominało powieści ani sztuki teatralnej, to z pewnością nigdy nie natknie się na lorda Fitzgeralda.

- Och, Mary, wróciłaś ze spaceru. - Panna Wood była równie blada jak Diana, ale schludnie ubrana w zwykłą szarą suknię, żakiet oraz biały czepek z lnu, jakby chciała podkreślić, że byle choroba morska z nią nie wygra. - Świeże powietrze na stałym gruncie z pewnością dobrze zrobiłoby także Dianie oraz mnie.

Diana jęknęła na samą myśl o wyjściu i ciężko opadła na poduszki.

- Panno Wood, ona nie tylko spacerowała. Tak naprawdę to poszła do sklepu i kupiła bohomaz - poinformowała guwernantkę.

- To wcale nie jest bohomaz - zaprotestowała Mary. - Po prostu masz inny gust niż ja. Niech panna Wood sama osądzi.

Odwróciła temperę w kierunku guwernantki, której zdumiona mina nie pozostawiała złudzeń co do oceny.

- Najważniejsze, że obraz ci się podoba - oznajmiła panna Wood taktownie. - Gdy na niego spojrzysz, przypomnisz sobie pierwszy dzień naszej zagranicznej przygody.

Mary ponownie skierowała spojrzenie na obraz. Pomyślała, że istotnie będzie jej się kojarzył z Calais i z lordem Fitzgeraldem. Na pewno jednak nie z przygodą. Uznała, że okazała się głupia, a w dodatku zbyt tchórzliwa, aby skorzystać z nadarzającej się sposobności do przeżycia ewentualnej przygody.

- Może pokażesz nam, co odkryłaś w tym mieście? - zaproponowała panna Wood. - Chętnie obejrzałabym bramę wjazdową, uważaną za centralny punkt Calais. Wiąże się z nią długa i ciekawa historia. Jeśli sobie życzysz, zajrzemy też do sklepu, w którym kupiłaś obraz.

- Och nie! - wykrzyknęła Mary. Gdyby ponownie zastała tam lorda Fitzgeralda, pomyślałaby, że przyszła go upolować. Albo jeszcze gorzej: tym razem z pewnością zwróciłby uwagę wyłącznie na Dianę. - Rzecz w tym, że wybrałam już najciekawszy przedmiot w ofercie, więc nie ma powodu, aby tam wracać.

Diana prychnęła z pogardą.

- Jeśli ten obraz był najciekawszy w całym sklepie, to ja nie chcę tam iść. Z pewnością jest tutaj promenada albo park, w którym gromadzą się osoby z towarzystwa. Słyszałam, że w Calais można spotkać więcej oficerów różnych wojsk niż w samym Portsmouth.

- Nie dla nas oficerowie, moja panno, nie dla nas promenady. - Panna Wood klasnęła w dłonie, aby przywołać podopieczną do porządku. - Chyba nie muszę ci przypominać o ostrzeżeniu, które wystosował książę, twój ojciec. Podróżujesz dla oczyszczenia umysłu i naprawy duszy. Poza tym musisz się nauczyć, jak różnicować zachowanie w stosunku do mężczyzn różnej rangi i pozycji społecznej.

Diana przycisnęła dłonie do piersi, jakby właśnie otrzymała śmiertelny cios.

- Brzydkie obrazy i stare bramy! Czy nic innego mnie nie czeka przed długie miesiące? Jak mam przetrwać tę mordęgę?

- Z gracją i godnością, należną swojemu pochodzeniu, moja panno. - Panna Wood energicznie otworzyła okno, aby wpuścić do środka rześką, oceaniczną bryzę, a także woń stajni zlokalizowanej po przeciwnej stronie podwórza. - Ponadto spodziewam się, że pojutrze opuścimy Calais. Diano, masz za mało czasu na amory, choćbyś nie wiem jak się starała.

- Panna Wood jest po prostu okrutna! - wykrzyknęła Diana i cisnęła poduszką w kierunku guwernantki.

- Nie pierwszy raz to od ciebie słyszę, moja panno, i zapewne nie ostatni - odparła spokojnie guwernantka. Bez emocji podniosła poduszkę, poklepała ją i położyła na skraju łóżka. - Musisz nauczyć się akceptować moje postanowienia. W gospodzie czekał na mnie list od pana Leclaira, dżentelmena wybranego przez księcia na naszego przewodnika. Niestety, mama pana Leclaira poważnie zachorowała, więc wystosował do nas prośbę o zrozumienie i wybaczenie, gdyż musi zaopiekować się cierpiącą rodzicielką. Pan Leclair nie dołączy do nas w Calais, jak zakładałam, lecz dopiero w Paryżu.

- Biedna madame Leclair! - Mary westchnęła. - Oby jak najszybciej odzyskała siły. Dobrze, że syn się nią zajmuje. Same doskonale sobie

poradzimy w drodze do stolicy Francji.

Diana uśmiechnęła się łobuzersko do siostry.

- Twoja niezależność jest godna podziwu - oznajmiła chytrze.

- To wartościowa cecha - przyznała Mary, w skrytości ducha modląc się, aby Diana nie dodała jakiegoś niestosownego komentarza. -

Zwłaszcza podczas podróży. Panna Wood z aprobatą pokiwała głową.

- Nic dodać, nic ująć - zgodziła się. - Spędzimy dwa dni w Calais, a potem ruszamy do Paryża. Księżę zaaprobował ten plan, a nieobecność pana Leclaira nie stanowi dla nas przeszkody.

Dwa dni, pomyślała Mary z żalem, a jeden z nich już dobiega końca. Panna Wood oraz księżę przemyślnie uniemożliwili córce nawiązywanie niepożądanych znajomości w Calais. Tak się złożyło jednak, że mieli na myśli niewłaściwą córkę.

- Och, monsieur, nie mogę na to pozwolić! - zaprotestowała madame Gris, żona właściciela gospody. Niczym królewski strażnik stała niezłomnie przy drzwiach do prywatnej jadalni, skutecznie tarasując je przed obcym mężczyzną. - „Coq d'Or” cieszy się opinią porządnego zajazdu, zwłaszcza wśród angielskiej szlachty. Młoda dama spożywa posiłek w samotności i nie chce, aby ktoś jej przeszkadzał. Jej guwernantka i siostra zapadły na chorobę morską, niestety.

- Madame, ta biedna dama potrzebuje towarzystwa. John wymownie rzucił okiem na bukiet kwiatów dla

lady Farren, skomponowany z goździków i róż, zgodnie z francuską modą ozdobiony papierem i czerwoną wstążką. W innym wypadku przesłałby kwiaty przez posłańca, lecz nie miał czasu do stracenia. Okoliczności zmuszały go do pośpiesznego flirtu. Madame Gris nieugięcie kręciła głową. Jej pulchny podbródek trząsł się lekko nad kraciatą chustką.

- Nie zgadzam się na żadne skandale pod moim dachem - oznajmiła stanowczo.

- Madame, proszę trzymać drzwi szeroko otwarte i słuchać każdego naszego słowa - zaproponował John. - Przysięgam, że z moich ust nie padnie ani jeden skandaliczny szept.

Gospodyni przez chwilę patrzyła na niego z niedowierzaniem, aż wreszcie odchyliła głowę i się roześmiała.

- Pani się ze mnie śmieje? - spytał John. Usiłował sprawiać wrażenie urażonego, lecz nie udało mu się powstrzymać i również parsknął głośnym śmiechem. Nie potrafił udawać powagi, i tego ranka ta sztuka także mu się nie powiodła. - Czyżby rozbawiła panią moja skromna garderoba?

- Skromna, akurat! - Gospodyni dźgnęła go palcem w ramię. - Idę o zakład, że nigdy w życiu nie był pan skromny. Taki lis. jak pan, też coś! Niechże pan idzie do tej swojej turkaweczki i wyzna jej, co panu podpowiada serce. Drzwi zostają otwarte, a jeśli usłyszę choć jeden pisk tej młodej damy...

- Nie ma mowy o żadnych piskach - zobowiązał się John uroczyście, lecz puścił do gospodyni perskie oko. - Nie wiem, jak mam wyrazić wdzięczność za zrozumienie...

Madame Gris zaśmiała się i ponownie dźgnęła Johna palcem. Zadowolony, ruszył w kierunku małego saloniku na końcu korytarza. Gospoda przyjmowała zacnych gości już od dwóch stuleci, więc szerokie deski w podłodze głośno skrzypiały pod stopami Johna. Sufit opierał się na pociemniałych ze starości belkach, lecz biały pokój, do którego zmierzał John, wydawał się jaśnieć. Szyby w oknach były przycięte i oprawione ołowiem, niczym witraże.

Wpuszczały do środka jaskrawe promienie porannego słońca, oświetlające smukłą sylwetkę lady Farren, która siedziała w fotelu, plecami do na wpół otwartych drzwi.

Włosy miała luźno spięte w kok na czubku głowy, a słońce wydobywało z jej kosmyków rude refleksy. Ubrana była w prostą lnianą suknię z szeroką zieloną szarfą wokół szczupłej talii. Taki styl, niegdyś upowszechniony przez francuską królową, szczególnie upodobały sobie angielskie damy. Lady Farren dobrze wyglądała w tego typu odzieży, gdyż prostota pasowała do jej kremowej skóry i kasztanowych włosów. Szczególną uwagę Johna zwróciła jednak smukła szyja panny, elegancko ozdobiona długimi kolczykami z pereł, które lekko kołysały się przy

każdym ruchu głowy.

Drgnął, lecz to wystarczyło, aby zaskrzypiała podłoga pod jego stopami. Mary momentalnie odwróciła się ku drzwiom i wstrzymała oddech. Zapomniała nawet, że w dłoni trzyma kanapkę z dżemem.

- To pan! - wykrzyknęła, a na jej policzki wystąpił rumieniec. - Jak pan tutaj trafił? Skąd pan wiedział, gdzie mnie szukać?

- Lady Farren, niech się pani uspokoi - poprosił John i podniósł dłoń, jakby w ten sposób chciał uciszyć zaskoczoną pannę. Drugą rękę, tę z bukietem, wyciągnął ku Mary. Wcześniej zapewnił madame Gris, że jest gotów opuścić gospodę, jeśli obdarowana głośno zaprotestuje. Gospodyni z całą pewnością była zdecydowana dopilnować, aby tak się stało. - Nie chcę pani skrzywdzić, naprawdę!

- Och, nie podejrzewałam pana o to. - Mary szybko zerwała się z fotela, cały czas ściskając w dłoni chleb. - Zaskoczył mnie pan, przyznaję, ale... nie wystraszył. Ani trochę... Oj, a niech to licha!

Wielka, lśniąca bryła czerwonego dżemu z kanapki rozprysła się na rękę Mary, tuż obok rękawa białej sukni. Mary upuściła chleb, porwała ze stołu serwetkę i przycisnęła ją ostrożnie do dżemu, jakby się bała, że lepka substancja przesunie się i ponownie zagrozi nieskazitelnej czystości ubrania.

John się uśmiechnął. Wiedział, że wprowadził ją w zakłopotanie, a ponadto zobaczył na własne oczy, jak wygląda zawstydzona i zaskoczona Mary. W antykwariacie Dumonta panowała nad sobą do tego stopnia, że uniemożliwiła mu kupno obrazu. Teraz sprawiała wrażenie roztrzęsionej i oszołomionej, a wszystko to z powodu odrobinki dżemu.

- Na ogół wcale tak się nie zachowuję, niech mi pan wierzy - wyznała.
- Właściwie nigdy.

- Szczerze mówiąc, ja również. Zerwałem się z łóżka o niedorzecznej porze, ubłagałem madame Gris, aby mnie wpuściła, i przeraziłem zajęętą śniadaniem damę. To, jak na mnie, wyjątkowo nietypowe zachowanie.

- Wierzę panu, rzecz jasna. - Po raz ostatni otarła rękę serwetką, aby mieć pewność, że na skórze nie została ani odrobina lepkiej mazi. -

Wczoraj nie pozwoliłabym panu iść ze mną na spacer, ale jeśli teraz miałby pan ochotę na śniadanie w moim towarzystwie, chętnie pana poczęstuję. Niestety, mam do zaproponowania tylko marny francuski posiłek, bez jaj i mięsa.

- Naprawdę? Ugościłaby mnie pani? - Choć nie brakowało mu pewności siebie, nie oczekiwał zaproszenia. Wahał się jednak z jego przyjęciem, gdyż w każdej chwili do pokoju mogła wejść siostra lub guwernantka. Zdecydowanie wolałby porozmawiać z nią na zewnątrz. - Czy wobec tego zechciałaby pani wybrać się ze mną na spacer? Mimo wszystko?

- Zechciałabym. - Uśmiechnęła się. - Nieczęsto się zdarza, aby człowiek miał okazję naprawić popełniony błąd. Śliczne kwiaty. Dla mnie?

Wręczył jej bukiet i się uklonił, co poprzedniego dnia wzbudziło pogardę Mary. Tym razem z pogodnym uśmiechem wzięła od niego kwiaty.

- Przyjęła pani kwiaty - zauważył zaskoczony. - A obrazu pani nie chciała.

Przyjrzała się bukietowi, potem znowu popatrzyła na Johna.

- To chyba dowód mojej niekonsekwencji, prawda?

- Drobiazg. - Zbagatelizował sprawę. - Życie jest pełne sprzeczności. Żadna z nich nie ma większego znaczenia.

- Żadna, z wyjątkiem tej - upierała się Mary. Ponownie zachowywała się jak poważna młoda dama, którą poznał dzień wcześniej. - Obraz przetrwał setki lat i w sprzyjających warunkach nic mu się nie stanie przez następne wieki. Tymczasem kwiaty, nawet najpiękniejsze, więdną po dwóch, trzech dniach. Są zatem znacznie stosowniejszym upominkiem od pana dla mnie.

- Lady Farren, czyżby sugerowała pani, że mój podziw dla niej przetrwa góra trzy dni?

- Podziw? Bez przesady! Aby mnie podziwiać, trzeba mnie poznać, a pan nie miał czasu ani na jedno, ani na drugie. Niechże pan podejdzie do okna. Czy widzi pan na podwórzu ten błękitny powóz oraz krzątających

się wokoło ludzi?

Okno było małe, więc aby przez nie wyjrzeć, musiał przybliżyć się do Mary tak, że wyraźnie poczuł woń lawendowego mydła.

- Owszem, widzę - potwierdził głucho.

- Oto nasz środek lokomocji - objaśniła. - Własność mojego ojca.

Proszę mi wierzyć, z niekłamaną goryczą uskarżał się na wysokie cło, którego żądają Francuzi za przywilej korzystania z własnego powozu.

Pojazd przyjechał tutaj w częściach. Gdy ci ludzie zakończą prace montażowe, wyruszmy do Paryża. Dwa tygodnie temu wystaliśmy wóz bagażowy z kuframi, które czekają na nas w paryskich apartamentach.

- Wynajęcie powozu na miejscu kosztowałoby mniej niż cło - zauważył John. Słyszał o bogatych Anglikach, którzy ściągają na kontynent własne pojazdy, lecz po raz pierwszy ujrzał to na własne oczy.

- Pani woźnica sporo napracuje się podczas manewrowania tą bestią na wąskich francuskich drogach. Monsieur Dessin wynajmuje schludne kabriolety za luidora tygodniowo.

- Ojciec nie przepada za wynajmowanymi powozami. Nie wsiadłby nawet do dorożki. Powiada, że są niebezpieczne, a w poduszkach roi się od pcheł i pluskiew.

- Dlatego wołał sprowadzić tutaj powóz dla córek. To najskuteczniejsza metoda odizolowania ludzi od otoczenia, prawda?

- Taką decyzję podjął - odparła Mary.

Johnowi spodobał się sposób, w jaki dała do zrozumienia, że nie zgadza się z ojcem.

- Nawet pan sobie nie wyobraża, ile trudu kosztowało mnie przekonanie go, aby pozwolił mi opuścić Kent, a co dopiero wyjechać do Francji.

John się uśmiechnął. Pomyślał, jak ogromna przepaść, dodatkowo pogłębianą przez różnice majątkowe, dzieli niektóre dzieci z dobrych domów.

- Mój ojciec nie mógł doczekać się mojego wyjazdu do Kalkuty - wyznał. - Wyekspediował mnie tam, gdy skończyłem czternaście lat, a cały dobytek zmieścił się w jednym kufrze.

- Kalkuta! - powiedziała z podziwem Mary. - Musiał pan przeżyć mnóstwo niesamowitych przygód.

- Och, istotnie, na brak przygód nie narzekałem - przyznał beztrąsko i wspomniawszy czasy spędzone w Kompanii Wschodnioindyjskiej. Przeszło mu przez myśl, że większość jego przygód w żadnym razie nie nadaje się do opowiedzenia przyzwoitej damie. - Z pewnością dlatego, że nie oglądałem świata zza szyb powozu ojca.

- Ależ proszę pana, przecież i ja przeżyłam dwie przygody. Doskonale pan wie, o czym mówię. Wczoraj kupiłam pierwszy obraz.

- Ach, rzeczywiście... - John musiał porozmawiać z Mary na temat tempery i związanych z nią podejrzaniach, a także o Dumencie. Przede wszystkim dlatego pozwolił sobie zawitać do gospody, w której zatrzymała się jego nowa znajoma. Póki co nie miał jednak ochoty na poruszanie przykrych spraw. Wolał dzielić się z Mary sekretami, wsłuchiwać się w jej miękki głos. Obraz mógł poczekać. - W Kencie zapewne wszyscy zgodnie uznaliby ten fakt za niecodzienne zdarzenie. Niemal obawiam się spytać o drugą przygodę.

- Och, to nic strasznego - szepnęła. - Moją drugą przygodą było spotkanie z panem.

- Pani mi pochlebia. - Zaśmiał się, zachwycony jej odpowiedzią. Wszystko wskazywało na to, że Mary jest gotowa wkrótce paść mu w ramiona, choć na własnych warunkach. Wyjął kwiaty z jej rąk i położył je na stole. - Nie powiedziałbym, że przeżyliśmy przygodę. Jeszcze nie.

- Panna Wood zakłada, że wyjedziemy jutro. - Ze smutkiem popatrzyła na krzątających się przy powozie mężczyzn. - Niewiele mam czasu na prawdziwą przygodę, prawda?

- To zależy, moja droga, od pani. - Pójdę z panem na spacer.

Spacer. Zatem tak sobie wyobrażała przygodę. John nie rozumiał, jak to możliwe, że angielska arystokracja jeszcze nie wymarła, skoro brytyjskie damy były tak idiotycznie niewinne.

- Doskonale, droga pani. Trzeba być żądnym wrażeń. Niech pani ze mną pójdzie, a gwarantuję, że nie ominą pani liczne uciechy... A to co znowu?

Mary rzuciła się do okna. Na podwórzu rozszczękały się psy, mężczyźni krzyczeli, kobiety piszczały. Zdenerwowane konie głośno prychały i wzniecały kopytami kurz. Przed gospodę z łoskotem i skrzypieniem zajechał ogromny powóz.

- Nic nie widzę! Niech pan mi powie, co to takiego.

- To dylizans z Paryża. Bardzo duży powóz pasażerski, w którym mieści się co najmniej tuzin osób różnej proveniencji.

- Koniecznie muszę obejrzeć go z bliska. Skoro mam szukać przygód, to powinnam teraz wyjść!

Pośpiesznie złapała Johna za rękę i pociągnęła go na korytarz, a potem przed gospodę. U wejścia do budynku, na grubym pniaku stał służący z gospody i energicznie bił w duży mosiężny dzwoń. Chciał w ten sposób oznajmić przyjazd gości, jakby nie wystarczył panujący wokół har-mider. Na podwórzu zebrał się już tłumek. Niektórzy mieli ze sobą małe kufry i tobołki, najwyraźniej zamierzali wyruszyć w podróż. Inni czekali na pasażerów pojazdu, aby ich powitać. Największą grupę stanowili jednak obszarpańcy, żebracy z rękami wyciągniętymi w błagalnym geście.

Otoczony kłębami kurzu dylizans zahamował przed gospodą. Cztery zmęczone konie oddychały z trudem i toczyły pianę z pysków. Ich brzuchy były brudne. Pocztylioni nie prezentowali się lepiej.

- Niestychanie interesujący powóz! - wykrzyknęła Mary. Stała u boku Johna i z zaciekawieniem obserwowała przyjazd dylizansu. - Gdybym została w Kencie, nigdy nie ujrziałabym czegoś podobnego.

Pojazd poruszał się na grubych, drewnianych kołach i był zaprzężony w dwie pary koni. Pod tym względem przypominał swoich angielskich kuzynów. Kabina wydawała się jednak dłuższa i niższa, wykonano ją nie z desek, lecz z ciasno splecionych listewek. Z przodu znajdowało się zadaszone miejsce dla woźnicy. Pasażerowie w środku i na dachu wyglądali niczym jajka w koszyku, wiezione na targowisko.

Podróżni tworzyli barwną zbieraninę postaci. Jak zwykle rzucali się w oczy podchmieleni marynarze oraz żołnierze w podartych mundurach, często spotykani także w angielskich powozach. Mary dostrzegła jeszcze

dwóch grubych zakonników w brązowych szatach; wygolone głowy mnichów błyszcząły w słońcu. Kobieta o naburmuszonym obliczu, ubrana w pasiasty, czerwony kubrak, podróżowała z klatką pełną popiskujących kanarków. Obok niej siedział starzec w nietypowo wysokiej, białej peruce. Dłonie schował w mufce z króliczego futra. Dwie młode kobiety ubrały się w suknie z tak głęboko wyciętymi dekolami, że widać było ich sutki, ku nieskrywanej ucieście oraz aprobacie marynarzy i żołnierzy. Wszyscy zdawali się jednocześnie mówić, krzyczeć i przeklinać w najrozmaitszych dialektach, które prawie nie przypominały znanego Mary francuskiego.

- Czy przyjazd paryskiego dylizansu możemy uznać za pani następną przygodę, lady Farren?— zapytał John.

Uśmiechał się do Mary tak sympatycznie, że poczuła się jak niemądre dziecko, które podskakuje entuzjastycznie przed witryną sklepu ze słodyczami. Wyprostowała się z godnością.

- Moglibyśmy mówić o przygodzie, gdybym wybrała się tym pojazdem w podróż do stolicy Francji. Ha, wyobrażam sobie, co na to powiedziałyby ojciec!

John uśmiechnął się szerzej, jakby chciał ją ośmielić.

- Zatem niech pani to zrobi. Woźnica i pocztylioni zmienią konie, zawrócą i ruszą z powrotem do Paryża. Zabiorę się z panią, dla towarzystwa. Będziemy jechali w otoczeniu licznych przywoitek, zatem nie grozi pani plama na honorze. Poza tym ogromnie poprawi się pani francuski i daję słowo, że przeżyje pani przygodę z prawdziwego zdarzenia.

Mary wpatrywała się w Johna. Kusilo ją, aby wyrazić zgodę, lecz nie chciała się do tego przyznać.

- Przecież nie jesteśmy przygotowani, nie mamy żywności - zauważyła.

- Obiad i kolacja są wliczone w cenę biletu - wyjaśnił. - Poza tym gwarantuję, że takich posiłków nigdy nie jadła pani w Kencie.

- Tutaj wszystko jest inne niż w Kencie - zgodziła się ze śmiechem i odgarnęła z twarzy rozwiane włosy. Nigdy dotąd nawet nie przyszło jej

do głowy, aby zrobić coś tak skandalicznego. Wyprawa dyliżansem, trwająca dniami i nocami, w towarzystwie praktycznie nieznanego mężczyzny... Nie do pomyślenia.

- Wobec tego jedźmy - upierał się John. - Odwagi, lady Farren. Jesteśmy w Calais, nie w pani ukochanym Kencie. Tutaj nikt pani nie zna i nikogo nie obchodzą pani poczynania. Następna taka sposobność prędko się nie nadarzy.

Pokręciła głową, nadal roześmiana. Dlaczego wyjątkowo niedorzeczna propozycja tego człowieka wydawała się jej intrygująca? Gdyby coś podobnego zrobiła Diana, Mary byłaby wstrząśnięta.

- Czy lubi pani truskawki? - zainteresował się John nieoczekiwanie. Wyciągnął ku Mary dłoń, jakby ofiarowywał jej gigantyczną truskawkę. - Soczysta i słodka na języku, gwarancja świeżości w ustach.

- Słucham? - Zaniosta się śmiechem. Jeszcze nie spotkała dżentelmena, który tak często doprowadzałby ją do śmiechu. Zawsze się szczyliła praktycznym podejściem do życia, odpowiedzialnością oraz zaradnością. Nie podejrzewała, że jest tak skora do żartów. - Dlaczego nagle zainteresował się pan truskawkami?

Stanął tuż za nią i oparł dłoń na jej ramionach, aby delikatnie odwrócić ją w kierunku dyliżansu.

- Proszę spojrzeć - powiedział. - Z dachu dyliżansu schodzi potężnie zbudowana wieśniaczka. W każdej dłoni trzyma charakterystyczny koszyk, wąski i głęboki. W tym regionie używa się takich plecionek do przechowywania truskawek.

Choć wyjaśnić, o co mu chodzi, nie cofnął dłoni. Mary spojrzała na Johna.

- Lubię truskawki - przyznała i z zachwytem spostrzegła, że oczy lorda Fitzgeralda są identycznej barwy jak błękitne czerwcowe niebo nad ich głowami. - W gruncie rzeczy za nimi przepadam.

- Wobec tego zaraz przyniosę garść lub dwie - zdecydował. - Może w ten sposób skłonię panią do wyjazdu ze mną.

Puścił do niej oko - niebawem! - i ruszył prosto ku wieśniaczce. Gdyby spróbował pocałować Mary, odwzajemniłaby pocałunek. Ta

świadomość nią wstrząsnęła.

- Lady Farren!

Zmarszczyła brwi i rozejrzała się niespokojnie. Nie miała pojęcia, kto ją woła. Przecież lord Fitzgerald przed chwilą trafnie zauważył, że nikt w Calais jej nie zna.

- Lady Farren, tutaj!

Dumont stał w cieniu, w alejce przy gospodzie, częściowo ukryty za piramidą beczek. Osłaniał twarz wytartym kapeluszem, szyję owinął brudnym szalikiem. Zauważyła, że nie zdjął skórzanego fartucha, swojego stroju roboczego ze sklepu. Wyraźnie zaniepokojony, rozglądał się na boki, aby mieć pewność, że nikt go nie widzi, i energicznie gestykułując, przywoływał Mary.

- Jeśli można, lady Farren, proszę tutaj! - zawołał. - Muszę z panią zamienić słowo!

- Na jaki temat, monsieur? - Zawahała się. Nie miała ochoty oddalać się od głównego wejścia do gospody, nawet w pełnym słońcu.

- Chodzi o obraz, proszę pani! - Ponownie pokiwał dłonią, aby Mary się do niego zbliżyła. - O anioła! Czy jaśnie pani nadal go ma?

Niechętnie podeszła o krok i przystanęła. Szybko zerknęła przez ramię, ale lord Fitzgerald znikł.

- Oczywiście, że mam ten obraz. Kupiłam go od pana zaledwie wczoraj.

- Czy ktoś o niego pytał? - chciał wiedzieć handlarz. - Czy ktoś wie, że znalazł się w pani posiadaniu?

- Wyłącznie osoby towarzyszące mi w podróży - odparła. - Monsieur, nie wiem dlaczego...

- Niech pani nikomu o nim nie mówi - przerwał jej Dumont głosem drżącym z emocji. - Proszę nie wspominać nikomu, że obraz trafił do pani. Niech nikt nie wie, że jaśnie pani kupiła go ode mnie i że w ogóle go jaśnie pani widziała.

- Nie ma pan prawa mnie zastraszać! - wykrzyknęła z oburzeniem. - Zapłaciłam krocie za tę temperę i jeśli próbuje pan nakłonić mnie do odsprzedania jej panu, to zapewniam, że nic z tego!

Dumont pokręcił głową.

- Nie chcę obrazu - oświadczył pośpiesznie. - Teraz należy już do pani. Rzecz w tym, że grozi pani poważne niebezpieczeństwo. ..

- Mary!

Od razu rozpoznała ten głos.

- Panna Wood! - Szybko odwróciła się do guwernantki, zadowolona z pretekstu do zakończenia tej rozmowy.

- Moja panno, nareszcie cię znalazłam. - Panna Wood odetchnęła z ulgą i wzięła Mary pod rękę. - To niedopuszczalne! Sama spacerujesz po ulicy, nie masz kapelusza, parasolki ani rękawiczek dla ochrony przed słońcem. Wracamy do gospody, Mary, przebierzesz się i wyruszamy.

- Wyruszamy? - powtórzyła zdezorientowana Mary. Guwernantka ubrała się do podróży, nie na spacer. - Dokąd, panno Wood? Obejrzymy bramę wjazdową do Calais?

- Niezwłocznie opuszczamy miasto, moja droga - zapowiedziała panna Wood. - Mam dość tej okropnej gospody i jej nieznośnych właścicieli. Powiadomiono mnie, że nasz powóz jest gotowy, więc wyjeżdżamy, gdy tylko się przebierzesz, moje dziecko. Pośpiesz się, do zmroku coraz bliżej.

- Teraz? - spytała Mary słabym głosem i rozejrzała się w poszukiwaniu lorda Fitzgeralda. Dylizans stał pusty, wokół niego kręciła się tylko garstka osób. Wśród nich brakowało chłopki z truskawkami, a także Johna.

- Co w tym dziwnego? - zdziwiła się guwernantka. - Żle się czujesz? Wyszłaś bez kapelusza i najwyraźniej słońce ci zaszkodziło. Masz zaróżowione policzki.

- Oczekiwałam znajomego... - Może podążył za wieśniaczką? Może nie chciała mu sprzedać truskawek, więc poszedł gdzie indziej? Przecież chciał ją zabrać do Paryża, nie mógł tak po prostu zniknąć.

- Znajomego?! - Panna Wood osłupiała. - Jakiego znajomego masz w Calais, moja panno?

Przygnębiona Mary nie odpowiedziała. Może to lepiej, że lord John sobie poszedł. Przecież nie mogłaby go przedstawić ani guwernantce,

ani siostrze. Teraz potulnie pojedzie z nimi do Paryża i potraktuje przystojnego arystokratę tak, jak on ją potraktował. Obejdzie się bez pożegnań, rozczarowań, żalów. Popatrzyła w głąb alejki, lecz monsieur Dumont również sobie poszedł. Wszystko to nie mieściło się jej w głowie!

- Chodźmy, Mary. - Panna Wood poprowadziła podopieczną w kierunku gospody. - Deborah z pewnością spakowała twój kufer, lady Diana chyba też jest gotowa.

W połowie schodów na piętro nagle usłyszała głos madame Gris.

- Proszę zaczekać, jaśnie pani! - wołała gospodyni. - Zapomniała pani zabrać z salonu te piękne kwiaty od dżentelmena.

Panna Wood postąpiła podopiecznej pytające spojrzenie.

- Przykro mi, madame - odparła Mary powoli. - Zaszła pomyłka. Te kwiaty nie były przeznaczone dla mnie.

Madame Gris uniosła brwi.

- Ależ jestem pewna....

- Nie, madame - przerwała jej Mary. - Bukiet nie był przeznaczony dla mnie. Dżentelmen się pomylił.

Rozdział czwarty

John znieruchomiał na ulicy, z koszykiem truskawek w jednej ręce i małym cynowym skopkiem śmietany w drugiej. Dokąd poszła Mary?

Popatrzył na gospodę „Coq d'Or”. Liczył na to, że ujrzy Mary tam, gdzie się rozstali. W otwartych drzwiach wejściowych stała jednak madame Gris, właśnie nakazując służącemu, aby przeniósł kufer na tył budynku. Madame zachowywała się szorstko i nieprzyjemnie, przed służbą odstaniała prawdziwą naturę, skrzętnie skrywaną w towarzystwie gości. Do przykrego zachowania gospodyni nie pasował jednak bukiet, który trzymała w rękach. John bez trudu rozpoznał kwiaty, które wcześniej przyniósł dla lady Farren.

- Madame Gris! - Pośpieszył w kierunku gospodyni. - Czy widziała pani lady Farren?

- Owszem, wasza lordowska mość - potwierdziła. - Powiedziała, że nie chce ani kwiatów, ani jaśnie pana.

John nie potrafił uwierzyć w to, co usłyszał. Przecież oboje cieszyli się swoim towarzystwem. Na pewno Mary nie udawała. Co spowodowało tak gwałtowną przemianę?

- Czy na pewno? - upewnił się. - Może zostawiła dla mnie wiadomość?

- Nie, wasza lordowska mość. - Madame przełożyła kwiaty z jednej pulchnej dłoni do drugiej. - Towarzyszyła jej przyzwoitka. To ona mogła nakazać lady Farren wyjazd. Mają wyruszyć lada moment własnym powozem.

- Tak, to prawdopodobne - przyznał. Madame Gris pokiwała głową.

- Angielka z wyższych sfery nie ma wyboru, prawda? - zauważyła. - Musi wziąć ślub z kawalerem wskazanym przez ojca.

Dopiero teraz John poczuł się głupio, z truskawkami w jednej dłoni i śmietaną w drugiej. Cóż z tego, że Mary śmiała się razem z nim, wymieniając uwagi na temat obrazów z dawnych wieków? Cóż, że

udawała chęć ucieczki dylizanssem do Paryża i uśmiechała się tak uroczo, jakby John był mężczyzną jej życia? Przecież w końcu i tak musiała wrócić tam, skąd przybyła: na arystokratyczne salony Anglii. Z pewnością nie zamierzała wiązać przyszłości z szóstym synem zubożałego markiza z Irlandii.

- Przepraszam, że pytam, jaśnie panie, ale co mam zrobić z kwiatami?

- Cokolwiek sobie pani życzy, skoro lady Farren nimi wzgardziła. -

Westchnął ciężko i odłożył koszyk oraz skopek na ławce przy drzwiach. - Tak samo proszę postąpić z tym. Skoro mnie nie chce, to zapewne nie zainteresują jej także przyniesione przeze mnie owoce.

Wyposażona w wachlarz z kości słoniowej Mary siedziała w jednym kącie powozu, a Diana w drugim. Panna Wood podróżowała tyłem, na kanapie naprzeciwko podopiecznych. Skórzane poduszki niedawno wypełniono świeżą wełną, a pod kabiną zainstalowano nowe skórzane pasy, które skutecznie amortyzowały pojazd. Podróżne opuściły szklane okna w kabinie, aby móc delectować się podmuchem nadmorskiej bryzy i słodką wonią zboża, dojrzewającego na polach.

Droga pocztowa z Calais do Paryża była szeroka i wygodna. Przebiegała wzdłuż wybrzeża do Boulogne-sur-Mer, mijając bielone domy Montreuil, miasta na wzgórzu. Dalej skręcała w głąb lądu do Abbeville, docierała do Amiens, Chantilly i wreszcie do stolicy. Mary skrupulatnie zaznaczyła nazwy wszystkich tych miejscowości na mapie, którą zabrała, aby śledzić pokonywany szlak. Wzdłuż drogi znajdowało się mnóstwo gospód i zajazdów, doskonale wyposażonych i oferujących cudzoziemcom smaczne posiłki oraz wygodne noclegi.

Podczas ostatniego postoju podróżniczki otworzyły kosz z kurczakiem na zimno, kawałkami sera i ciastem upieczonym przez pannę Wood. Diana uraczyła się lemoniadą z kryształowej szklanki, której nie zabrakło wśród utensyliów niezbędnych w podróży. Dysponowały wszelkimi wygodami, lecz zapatrzona w dal Mary nie czuła się szczęśliwa. W dylizansie byłoby gorąco, ciasno i duszno, ale inaczej, ciekawiej. Lord Fitzgerald by o to zadbał, a ona cieszyłaby się każdą minutą podróży. Teraz jechało się jej tak jak z Aston Hall do kościoła. Było tu jak we

własnym domu: bezpiecznie, wygodnie i potwornie nudno.

W pewnej chwili panna Wood westchnęła i cicho zachrapała. Głowa opadła jej na ramię, a szary czepek z daszkiem zsunął się na zamknięte powieki. Diana zachichotała.

- Droga siostrzo - szepnęła - mów.

Mary wymownie zerknęła na guwernantkę.

- Ciszej, Dianko, obudzisz pannę Wood.

- Nie wykręcisz się - oznajmiła Diana, otwierając szeroko oczy. - Służba w „Coq d'Or” mówiła tylko o tobie i tym dżentelmenie, z którym spotkałaś się podczas śniadania. Kto to taki?

Mary powoli złożyła wachlarz i delikatnie postukała nim o dłoń. Doszła do wniosku, że im szybciej powie siostrze prawdę, tym rychlej cała sprawa pójdzie w niepamięć. Poza tym utrzymywanie sekretów nie leżało w jej naturze.

- Powiem z ręką na sercu, że nie wiem - wyznała ze smutkiem. - Nasze spotkanie było całkiem przypadkowe. Wyjawił, że jest irlandzkim lordem. Właściwie nie dowiedziałam się o nim wiele więcej.

- Prawdziwy lord to smakowity kąsek - oświadczyła Diana ze znanstwem. - Nawet bardzo smakowity. Niestety, twój dżentelmen może mijać się z prawdą. Panowie często to robią, aby korzystniej wypaść w oczach dam.

- To prawda, mógł skłamać - przytaknęła Mary. Zrobiło się jej głupio z powodu własnej łatwowierności. Z zasady wierzyła we wszystko, co ludzie mówili jej o sobie. Taka ufność w odniesieniu do obcego dżentelmena mogła obrócić się przeciwko niej. - W rozmowie ze mną podkreślił, że nie ma domu. Podobno jest obywatelem świata i świetnie się czuje wszędzie tam, dokąd rzuci go los.

- Raczej tam, gdzie nie czekają na niego strażnicy z nakazem aresztowania - zauważyła Diana zgryźliwie. - Może nie jestem sprawiedliwa, nie wiem. Czy jest przystojny? Młody? Atrakcyjny? Uroczy i uwodzicielski?

- Och tak! - potwierdziła Mary. - Był dowcipny. Rozbawił mnie.

Diana uniosła szklankę z lemoniadą, jakby chciała spełnić toast za

zdrowie siostry.

- Masz świetny gust - oznajmiła. - Zawsze cię o to podejrzewałam, ostatecznie jesteś moją siostrą. Och, to takie podniecające!

Mary wymownie popatrzyła na pogrążoną we śnie guwernantkę.

- Panna Wood nic o tym nie wie - szepnęła.

- Podejrzewam, że przeciwnie, wie wszystko - zaproponowała Diana. - Nic nie zachowa się przed nią w tajemnicy. Jest niestychnie łasa na sekrety. Jak sądzisz, dlaczego w takim pośpiechu opuściliśmy Calais?

Mary się zachmurzyła. Sądziła, że w kontaktach z lordem Fitzgeraldem zachowuje daleko idącą dyskrecję, ale Diana trafiła w sedno. Dlaczego nagle wyjechały z miasta?

Diana przysunęła się do siostry.

- Powiedz, jak ten zabójczo przystojny lord znalazł się u ciebie na śniadaniu?

- Po prostu przyszedł do mnie. - Mary uśmiechnęła się na to wspomnienie. - Wcześniej w antykwariacie próbował kupić dla mnie obraz z aniołem, ale do tego nie dopuściłam. Zaoferowałam wyższą cenę.

- Nabyłaś ten okropny obraz dlatego, że on go chciał kupić? To przez niego popełniłaś tak fatalny błąd?

- Muszę powiedzieć ci coś na temat tego dzieła. - Mary zniżyła głos. - Moim zdaniem, jest w nim coś niezwykłego.

- Niezwykła brzydota.

- Na miłość boską, ucisz się wreszcie. Dzisiaj rano, zanim wyjechałyśmy z Calais, do gospody przyszedł stary antykwariusz, od którego kupiłam obraz, i przestrzegł mnie, żebym nikomu nie mówiła o swoim nabytku. Błagał, abym zachowała daleko idącą dyskrecję.

- Dlaczego? - zdumiała się Diana. - Co może być niebezpiecznego w obrazie, zwłaszcza tak ohydny?

- Nie mam pojęcia. Na wszelki wypadek ukryłam go pod moimi bagażami. Domyślałam się jednak, że kupiłam falsyfikat, a pan Dumont nie chce utracić wiarygodności w oczach klientów, więc prosi mnie o dyskrecję.

- Chętnie dochowam tajemnicy, nic mnie to nie kosztuje - oświadczyła Diana. - W razie potrzeby przysięgnę, że nigdy nie widziałam tego dzieła sztuki. Twojego sekretu, Mary, również dotrzymam.

- Nie powiesz nikomu, że kupiłam obraz?

Diana uśmiechnęła się przebiegle i zrobiła perskie oko.

- Nie, głuptasku. Nikt się ode mnie nie dowie o twoim dzentelmenie. Mary nie wydawała się rozbawiona.

- Z dzentelmenem nie łączą mnie żadne tajemnice - oświadczyła wyniośle. - Poza tym pamiętaj, że podróżujesz z panną Wood i ze mną po to, aby poprawić swoją reputację. Nie wolno ci stawiać siostry w złym świetle.

Niezrażona Diana posłała Mary bezczelne spojrzenie i odkorkowała karafkę z lemoniadą.

- Wiesz co? Dla obopólnego komfortu powinniśmy zawrzeć pakt. Obiecuję, że będę zachowywać się, jak na damę przystało, a ty przysięgniesz, że nie będziesz tak surowa i nieprzejeđnana.

- Wykluczone! - oburzyła się Mary. Już wcześniej obiecała sobie, że podczas podróży spróbuje poszukać przygód. Nie widziała jednak potrzeby składania tego typu deklaracji przed niemądrą siostrą. - Czemu miałabym ci cokolwiek przysięgać?

- Bo jestem gotowa do ustępstw. Czyżbyś nie chciała kompromisu? - Diana sięgnęła po szklankę siostry, zawieszoną na specjalnym haczyku, i napełniła ją lemoniadą. Wcisnęła naczynie w dłoń Mary, po czym lekko stuknęła je własną szklanką. - Wypijmy za puszczenie w niepamięć tego, o czym warto zapomnieć.

- Nie wzniosę tak niedorzecznego toastu. Lepiej uczyć się na popełnionych błędach, niż o nich zapominać.

- Lepiej mów ciszej, siostrzyczko, bo obudzisz pannę Wood. - Diana zerknęła wymownie na guwernantkę, która tkwiła w objęciach Morfeusza. - Czy naprawdę wypuściłaś się tak daleko od domu, aby teraz umierać z nudów i krztusić się kurzem starych obrazów?

Mary nie liczyła na to, że jeszcze kiedyś spotka lorda Johna

Fitzgeralda, lecz dzięki niemu jej pierwsze dni poza granicami Anglii nabrały rumieńców. Czyż przygody z tym mężczyzną nie powinny być przygrywką do następnych fascynujących wydarzeń?

Diana delikatnie stuknęła szklanką o szklankę siostry.

- Mam myśl - powiedziała cicho. - Wypijmy za przyszłość. Za Paryż, Florencję i Rzym.

- Za Paryż, Florencję i Rzym - powtórzyła Mary i uśmiechnęła się szeroko. - I za przygodę!

Dochodziła północ, kiedy John postanowił wrócić do mieszkania, które wynajmował od monsieur Dessina. Tego wieczoru robił, co mógł, aby jak najszybciej zakończyć dzień. Wypił więcej, niż należało, i zbyt dużo czasu spędził przy kartach. Cóż, wino okazało się za słabe, więc się nie upił, a pozostali gracze marnie sobie radzili i w rezultacie pozbawili go kary w postaci przegranej. Przez cały dzień wszystko szło inaczej, niż zamierzył.

Uznał, że spacer przed snem dobrze mu robi, więc nasunął kapelusz na oczy, wepchnął ręce do kieszeni płaszcza i ruszył w drogę. Calais nie przypominało jednak Paryża. O tej porze po ulicach przemykali nieliczni przechodnie. Panującą ciszę zakłócał jedynie szum fal. Tylko dziewczyna tak skromna i cicha jak lady Mary Farren mogła uznać Calais za miasto fascynujące i barwne. John uśmiechnął się mimowolnie, gdy oczami duszy ujrzał Mary, rozradowaną i zachwyconą przyjazdem dyliżansu.

Od początku wiedział, że ta urocza, młoda dama posłuży mu jako zaledwie kilkudniowa, nietrwała rozrywka. Interesował go wyłącznie przelotny flirt, więc dlaczego chodził jak struty, gdy romans dobiegł końca, nim jeszcze się zaczął?

Miał własne życie i mógł nim kierować wedle własnego uznania. Przewijały się przez nie kobiety: piękne, inteligentne i chętne, z pieniędzmi i pochodzeniem. Nie musiał zabiegać o względy wyniosłego księcia, aby uzyskać przyzwolenie na adorowanie jego córki.

Jednak dostrzegł w Mary coś wyjątkowego i trudnego do zdefiniowania, podobnie jak w obrazie przedstawiającym anioła. Z tego powodu utrata jednego i drugiego była dla niego bolesnym przeżyciem.

Ze złością kopnął walający się po chodniku kamień i wymamrotał kilka dosadnych przekleństw pod adresem własnego życia i ciężkiego losu. Snuł się tak jeszcze przez pewien czas, aż wreszcie skręcił w ostatnią ulicę.

Wyczuł dym, jeszcze zanim ujrzał płomień, a zaraz potem usłyszał krzyki mężczyzn, którzy podbiegali do płonącego sklepu i polewali go wodą z wiader. John machinalnie podszedł bliżej i znieruchomiał w tłumie gapiów. Jaskrawopomarańczowe płomień, podsycane nadmorską bryzą, łapczywie lizały wykuszowe okno. Szyby popękały pod wpływem ognia. Niczym złapani w śmiertelną pułapkę klienci, ustawione w sklepie posążki z rezygnacją czekały na swój los. Łapczywe płomień przybierały rozmaite barwy w zależności od tego, jaki przedmiot postanowiły pochłonąć.

John pomyślał, że za kwadrans z antykwariatu Dumonta zostaną zgliszczą.

- Idę o zakład, że stary skąpiec sam podłożył ogień - odezwał się mężczyzna w tłumie. - Podobno śledczy mieli go na oku, bo handlował fałszowanymi przedmiotami.

- Dowody przestępstwa poszły z dymem - dodał inny człowiek. Jego twarz wydawała się niemal pogodna w świetle płomieni. - Wynióś złoto, spalił trefny towar.

John przecisnął się na przód zbiegowiska.

- Co z Dumontem? - spytał. - Mieszkał za sklepem. Może być w środku.

- Niech Dumonta piekło pochłonie! - krzyknął ktoś. - Tam jego miejsce!

Rozochociona darmowym widowiskiem tłuszcza ryknęła śmiechem. Nikomu nawet nie przyszło do głowy, aby pomóc kilku mężczyznom z wiadrami.

John nie zamierzał stać bezczynnie. Ściągnął surdut, obwiązał chustką nos oraz usta i pobiegł wąskim zaułkiem do tylnych drzwi sklepu. Gorące powietrze, zgromadzone między budynkami z cegieł, parzyło tak samo jak płomień. Mimo to parł naprzód, choć oczy piekły go coraz do-

tkliwiej. Po chwili ze zdumieniem zorientował się, że drzwi są uchylone. Kopnął je i wpadł do środka, prosto w gryzący dym.

- Dumont! - zawołał. Pochylił się nisko, aby uchronić twarz przed najgęstszymi kłębkami. - Dumont, do mnie!

Nikt nie odpowiedział. W zasadzie John nie spodziewał się żadnej reakcji. Jeśli handlarz znajdował się w budynku, na pewno był nieprzytomny. John rozkaszał się i padł na kolana. Gdy pełzył po podłodze, nagle dotknął ręką jakiegoś miękkiego przedmiotu, owiniętego szorstką wełną. Noga Dumonta, przeszło mu przez myśl. Bez zastanowienia chwycił ją mocno i pociągnął do wyjścia. Z najwyższym trudem wywlókł mężczyznę na podwórze.

W bezpiecznej odległości od ognia John ponownie osunął się na kolana. Usiłował opanować chrapliwy kaszel, bezustannie wycierał oczy rękawem. Po policzkach płynęły mu łzy, oddychał z trudem. Poczł na ramieniu czyjąś dłoń, lecz nie miał siły się odwrócić.

- Monsieur, jest pan ranny?

John z wysiłkiem skierował wzrok na nieznanego. Ujrzał funkcjonariusza miejscowej straży, w niebiesko-białym uniformie nadmorskiego garnizonu. Podczas pożaru żandarmi przejmowali funkcję strażaków.

- Ze mną... w porządku - wychrypiął. - Dumont... co z nim?

- Niestety, monsieur Dumont nie żyje - oznajmił żandarm. - Był martwy, kiedy wyciągał go pan z pożaru. Sporo pan ryzykował i wszystko na nic. *C'est la vie!*

John popatrzył na zwłoki handlarza i ponownie przetarł oczy. Był zbyt zmęczony, aby trzeźwo myśleć, lecz wzdrygnął się na widok starca. Na twarzy Dumonta widniały smugi sadzy, siwe włosy miał z jednej strony spalone, skórę na skroni pokrywały pęcherze. Dłonie nieszczęśnika były mocno związane sznurem na plecach, w jego ustach tkwił knebel - stara szmata, która z pewnością skutecznie uciszyła krzyki. Na przedzie usmolonej koszuli widniała wielka, szkarłatna plama i otwarta rana postrzałowa.

- Morderstwo, monsieur - wyjaśnił strażnik. - Morderstwo, bez dwóch

zdań.

Hrabia de Archambault zmełł w ustach przekleństwo. Po raz ostatni przeczytał list, zgniół go w dłoni i cisnął do ognia w kominku. Nie cierpiał partactwa. Starannie wyjaśnił wynajętym ludziom, co mają zrobić, a choć zadanie było proste, oni i tak pokpili sprawę.

To oczywiste, że stary handlarz z Calais zaprzeczył, jakoby cokolwiek wiedział o temperze z aniołem. Jeśli choć trochę znał się na swoim fachu, bez wątpienia z miejsca docenił wartość obrazu. Na pewno podejrzewał też, że dzieło pochodzi z kradzieży. Bezimienny złodziej musiał zachowywać się nerwowo i prawdopodobnie pozbył się obrazu za bezcen.

Dumont niewątpliwie zachował arcydzieło dla najlepszego klienta, a przynajmniej dla kogoś, kto byłby gotów słono za nie zapłacić. Nie zaproponowałby obrazu dwóm opryszkom, którzy wdarli się do sklepu i usiłowali zastraszyć właściciela. Nic dziwnego, że dostał udaru, zanim zdołał wyjawic istotne informacje. A ci kretyni, pozbawieni wyobraźni idioci, strzelili do świeżego trupa i podłożyli ogień pod sklep.

Archambault z irytacją postukał laską w kominek. Głupcy. Myśleli, że przyjmie do wiadomości ich żałosne tłumaczenia? Miałyby wybaczyć tak niedopuszczalne potknięcie? Przesunął czerwoną papugę z porcelany odrobinę w lewo. Teraz ponownie stała idealnie pośrodku marmurowej półki nad kominkiem. Trudno pojąć, dlaczego ani jedna pokojówka nie potrafi odkurzyć pokoju i nie zrobić jednocześnie koszmarnego bałaganu, pomyślał.

Skrzywił się i potarł dłonią brzuch, aby złagodzić przenikliwy ból. Musiał zwolnić następną służącą, a do tego przekazać w ręce straży kolejnych dwóch wywiadowców. Anonimowo, rzecz jasna. Nie zamierzał obciążać sumienia ich przewinieniami. Wiedział, że wkrótce znajdzie następnych, którzy chętnie przyjmą jego pieniądze. Posłuszeństwo i lojalność to oczywisty wymóg pracodawcy w stosunku do pracownika.

Odwrócił się od ognia i uśmiechnął, spojrzawszy na obraz z wizerunkiem Matki Boskiej, zawieszony przy łóżku. Otrzymał go od babki, a wraz z nim rodzinne legendy. Spokój, pomyślał, oto, co się liczy.

Błogostawiona Dziewica rozpościerała błękitną szatę niczym skrzydła, aby chronić ten żałosny świat. Miej mnie w swojej opiece, Matko Boska, pomyśl. Czemu nie mogę znaleźć ukojenia?

Ból brzucha nasilał się z dnia na dzień, choroba zżerała go od środka. Nie pomagało upuszczanie krwi, posty ani medykamenty. Musiał umrzeć, zapewne przed czterdziestymi urodzinami, które przypadały najbliższej zimy. Coraz częściej samotnie leżał nocą w łóżku i skręcał się z bólu, zlany potem, modląc się o rychłą śmierć, nawet za cenę duszy.

Powoli podszedł do obrazu. Nie miał żony ani dzieci. Z roku na rok odwlekał decyzję o ślubie i potomstwie. Teraz było za późno. Zmarnował życie sobie i wielu innym - dla przyjemności, rozrywki, z nudów...

Podniósł wzrok na obraz. Teraz nic innego mu nie zostało. Tylko to arcydzieło mogło go wybawić. Jego potęga nie leżała w rozmiarach - mały obraz z powodzeniem mógł zmieścić się w podróżnym kufrze - lecz w doskonałości każdego śladu pędzla.

Dwieście lat wojen i okrutnej, ludzkiej chciwości sprawiło, że tryptyk został rozdzielony, lecz Archambault poprzysiągł, że przed śmiercią odtworzy ołtarz Matki Boskiej, dla Jej chwały i dla własnego zbawienia. Ubiegłej wiosny jego wywiadowcy znaleźli fragment dzieła, który pierwotnie stanowił prawe skrzydło tryptyku. Widnieli na nim przodkowie Archambaulta, klęczący pod chórem cherubinów. Specjaliści oczyścili drewno, odtworzyli pozłacane ramy. Brakowało tylko lewej deski z temperowym malowidłem. Archambault chciał wierzyć, że w tym tygodniu zguba odnalazła się w Calais. Musiał jednak przełknąć gorzki rozczarowania. Ani pieniądze, ani potęga i wpływy nie mogły mu pomóc. Ponownie został z niczym.

- Wybacz mi, Przenajświętsza Dziewico - wychrypiął i ukłonił się najniżej, jak potrafił. - Klnę się na honor, znajdę trzeci fragment. Nie zaprzestaną poszukiwań. Daj mi tylko czas, Matko Boska, a doprowadzę do końca to, co zacząłem.

Mary oparła głowę na ramieniu Diany i drzemała. Poprzedniego dnia podróż przebiegła bez większych problemów. Panie zatrzymały się tylko

na obiad, a potem przenocowały w całkiem przyzwoitej gospodzie. Dzisiaj jednak wszystko szło jak po grudzie. Jeden z czterech koni pocztowych okulał, nim stajenni zdołali go zaprząć.

Lord Fitzgerald słusznie przewidział, że duży angielski powóz nie sprawdzi się na wąskich drogach. Co rusz utykali za wozami wieśniaków. Wymijanie ich było kłopotliwe, długotrwałe i nieprzyjemne, bo rzadko kiedy obywało się bez hałaśliwych utarczek słownych z niespecjalnie życzliwymi chłopami. Jednego razu powóz został zatrzymany przez stado bydła, przepędzane z jednego pastwiska na drugie.

Tego dnia słońce mocno przygrzewało, więc lakierowany dach powozu wkrótce stał się nieznośnie gorący, a skórzana tapicerka w kabinie zaczęła nieprzyjemnie się lepić. Pod kapeluszem Mary zbierał się pot, który strużkami ściekał po szyi i wsiąkał w gorset oraz w bieliznę. Wkrótce Mary była cała mokra i nie mogła doczekać się następnego postoju. Chciała jak najszybciej ściągnąć niewygodne, przepocone ubranie, bez względu na to, jak bardzo niestosownie wygląda dama w samej bieliźnie.

Gdy zapadł zmierzch, woźnica zapalił latarnie i ze wszystkich sił próbował nadrobić stracony czas. Popędzał zmęczone konie, aby możliwie szybko dotrzeć do gospody na kolację i nocleg. W pewnej chwili powóz zatrząsł się gwałtownie w koleinie na drodze. Nieoczekiwanie przebudzona z głębokiego snu, Mary wyprostowała się i machinalnie wyciągnęła przed siebie ręce. Pomimo senności natychmiast się zorientowała, że dzieje się coś niedobrego. Woźnica nerwowo krzychał do pocztylionów, a służący na dachu powozu niespokojnie wymieniali uwagi. Mary momentalnie odzyskała jasność umysłu, zbliżyła się do okna i odciągnęła zasłonkę.

Obok powozu pędził kary koń, a na nim jeździec w czerni, z twarzą owiniętą szalikiem. W bladym świetle księżyca widać było tylko długą lufę pistoletu, którym gniewnie wymachiwał.

- Woźnico, zatrzymaj powóz, bo położę cię trupem! - wykrzyknął. - Zaraz będziesz błagał o życie!

Mary dopiero teraz zauważyła, że napastnikowi towarzyszy jeszcze

dwóch kompanów. Byli zamaskowani i potrząsali bronią. Od razu zrozumiała, że ucieczka nie wchodzi w grę. Woźnica również to sobie uświadomił, więc powóz stopniowo zwalniał. Nie było czasu do stracenia.

- Diana, panno Wood! - wyszeptała i szturchnęła towarzyszek, aby się obudziły. - Wstawajcie, szybko! Rozbójnicy nas napadli!

- Rozbójnicy! - Diana raptownie się wyprostowała i chwyciła Mary za rękę. - Och, co my teraz zrobimy? Co to będzie?

- Musimy pamiętać, że jesteśmy angielskimi damami - przypomniała podopiecznym panna Wood. Jej głos drżał.

- Nie pozwolimy się zastraszyć. Niech Bóg ma nas w swojej opiece. Tymczasem Mary rozpostarła chustkę na kolanach.

- Diana, kolczyki - zażądała i sama odpięła z uszu okazałej wielkości perły, bezcenne pamiątki po mamie. Złapała koralowe kolczyki Diany i zawinęła precjoza w tkaninę. Zawiniątka ukryła za karafką, w małej wnęce w ścianie powozu. - Oddam im srebrną bransoletę, jeśli zażądata. Diana, ty im dasz pierścionek. Panno Wood, proszę naszykować portmonetkę z drobnymi monetami. Pamiętajcie, żeby oddawać im te przedmioty niechętnie, bo nabiorą podejrzeń.

Panna Wood drżącymi rękami wyciągnęła portmonetkę.

- Zapewniano mnie, że we Francji nie grasują rozbójnicy, a już na pewno nie na drodze do Paryża. Powiedziano mi, że będziemy bezpieczni, dokądkolwiek pojedziemy. Powinniśmy być zaczekać na monsieur Leclaira. Och, dziewczęta, co ja powiem waszemu ojcu?

- Niech mu pani powie, że postępowałyśmy z odwagą i godnością. - Mary dumnie uniosła głowę. - Wielkie nieba, to oni!

Konny jednym ruchem otworzył drzwi powozu.

- Wynocha! - wrzasnął. - Szybciej, przekłete ladacznice! Panna Wood prychnęła z oburzeniem.

- Nie jesteśmy ladacznicami! - oświadczyła buńczucznie.

- Jesteśmy angielskimi damami.

- Buziuchna w kubeł i na ziemię! - rozkazał mężczyzna i wymownie machnął pistoletem. - Wasze żałosne tyłki nie są nam do niczego

potrzebne.

Diana zeskoczyła pierwsza.

- Dotąd żyłam w przekonaniu, że rozbójnicy to dżentelmeni - oznajmiła wyniośle. - Panowie powinni być szarmanccy.

- Diano, cicho - przykazała Mary i objęła siostrę w talii, aby ją zarazem uspokoić i pocieszyć. Woźnica, pocztylioni i służący stali już na trawie, z rękami podniesionymi wysoko do góry. Biedna Deborah cicho chlipała. - Choć raz w życiu postaraj się uciszyć!

Jeden z napastników celował do swoich ofiar z pistoletu, a jego kompani wskoczyli na tył powozu i sukcesywnie rozbijali zamki przy kufrach. Używali do tego rękojeści pistoletów. Mary nie rozumiała ich postępowania. Co prawda, nie zetknęła się dotąd z rozbójnikami, lecz żyła w przekonaniu, że bandyci zabierają pasażerom kosztowności i pieniądze, a potem umykają. Zdziwiło ją, że ci rozbójnicy wolą przetrząsać bagaże, ale cóż, być może francuskie łotry są całkiem odmienne od angielskich.

Nagle uświadomiła sobie, że bandyci mówili po angielsku. Z początku była zbyt przerażona, aby zwrócić uwagę na ten fakt. Mary przekonała się, że we Francji ludzie uparcie trzymają się rodzimego języka, nawet jeśli dobrze znają angielski. Czy to możliwe, że rozbójnicy polowali specjalnie na nią i na jej towarzyszkę, niczym na z góry upatrzone ofiary?

Coraz bardziej wystraszona, Mary przytuliła się mocniej do Diany. Postanowiła uważniej śledzić rozwój sytuacji, aby później zdać precyzyjną relację strażnikom. Musiała być odważna, w końcu sama pragnęła przygód. Czy mogła spodziewać się czegoś bardziej fascynującego niż napad zamaskowanych rozbójników? Nagle usłyszała tętent galopujących w oddali koni. Czy to posiłki dla bandytów, czy też odsiecz dla ich ofiar?

Diana również usłyszała stukot końskich kopyt.

- Mary, posłuchaj! - szepnęła. - Chyba.

- Wiem. Też to słyszę!

Dźwięk dotarł do uszu jednego z bandytów, który zawrócił konia w kierunku hałasu i po francusku krzyknął coś do towarzyszy.

- Patrz, Mary, patrz! - zawołała Diana.

W oddali zamajaczyły sylwetki jeźdźców, rosące z każdą sekundą. Nagle coś wśród nich błysnęło i zagrzmiął huk wystrzału. Rozbójnik znowu krzyknął, machając nerwowo dłonią. Mary nie rozumiała jego słów, ale była pewna, że to przekleństwa.

Chwyciła siostrę za rękę.

- Biegniemy, szybko! - rozkazała.

Dziewczęta schyliły się za otwartymi drzwiami, obiegiły powóz i popędziły na drugą stronę drogi, do pobliskiego zagajnika.

- Połóż się w krzakach, Diano! - wyszeptała Mary. - Nawet ślepiec dostrzegłby białe suknie wśród ciemnych drzew.

- Dlaczego się ukrywamy? - zdumiała się Diana. - Przecież źli ludzie odjeżdżają. Nic nam nie zabrali!

- Tego nie wiesz. - Kufry i skrzynie wały się po trawie razem z powyciąganą zawartością. - Może chcieli nas zabrać jako zakładniczki. Doskonale wiesz, że ojciec zapłaciłby za nas każdą sumę.

- W niewoli mogliby nas zgwałcić! - wykrztusiła Diana.

- Przestań zaprzętać sobie głowę tymi sprawami. Nawet nie wiemy, czego szukali ci ludzie.

Diana odgarnęła liście.

- Szukali klejnotów i pieniędzy, jak to złodzieje. Albo dybali na naszą cnotę. Spójrz, nadjeżdżają konni!

Mary chwyciła siostrę za suknię i stanowczo wciągnęła z powrotem za krzak.

- Głuptasie! Nie masz pojęcia, kim są nowi przybysze, mimo to pędzisz ich powitać niczym zwycięskich bohaterów. Przecież mogą być jeszcze bardziej podli i niegodziwi niż ci, którzy na nas napadli.

- Nikomu nie ufasz, Mary - zauważyła Diana z wyrzutem, lecz pozostała przy siostrze.

- Mary! - rozległ się głos panny Wood. Dobiał z drugiej strony powozu. - Diano! Och, gdzie się obie podziałyście, moje panny?

Zanim dziewczęta zdążyły odpowiedzieć, obok przegalopowała gromada konnych. Nie zwrócili uwagi na powóz, nie zainteresowali się

krzakami, które dały schronienie Mary i Dianie. Od razu popędzili za rozbójnikami. Zatrzymał się tylko jeden jeździec, który ściągnął wodze tuż przy gromadce wystraszonych służących.

- Może zamierza wziąć pannę Wood w niewolę - wyraziła przypuszczenie Diana i dyskretnie zerknęła w stronę nieznanego. - Ma pecha, bo ojciec nie zapłaci za jej wykupienie więcej niż dwa szylingi.

- Cicho! - Mary nie widziała obcego, ale wydało się jej, że rozpoznaje jego głos, gdy uspokajał zdenerwowaną służbę.

To niemożliwe, pomyślała. Czy naprawdę podążał za nią aż tutaj?

- Lady Farren! - zawołał wybawiciel. - Czy pani mnie słyszy? Niebezpieczeństwo minęło, może pani wrócić!

- To on! - Wygramoliła się z krzaków i ruszyła w kierunku powozu.

- Mary, dokąd idziesz? - spytała niepewnie Diana. - Przecież może nas porwać dla okupu!

- Nie ma mowy o żadnym okupie - odparła Mary. - Jesteśmy uratowane!

Lord John Fitzgerald stał w otoczeniu służby. W jednej ręce trzymał wodze, a w drugiej kapelusz. Jako arystokrata, miał pełne prawo nie zdejmować nakrycia głowy podczas rozmowy z gorszymi od siebie, tym razem jednak wolał pokazać wystraszonym ludziom twarz, aby ich uspokoić.

- W ostatniej gospodzie usłyszałem, jak banda nieciekawych typów wypytuje o angielski powóz - tłumaczył. - Pojąłem, że chodzi o wasz zaprzęg, i powiedziałem o tym karczmarzowi. W okolicy doszło ostatnio do serii napadów, więc wyznaczono nagrodę za schwytanie rozbójników. Moją rozmowę z właścicielem gospody usłyszało kilku ludzi przy barze, którzy sami zaproponowali, że pomogą mi pojmać tych łotrów.

- Jaśnie pan dobrze uczynił - odezwał się woźnica. - Te dranie chciały jak najgorzej, bez dwóch zdań.

- Innymi słowy, wszyscy panu dziękujemy - dodała Mary, zbliżając się do latarni. - Uratował pan nas i jesteśmy pańskimi dłużnikami.

Panna Wood odetchnęła i podbiegła do podopiecznej, aby ją chwycić

za rękę.

- Och, Mary, jak to dobrze, że jesteś cała i zdrowa! Czy Diana...?

- Jej również nic się nie stało - oznajmiła Mary. Zadowolenie widoczne na twarzy Johna sprawiło, że w jednej chwili zapomniała o przykrych doświadczeniach. Uśmiechnął się, a ona odwzajemniła uśmiech.

- Czy przywiózł pan truskawki? - spytała z zainteresowaniem, zapominając o gromadzie zaskoczonych świadków.

Pokręcił głową, ale ani na moment nie oderwał wzroku od Mary.

- Niestety, tego zadania nie udało mi się wykonać - odparł. - Lady Farren, nie potrafię wyrazić słowami swojej radości ze spotkania.

- Mary, najmocniej przepraszam. - Panna Wood odchrząknęła wymownie. - Odnoszę wrażenie, że znasz naszego wybawiciela.

John odezwał się pierwszy.

- Poznałem lady Farren wczoraj, gdy oboje podziwialiśmy ten sam obraz w antykwariacie. Lady Farren przebiła moją ofertę.

- Rozumiem. - Panna Wood przyglądała mu się z uwagą. Mary oblała się rumieńcem.

- Obraz przedstawia anioła - oznajmiła pośpiesznie. - Nikomu się nie podoba, z wyjątkiem mnie i lorda Fitzgeralda.

- Lorda? - zainteresowała się guwernantka. - Proszę mi wybaczyć, nie zorientowałam się.

- Lord John Fitzgerald, do usług. Jak rozumiem, to dzieło sztuki nadal znajduje się w pani posiadaniu?

- Ależ tak, proszę pana - potwierdziła Mary, nieco zaskoczona nagłą powagą rozmówcy. - Ukryłam je starannie, aby żaden rozbójnik go nie znalazł.

Czy monsieur Dumont ostrzegł także lorda Fitzgeralda?

Na wszelki wypadek postanowiła uważać na słowa w obecności służby. Wcześniej zapobiegliwie owinęła obraz w stare szmaty i ukryła go na dnie wiklinowego kosza z zapasami żywności.

Panna Wood z aprobatą pokiwała głową.

- Rozsądna to rzecz dbać o bezpieczeństwo cennych przedmiotów.

Wątpię jednak, aby bandytów interesowały tego typu dzieła sztuki.

- Obraz niekoniecznie utrafia w gust współczesnego odbiorcy, droga pani, niemniej przedstawia wielką wartość. Zawsze otaczam szczególną troską to, co uważam za najcenniejsze.

Zakłopotana Mary zwiesiła głowę. Nie potrafiła dobrać słów, aby wyznać Johnowi, jak bardzo jest mu wdzięczna. Uratował ją niczym bohater sceniczny lub książkowy.

- Pański heroizm zasługuje na najwyższy szacunek. Czy kiedykolwiek uda mi się odwdzińczyć panu za wszystko, co pan dla nas uczynił? - spytała Diana zza pleców Mary.

Przemawiała aksamitnie miękkim głosem, jak zawsze podczas rozmowy z mężczyzną. Mary nie musiała się odwracać, aby wiedzieć, że jej siostra wykorzystuje cały arsenał wypróbowanych środków, służących do przykuwania uwagi płci przeciwnej. Z pewnością stała swobodnie, opierając ciężar ciała na jednej nodze. Rękę niewątpliwie przycisnęła do żeber pod piersiami, aby wypchnąć biust wyżej niż zwykle. Drugą dłoń manipulowała przy puklu złocistych włosów, które swobodnie opadały jej na ramiona. Taka taktyka była zaskakująco skuteczna. Panowie nie mieli wyjścia, musieli wpadać w zastawioną na siebie pułapkę.

Lord Fitzgerald nie był wyjątkiem, co Mary zauważyła ze smutkiem i z rezygnacją. Uniósł brodę, uśmiechnął się szerzej i wbił wzrok w Dianę.

- Pani uśmiech jest dla mnie najwyższą nagrodą - wyznał. - Żaden dżentelmen nie mógłby oczekiwać słodszej satysfakcji.

- Oczekiwania nie mają nic wspólnego z tym, na co zasługuje dzielny mężczyzna - podkreśliła kusząco Diana. - Dowiódł pan, że po świecie stąpają jeszcze najprawdziwsi rycerze.

- Dama w opałach zawsze może na mnie liczyć - obwieścił kurtuazyjnie.

- Zaczynam podejrzewać, że urodziłam się pod szczęśliwą gwiazdą - zaszcebiotała z nieklamany zachwytem Diana. - Mary, zapoznaj mnie z naszym bohaterem.

Mary westchnęła, ale jak zwykle posłusznie dopełniła obowiązku.

- Diano, oto lord John Fitzgerald - oznajmiła cicho. -Wasza lordowska
mość, moja siostra, lady Diana Farren.

RS

Rozdział piąty

Do tej pory John zaledwie kilka razy uczestniczył w równie długich kolacjach. Ponieważ w samą porę wystraszył rozbójników, obwołano go bohaterem i zaproszono na wystawny posiłek. Fricassee du poulet okazało się nad podziw smaczne, a serwowane w przydrożnej gospodzie wina nie budziły żadnych zastrzeżeń. Z całą pewnością John nie mógłby liczyć na równie wyborne trunki w lokalach przy Grosvenor Square. Na szczególną uwagę zasługiwał delikatnie musujący szampan wprost z pobliskiej winnicy. Prywatny salon, w którym nakryto do stołu, był przyjemnym dla oka pomieszczeniem, a miłą atmosferę poprawiały uchylone na ciepłą letnią noc okna i podwójne drzwi.

Do kolacji zasiadło starannie dobrane, odprężone towarzystwo i tylko guwernantka przypominała większość guwernantek na świecie. Zamiast uczestniczyć w rozmowie, od czasu do czasu rzucała pouczające lub krytyczne uwagi.

Pozostałe dwie damy, podopieczne panny Wood, zachowywały się całkowicie odmiennie. Lady Diana okazała się istotą niebywale urzekającą. Bezustannie potrząsała gęstymi złotymi lokami, rzucając mu powłóczyście spojrzenia. Jej figura kojarzyła się z sylwetką Afrodyty, tak chętnie uwiecznianą przez malarzy. Diana była piękna jak marzenie i zarazem ujmująco uprzejma oraz czarująca. Nie skąpiła Johnowi pochlebstw, bez końca okazywała mu zainteresowanie. O ile jednak tak oczywista kokieteria byłaby wskazana u dziewczki, o tyle razita u córki angielskiego arystokraty. Od damy należało przecież oczekiwać więcej godności.

Im dłużej wznosiła na jego cześć peany i robiła do niego maślane oczy, tym silniejszy czuł niesmak. Na każde wypowiedziane przez niego słowo reagowała z zachwytem i uwielbieniem, wychwalała go pod niebiosa, nazywała swoim bohaterem, geniuszem, najprzystojniejszym mężczyzną na świecie. Na dodatek przy lada okazji pochylała się

możliwie nisko, aby zademonstrować walory ogromnego dekoltu.

Cóż, John był młodym i zdrowym mężczyzną, a nie świętym. Nie potrafił powstrzymać się od patrzenia, ale miał do siebie żal z tego powodu. To, co widział, nie było ani lepsze, ani gorsze od tego, co widywał wcześniej. Najbardziej jednak wstrząsnęło nim, jak drastycznie, wręcz bezlitośnie, lady Diana Farren spycha siostrę w cień.

Zamiast błyskotliwej energicznej dziewczyny widział cichą i zamkniętą w sobie istotę. U boku przebojowej siostry Mary sprawiała wrażenie zagubionej, prawie smutnej. Gdy próbował wciągnąć ją w rozmowę, odpowiadała uprzejmie, ale półsłówkami, a następnie znowu wbijała wzrok w talerz. Podczas całego posiłku nie uśmiechnęła się ani razu.

Zegar w salonie gospody wybił wpół do dwunastej w nocy, gdy służba zabrała ostatnie naczynia i uprzątnęła obrus.

Minęło już wiele godzin od początku spotkania, a John jeszcze nie porozmawiał z Mary. Tyle miał jej do opowiedzenia o pożarze, o śmierci Dumonta, o podejrzeniach, że obraz może mieć związek z tymi tragediami. Ponadto pragnął wyznać, jak bardzo rozczarował go jej wyjazd z Calais. Nie pożegnała się z nim wówczas i pewnie nawet nie podejrzewała, jak często potem o niej myślał.

Teraz nawet nie miał okazji zamienić z nią paru słów na osobności.

- Proszę o wybaczenie, drogie panie - odezwał się i wstał od stołu. - Mam za sobą ciężki dzień i jeśli natychmiast nie udam się na spoczynek, za moment zachrapię przy stole.

- Och, z pewnością by pan nie chrapał - zaprotestowała Diana i szybko zerwała się z miejsca. - Nie wierzę, aby tak wspaniały dżentelmen chrapał podczas snu.

Panna Wood również się podniosła.

- Przepraszamy, że zatrzymałyśmy pana tak długo. My również powinnyśmy jak najszybciej udać się na spoczynek, prawda, moje panny?

Mary szybko odsunęła krzesło, aby nareszcie móc schronić się we własnym pokoju.

- Dobranoc, wasza lordowska mość - pożegnała się z Johnem.

- Jeden moment, lady Farren - zatrzymał ją, zanim umknęła z jadalni.
- Chciałbym ponownie rzucić okiem na obraz, jeśli panna Wood pozwoli.

- Nie widzę przeciwwskazań - zapewniła go panna Wood. - Nie mogłybyśmy nie spełnić tak drobnej prośby. Mary, powiedz mi, gdzie jest obraz, a chętnie go przyniosę.

- Sama po niego pójde, panno Wood - zaprotestowała Mary, zadowolona, że nareszcie opuści pokój. - Nadal pozostaje w ukryciu.

- Och, dałabyś spokój! - fuknęła Diana. - Nikt nie ma ochoty ukraść twojego bohomazu. Lord Fitzgerald pyta o malowidło wyłącznie z grzeczności.

John uśmiechnął się, choć z najwyższym trudem powstrzymywał irytację.

- Przeciwnie, droga pani, ten obraz budzi moją szczerą ciekawość. Chciałbym też wiedzieć, jak lady Farren rozumie jego wymowę. Ponieważ jednak dzieło nie odpowiada pani gustom, obejrzę je z pani siostrą na osobności.

Mary popatrzyła na niego przerażona.

- Ach, tylko nie na osobności, tak nie można...

- Mary, nie ma nic złego w tym, że dwoje ludzi zamierza spędzić parę chwil na kontemplacji uroku obrazu w miejscu publicznym - odezwała się panna Wood. - Jego lordowska mość zasłużył na nasze zaufanie. Moja panno, idź po obraz, a Diana uda się ze mną na spoczynek.

John pesymistycznie zakładał, że Mary skorzysta z okazji i ponownie mu ucieknie, lecz nad podziw szybko powróciła z temperą w dłoniach. Wyglądała niczym amazonka z tarczą - wyjątkowo ozdobną, bo oprawioną w ciężkie złote ramy.

- Oto mój nabytek - oznajmiła. - Jak pan widzi, nadal jest w doskonałym stanie. Nie uszkodziłam go ani trochę. A teraz zechce mi pan wybaczyć...

- Nie pora na wybaczenie, lady Farren - przerwał jej stanowczo. - Musimy porozmawiać.

- Nie zmusi mnie pan do czegoś, na co nie mam chęci! - zawołała z

błyskiem w oku. - Nie ma pan...

- Dumont nie żyje.

- To niemożliwe... - wykrztusiła. - Widziałam go wczoraj, przed wyjazdem z Calais.

- Zamordowano go ostatniej nocy.

- Morderstwo! - osłupiała. - Jest pan pewien?

- Na własne oczy widziałem zwłoki oraz dowody zbrodni. Napastnik postrzelił go w klatkę piersiową, a następnie podpalił sklep, aby upozorować wypadek.

Mary patrzyła na Johna z takim niedowierzaniem, że podwinął rękawy, aby zademonstrować zaczerwienioną i nabrzmiałą od oparzeń skórę. Obrażenia były ogromnie bolesne, ale John dziękował Bogu za to, że żyje. Niejednokrotnie był świadkiem dramatycznych wydarzeń, zwłaszcza w Indiach, lecz nadal nie potrafił zapomnieć widoku twarzy Dumonta. Połowa oblicza nieszczęśnika była czerwona i nadpalona, a na drugiej utrwalił się wyraz strachu przed mordercą i nieuchronną śmiercią.

- Byłem tam - wyznał ponuro. - Widziałem miejsce zbrodni. To ja wyciągnąłem ciało Dumonta z płomieni.

- Och, przecież mógł pan zginąć! A gdyby pana zamordowali?

Odwrócił się ku drzwiom, prowadzącym do holu, z którego dobiegały dźwięki rozmowy.

- Wyjdźmy na zewnątrz - zaproponował i delikatnie ujął ją pod ramię.

- Nie wiadomo, do czyich uszu mogą dotrzeć nasze słowa.

Ze zrozumieniem skinęła głową. Wyciągnął dłoń, aby pomóc Mary nieść obraz, lecz tylko przytuliła go mocniej do piersi.

- Gdybym nie kupiła tej tempery, poszłaby z dymem - zauważyła drżącym głosem. - Po trzystu latach zostałaaby z niej garść popiołu.

- Niech pani weźmie ze sobą ten obraz. Nie wolno go zostawiać - podkreślił John.

Wyprowadził Mary przez uchylone drzwi, po czym minęli małe podwórze i poszli nad brzeg pobliskiego strumienia. Tam ukryli się za zasłoną zwisających wierzbowych witek. Ich słowa skutecznie zagłuszyło

szemranie wartkiego nurtu.

Mary odwróciła się do Johna. Jej oczy wydawały się ogromne w świetle księżycowego rogała.

- Co powiedzieli strażnicy w Calais? Czy podejrzewają kogoś o popełnienie tej ohydnej zbrodni oraz o podłożenie ognia?

- To Francja, nie Anglia - odparł z nieskrywaną goryczą. - Dumont był starym człowiekiem bez rodziny i bez wpływowych przyjaciół. Nikt go nie kochał, nie ma komu go opłakiwać. Na tej ziemi nie żałuje się ludzi jego pokroju i nie mają co liczyć na sprawiedliwość. Cokolwiek uda się odzyskać ze zgliszcz, trafi na aukcję, a zyski zasilą skarbiec francuskiego króla.

- To nieuczciwe!

- Powtarzam, lady Farren, nie jesteśmy w Anglii. Tutaj najlepiej nie umierać, bo własność nieżyjącej osoby ulega konfiskacie. Zaręczam, że to prawda.

- Niech mi pan wyjawi inną prawdę - zażądała. Pogodziwszy się ze śmiercią antykwariusza, Mary sprawiała wrażenie gotowej do działania.

- Dlaczego podążał pan za mną i czemu łączy mnie pan z pożarem? Wbrew temu, co zasugerował pan naszej guwernantce, nie przypadkiem zjawił się pan, aby nas wspomóc w potrzebie.

- Rzeczywiście nie ma mowy o zbiegu okoliczności - przyznał. - Cóż, nie wiem, którym pani służącym można zaufać.

- Wszystkim - odparła z przekonaniem. - W przeciwnym razie ojciec nie dałby im zatrudnienia.

- Skoro tak pani uważa - odparł sceptycznie. - Prawda jest taka: wynająłem tych ludzi w Calais, aby zapewnili pani eskortę, jeśli pani zechce. Nie podejrzewałem, że tak rychło będą potrzebni.

- Chyba powinnam panu podziękować - wyznała cicho. - Gdy wyruszałyśmy w drogę, nie miałyśmy pojęcia, że potrzebujemy dodatkowego wsparcia. Gdyby jechał z nami przewodnik, zapewne ostrzegłby nas przed niebezpieczeństwem...

- W rzeczy samej, ten człowiek powinien panią uprzedzić o tym, co grozi wędrowcom we Francji. - Johna nagłe zirytowało niedbalstwo

przewodnika. Przez niego musiał z własnych skromnych środków opłacić dodatkową straż.

- Gdzie jest teraz ten hultaj?

- W Paryżu - wyjaśniła krótko. - Jego matka zachorowała, więc błagał nas o wyrozumiałość, gdyż nie mógł przyjechać do Calais. Zapowiedział, że dołączy do nas w stolicy.

- Nie powinny panie korzystać z jego usług. Chora matka? Też coś! Co za nedorzeczna wymówka.

- Wierzę w dobrą wolę ludzi. I tym razem nie mam powodu powątpiewać w prawdomówność tego człowieka.

- Lady Farren, powinna pani kierować się przede wszystkim własnym dobrem. Przypominam, że Anglia i Francja są wieloletnimi wrogami. Powszechnie wiadomo, że podróżujący Francuz nie może liczyć na specjalne względy w Londynie. Tak samo traktuje się Anglików we Francji. Tutaj prawie nikogo nie obchodzi, że ojciec pani jest bogatym arystokratą.

Zniecierpliwiona Mary pokręciła głową.

- Nie zamierzam wysłuchiwać...

- Niestety, musi pani to zrozumieć - przerwał jej stanowczo. - Tutaj nie znajdzie pani dobrej woli i zaufania. Wszyscy Francuzi dostrzegą w pani jeszcze jedną Angielkę, gotową rozstać się z pieniędzmi. Pani przewodnik z Paryża zapewne natrafił na żyłą złota w postaci grupy bogatych turystów. Teraz oprowadza ich po stolicy i konsekwentnie opróżnia im sakiewki.

- To barbarzyńskie myślenie! - wykrzyknęła Mary wzburzona.

- Prawda jest brutalna - zauważył John. - Dobrze pani o tym wie.

Zachmurzyła się, najwyraźniej zrozumiałwszy, że w gruncie rzeczy podziela tę opinię.

- Czy pańscy ludzie pochwycili rabusiów?

- Niestety. - Mężczyźni, których najął, powrócili z niczym. Zirytowani i zawstydzeni wyjaśnili, że bandyci wymknęli im się z rąk. - Dla bezpieczeństwa kazałem im jednak towarzyszyć pani przez resztę drogi do Paryża.

- Dziękuję. Skoro jednak złoczyńcy uciekli, to dodatkowa straż chyba nie jest potrzebna.

- Przeciwnie. Gdyby nie była potrzebna, z pewnością bym jej nie zalecał.

- Czy pan również będzie nam towarzyszył?

John ogromnie pragnąłby wiedzieć, czy Mary życzyłaby sobie jego towarzystwa.

- W tym tygodniu zamierzam wrócić do Anglii. Mam sprawy do załatwienia w Londynie.

- Oczywiście. - Skierowała wzrok na obraz. - Sądziłam, że będzie moim aniołem stróżem, a tymczasem sama dbam o jego bezpieczeństwo. Pan również go pilnuje jak oka w głowie.

John nie miał pewności, czy Mary mówi poważnie. Pragnął jej szczerzej przychylności, tak odmiennej od fałszywego entuzjazmu Diany. Postanowił skupić się na faktach.

- Wczoraj powróciła pani do sklepu Dumonta - zauważył. - Czy dostrzegła pani coś niezwykłego, zaskakującego? Coś, czego wcześniej tam nie było?

- Pan się myli, nie wróciłam wczoraj do antykwariatu. Gdy poszedł pan po truskawki, monsieur Dumont przywołał mnie z za rogu gospody. Wydawał się zdenerwowany i rozkojarzony do tego stopnia, że poczułam się nieswojo.

John pokiwał głową. Sprawa była bardziej skomplikowana, niż z początku zakładał.

- Co takiego Dumont miał pani do powiedzenia? - zapytał łagodnie. - Czy usiłował odkupić od pani obraz?

- Och nie - zaprzeczyła bez wahania. - Ani słowem nie wspomniał o tej ewentualności. Chciał, abym nikomu nie mówiła o obrazie i nie wyjawiała, że on był sprzedawcą. Praktycznie poprosił o dochowanie ścisłej tajemnicy.

- Czy wyjawiał, dlaczego oczekuje tak daleko idącej dyskrecji?

- Za bardzo się śpieszył. A może najzwyczajniej nie chciał mi nic wyjawić. - Zamyśliła się. - Niewykluczone, że ma pan słuszność. Tempera

zapewne jest fałszywa, a monsieur Dumont drżał o swoją reputację. Nie chciał zostać uznany za handlarza podrabianymi dziełami sztuki. Prawdę powiedziawszy, niewiele mnie obchodzi historia tego obrazu. Podoba mi się, bez względu na to, kto go namalował, gdzie i kiedy.

- Obawiam się, że sprawa nie jest taka prosta - zaproponował John. - Dumont od wielu lat handlował fałszywymi antykami, masowo kupowanymi przez podróżujących po kontynencie Anglików. Podobnie jak pani, w większości nie zwracali uwagi na to, czy są oszukiwani, czy nie.

- Dziękuję, że z taką łatwością wrzucił mnie pan do jednego worka z naiwnymi głupcami.

- Anglicy po prostu nie interesują się pochodzeniem antyków - odparł spokojnie, usiłując nie rozmyślać zbyt głęboko o uroczym zmarszczonym nosku Mary. - Ostrzeżenie Dumonta skłoniło panią do ukrycia tempery na czas podróży, czy tak?

- Uznałam, że skoro antykwariusz zadał sobie tyle trudu, aby mnie ostrzec, to powinnam jak najstaranniej zabezpieczyć arcydzieło.

- Niewykluczone, że dzięki zapobiegliwości uchroniła pani obraz przed kradzieżą. - Umilkł, aby się zastanowić, czy powinien wtajemniczyć Mary w szczegóły sprawy. Nie chciał bez powodu jej straszyć, lecz należało poinformować ją o realnym zagrożeniu. - Bandydzi nie zainteresowali się klejnotami ani pieniędzmi, prawda?

Zrobiła wielkie oczy.

- Skąd pan wie? Ukryłam biżuterię po mamie, bo jest dla mnie bezcenna, lecz napastnik nawet nie spytał o kosztowności.

John zauważył, że Mary nie ma w uszach ciężkich, perłowych kolczyków, które tak bardzo do niej pasowały.

- A jednak gruntownie przetrząsnęli wszystkie kufry i nic nie zabrali. - Sięgnął po obraz i odwrócił go ku sobie. - Nie wiem dlaczego, ale idę o zakład, że złoczyńcy polowali na temperę. Moim zdaniem, starego Dumonta nagle ogarnęły wyrzuty sumienia, że za jego sprawą łotry wzięły panią na cel.

- Innymi słowy, ten nieszczęśnik zginął z mojego powodu? - spytała z

bólem.

- Nie, z powodu tej nieziemskiej istoty. - John ustawił obraz w rozwidleniu gałęzi najbliższej wierzby. Aureola i skrzydła zajaśniały w blasku księżyca, a oblicze anioła przybrało trupioblada barwę. - Musimy znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego tak się stało. Co sprawia, że ludzie są gotowi zabijać i ginąć dla tego obrazu?

Mary ostrożnie przesunęła palcem po ramie.

- Zasugerował pan, że kupiłam dzieło fałszerza, więc zabrałam temperę do pokoju, aby uważnie ją obejrzeć. Nic nie wzbudziło moich podejrzeń, wasza lordowska mość. Nie zauważyłam plam świeżej farby ani niestarannie przyklejonej pozłoty. Na obrazie nie ma też ani jednego zbędnego pociągnięcia pędzlem. Jest idealny.

John ufał oku i instynktowi Mary. Nie potrafił uzasadnić wiary w możliwości niedoświadczonej wielbicielki sztuki, lecz już dawno temu przekonał się, że w życiu bardzo często należy polegać na uczuciach, nie na wiedzy.

- Czy sprawdziła pani także ramę? - spytał. - Jest wyraźnie nowsza.

- Och, oczywiście, że tak - obruszyła się z pewnością siebie, której brakowało jej przy kolacji. - Pozłota zapewne sprzed dwudziestu, góra trzydziestu lat. Ramę również przycięto z większego obrazu. Proszę spojrzeć, wzór nie pasuje w rogach.

John nie zauważył tego wcześniej. Rzeczywiście, splątane dębowe liście i żółędzie były niestarannie dopasowane w dwóch rogach. W rezultacie gałązki nie pasowały do siebie, tak jak w przeciwległych kątach ramy.

Pogratulował sobie w duchu, że zaufał spostrzegawczości Mary.

- Rzecz jasna, sprawdziła pani także wewnętrzną stronę ramy?

- Aby się upewnić, że nie została wydrążona i wypchana pirackimi dublonami? - Usiłowała zazartować, lecz oboje wiedzieli, że sytuacja jest poważna. Mary położyła dłoń na ramie, zupełnie jakby chciała ją pocieszyć. - Jest bez zarzutu - oświadczyła. - Zwróciłam uwagę tylko na wypłowiasty czarny napis, nabazgrany kredką na odwrocie deski. Jest tak stary, że mógł zostać sporządzony przez kogoś, kto sprzedał drewno

malarzowi.

- Zatem nadal nie znamy motywu zbrodni.

- Niestety. - Skrzyżowała ręce na piersi, jakby przygotowując się na jeszcze gorsze wieści. - Skoro mój anioł stróż jest dla mnie źródłem kłopotów, to co powinnam z nim -zrobić?

- Najrozsądniej byłoby go sprzedać - zasugerował John. Zastanawiał się nad tym przez całą drogę z Calais i doszedł do wniosku, że sprzedaż to naprawdę jedyne rozsądne rozwiązanie. - Transakcję należy przeprowadzić w Paryżu przy możliwie dużym rozgłosie, aby usłyszał o niej także prześlą- dujący nas złoczyńca. Nie ma pani wyboru, jeśli zależy pani na spokoju i bezpieczeństwie.

Zerknęła na obraz, lecz nie zastanawiała się długo.

- A jeśli nie chcę go sprzedać? Co się stanie, jeżeli nie postąpię zgodnie z nakazem rozsądku?

- Będzie to znaczyło, że jest pani bardzo niemądra albo niesłuchanie odważna.

Długie, wierzbowe witki kołysały się tuż przy Mary, a wąskie listki szeleściły na wietrze niczym pióra. John zbliżył się do niej o krok i odgarnął gałązki, które oddzielały go od stojącej nieruchomo Mary. Zachowywała się spokojnie, lecz dostrzegł, że zacisnęła palce na ramionach.

- Nie tak dawno temu bezskutecznie usiłował pan kupić ten obraz dla siebie - zauważyła. - Skąd mogę wiedzieć, czy pańska rada płynie ze szczerego serca? Być może chce pan tylko odebrać mi to dzieło sztuki.

- Gdybym pragnął pozbawić pani obrazu, po prostu wziąłbym go sobie - wyjaśnił. - Nie mogłaby pani mnie powstrzymać i nie wiedziałaby, gdzie mnie szukać.

- Nie zrobiłby pan tego.

- Nie? - Wyciągnął ręce do obrazu, jakby chciał go ukraść. - Skąd ta pewność?

- Ufam panu - odparła wprost, bez wahania. Nie spodziewał się takiej reakcji.

- Czemu? - spytał rozbawiony. - Większość dam w pani sytuacji by mi

nie wierzyła. Nie ma pani powodu, aby mi ufać.

- Przeciwnie - zaprotestowała. - Pojął pan, jak cenne jest dzieło w chwili, gdy je ujrzał. Nie chodzi mi tylko o wartość materialną, wasza lordowska mość, lecz również o siłę wyrazu.

Zaśmiał się i odsunął dłonie od obrazu.

- Najwyższy czas, abyśmy przestali zwracać się do siebie w tak oficjalny sposób. Mówmy sobie po imieniu - zaproponował.

- Doskonale, John - zgodziła się z uśmiechem. Nieoczekiwanie dotknął dłonią brody Mary i spojrzął jej głęboko w oczy.

- Teraz już wiem, że jesteś odważna. Niestychanie odważna.

Nie potrafił się powstrzymać. Pocałował ją znieścacka, namiętnie. Smakowała słodko i niewinnie, nie wyczuł u niej ani odrobiny panińskiej niechęci. Od początku wydawało mu się, że jest zupełnie inna niż pozostałe młode damy w Londynie. Teraz to się potwierdziło. Była odważna i gotowa odwzajemnić pocałunek równie chętnie, jak zademonstrować inteligencję. John cenił sobie mądre, zmysłowe kobiety. Otoczył . Mary ramieniem i przyciągnął, aby pogłębić pocałunek.

Nagle w kuchni gospody rozległ się grzechot upuszczanej patelni albo garnka, a potem wściekły wrzask kucharza i żalosne zawrozczenie pomywaczki. Wystraszona hałasem Mary odsunęła się od Johna i skierowała wzrok na kuchenne okno.

- To nic takiego, kruszynko - wyszeptał. - We Francji to normalne. Tutaj wszyscy krzyczą i rzucają garnkami.

Uśmiechnęła się, odgarniając z czoła niesforny kosmyk.

- Chyba jednak nie jestem taka dzielna.

- Przeciwnie - zapewnił ją z przekonaniem. - Przecież postawiłaś na swoim i nie pozwoliłaś, abym kupił obraz.

Te słowa sprawiły jej wyraźną przyjemność.

- Przepłaciłam, wiem, ale udało mi się w porę przechwycić prawdziwe arcydzieło.

Zaśmiał się cicho.

- Nie da się ukryć. Poza tym na poważnie brałaś pod uwagę ucieczkę

ze mną dyliżansem do Paryża. Snucie takich planów również wymaga odwagi.

- Kazałeś mi szukać przygód w życiu - przypomniała mu.

- Jak dotąd świetnie sobie radzisz - zauważył. - Udało ci się nawet uchronić obraz przed rozbójnikami.

- Nie nazwałabym tego przygodą - zaprotestowała. - Po prostu zachowałam ostrożność. Mam w tym wprawę.

- Jesteś zbyt skromna. Przecież wykorzystasz zamieszanie wokół powozu, aby uciec razem z siostrą. Tylko dzięki temu nie wpadłyście w ręce bandytów. To dopiero była przygoda!

- Z przekonaniem pokiwał głową. - Nie znam innej kobiety, która zachowałaby taką przytomność umysłu.

Nie uwierzyła mu albo nie chciała mu uwierzyć, co zresztą na jedno wyszło.

- Naprawdę?

- Absolutnie tak - potwierdził i pogładził ją po ręce. Miała niewiarygodnie gładką skórę, której chłód kołt jego poparzone palce. - Tylko raz widziałem, jak tracisz odwagę: przy stole, w towarzystwie siostry.

Momentalnie zeszywniała.

- Dlaczego siostra miałaby odbierać mi pewność siebie? - spytała cicho.

- Nie mam pojęcia. - Przesunął palcami po jej policzku.

- Przy kolacji zachowywałaś się inaczej, nietypowo dla siebie. Byłaś zgaszona, przygnębiona.

Odsunęła jego dłoń.

- To oczywiste, że przy siostrze zachowuję się inaczej niż przy tobie, John.

- Całe szczęście! - przyznał z uśmiechem.

- Nie o to mi chodziło. Cokolwiek o tym sądzisz, łączy mnie z siostrą zrozumienie, życzliwość i przychylność. Jesteśmy sobie wyjątkowo bliskie...

- Zatem lady Diana okazuje to w zaskakujący sposób - zauważył z

niedowierzaniem. - Bezustannie wzdycha, trzepocze rzesami...

- Wasza lordowska mość raczy sobie pochlebiać - oświadczyła chłodno. - Moja siostra ciepło traktuje wszystkich dżentelmenów, nie robi przy tym żadnych wyjątków.

Zbyt późno uświadomił sobie, że popełnił błąd. Trzymając w objęciach jedną kobietę, nie powinien wspominać o innej, nawet jeśli są siostrami.

- Najmocniej przepraszam, lady Farren - powiedział cicho. - Nie chciałem pani urazić ani w niczym uchybić pani siostrze.

- Przykro mi, ale nie pozwolę, aby lekceważąco wypowiadał się pan o mojej siostrze - oświadczyła wyniośle. - Znam pana od zaledwie trzech dni, a ją od urodzenia.

Wyprostował się z założonymi rękami, wyraźnie zachmurzony. Uratował tę kobietę, wychwalał ją pod niebiosa, zalecał się do niej, prawił jej pochlebstwa, całował ją. Czego jeszcze oczekiwała? Jeśli zamierzała boczyć się z byle powodu, to powinien natychmiast dać sobie spokój. Nie ma mowy, aby jechał z nią do Paryża. Postanowił wrócić do Calais i pod koniec tygodnia przepłynąć się do Dover.

Zadecydował, że najlepiej będzie, jeśli wyruszy od razu. ..

- Jeśli kiedykolwiek niepochlebnie wypowiem się o pani siostrze, z pewnością zrobię to bez żadnych subtelności - rzekł z irytacją.

- Na szczęście nie będę musiała tego wysłuchiwać - odparła równie rozzłoszczona. - Nie mam ochoty pana dłużej znać. Dobranoc, wasza lordowska mość. Żegnam.

Pośpiesznie sięgnęła po obraz, zdjęła go z gałęzi i, zanim John zdołał ją powstrzymać, pomaszerowała z powrotem do gospody na wzgórzu.

Powiódł wzrokiem za Mary i pomyślał, że nie dopuści do tego, żeby postawiła na swoim. To pożegnanie z pewnością nie będzie ich ostatnim.

- Pora wstawać, moje panny! - Panna Wood wkroczyła do pokoju, prowadząc pokojówkę, która niosła tacę ze śniadaniem. Zamaszystym ruchem odciągnęła zastony, skrywające wielkie łóżce, i narobiła przy tym niemiłosiernego hałasu, gdyż metalowe kółka donośnie zazgrzytały na

stalowych prętach. Jaskrawe promienie słońca załaty dziewczęta, które ukryły głowy pod kołdrą.

Panna Wood nie miała litości.

- Dość leniuchowania, śpiochy! - zapowiedziała z wrodzoną pogodą ducha. - Musimy przestrzegać harmonogramu, jeśli mamy dotrzeć do Amiens. Mary, sądzę, że powinnaś być szczególnie podekscytowana, zważywszy na twoje zainteresowanie tamtejszą katedrą.

O ile stary kościół w Amiens faktycznie budził zaciekawienie Mary, to jednak jej pierwsze myśli po przebudzeniu wiązały się z wydarzeniami ostatniego wieczoru, rozmową z lordem Johnem Fitzgeraldem oraz jej konsekwencjami. Z ciężkim sercem doszła do wniosku, że zrobiła z siebie nieznośną porywczą idiotkę.

Nie zważając na pannę Wood, Mary ukryła twarz w poduszce. Jednym wybuchem gniewu zakończyła kielkującą przygodę. Czy naprawdę zachowała się odpowiednio do sytuacji? John nie pierwszy i prawdopodobnie nie ostatni krytykował zachowanie Diany. Rzecz jasna, nie powinien jej osądzać, lecz jego słowa miały inny wydźwięk niż złośliwe uwagi na temat siostry, których Mary zwykle musiała wysłuchiwać. Gdy później rozmyślała o całym zajściu, uświadomiła sobie, że chciał ją w specyficzny sposób docenić, wyrażając się lekceważąco o Dianie. Po prostu nie wziął pod uwagę siostrzanej lojalności i solidarności. Nic dziwnego, że wzburzona Mary zareagowała nazbyt porywczo.

- Późno wróciłaś - szepnęła sennie Diana. - Zdążyłam się położyć i zasnąć. Ciekawe, co takiego dostrzeżliście w tym niemądrym obrazie, skoro tak wam się przyjemnie gawędziło.

- Zasnęłaś i chrapałaś - odcięła się Mary. Sięgnęła pod ramę łóżka i wymacała znajome płaskie zawiniątko z obrazem, które nocą przywiązała do spodu łóżka.

- Co ty wyprawiasz? - Diana patrzyła na nią ze zdumieniem. - Szukasz ukrytych pod łóżkiem kochanków?

- Tylko tych, których sama tam upchnęłaś. - Mary usiadła na krawędzi typowo francuskiego, wysokiego łóżka i pomachała gołymi nogami, którymi nie sięgała do podłogi. - Panno Wood, która godzina?

- Wpół do ósmej, droga Mary. - Guwernantka wzięła tacę z rąk pokojówki i postawiła ją pośrodku pościeli. Służąca natychmiast zabrała się do pakowania kufrów. - Najwyższy czas, żebyście zjadły śniadanie i odpowiednio się ubrały, moje panny.

- Nie jestem specjalnie głodna - oświadczyła Mary i nalatała na spodek słodzonej śmietany, do której dodała odrobinę herbaty. - Za moment się ubiorę.

Z talerzykiem w dłoni podreptała boso do okna. Na podwórzu stajenni szykowali powóz, ścierali z niego błoto i kurz, aby doprowadzić do porządku lakierową powłokę. Ze szczególną troską oczyścili książęcy herb na drzwiach. Mary nigdy nie zastanawiała się nad pożytkiem z herbu. Zauważyła tylko, że w Anglii na jego widok zwykłe powozy zjeżdżają na bok. Czy to możliwe, że we Francji był całkowicie bezużyteczny, jak wyjaśnił jej John? Czyżby ona i jej siostra nie mogły tutaj liczyć na żadne wsparcie w konfrontacji ze złodziejami i bandytami?

- Mary natychmiast odsunęła się od okna - zażądała panna Wood. - W koszuli nie wolno nikomu się pokazywać.

- Moim zdaniem, Mary chce się pokazać - odezwała się Diana z przebiegłym uśmiechem. - Pewnie liczy na to, że lord John Fitzgerald objawi się na dole, aby pożerać ją wzrokiem tak jak Romeo Julię.

- Dianko, twoje słowa nie były ani prawdziwe, ani uprzejme - zauważyła ostro panna Wood. - W relacjach z dżentelmenami twoja siostra zawsze zachowywała się nienagannie. Powinnaś się od niej uczyć.

Diana wzruszyła ramionami, a wówczas jej złoty warkocz zsunął się po ramieniu.

- Może Mary powinna raczej uczyć się ode mnie - zasugerowała i delikatnie ułamała kruchy rogalik. - Chętnie udzielę jej lekcji postępowania z mężczyznami. A może sama już wyciągnęła odpowiednie wnioski?

- Och, przecież tak wyraziście świecisz przykładem - odparła Mary i wbrew sobie poczerwieniała. Bez względu na to, jakich grzechów

dopuszcila się Diana, z pewnością nie całowałaaby się z mężczyzną, aby w następnej chwili zaatakować go niczym mściwa harpia. - Wolę nie myśleć o tym, jaką wiedzę mogłabyś mi przekazać.

- Dokładnie taką, jaką powinnaś osiąść. - Diana ugryzła rogalik. - Dlatego ojciec posłał mnie z tobą. Mów, kto kogo pocałował w świetle księżycy: ty lorda Fitzgeralda czy on ciebie?

- Mowić nie ma, żebym cię wtajemniczyła w tak pikantne szczegóły. - Mary hałaśliwie odstawiała spodek na tacę.

Panna Wood uznała, że pora interweniować.

- Jest stanowczo zbyt wcześnie na tak niedorzeczne pogawędki, moje panny - zauważyła surowo. - Proszę się ubrać i nie tracić czasu na kłótnie oraz uszczypliwości.

- Diano, twoje insynuacje mnie nie obchodzą - dodała Mary wyniośle. Nawet nie brała pod uwagę możliwości rozmowy o pocałunku, który wymieniła z Johnem. - Jego lordowska mość wraca prosto do Calais, a wybiera się do Londynu. Najprawdopodobniej już nigdy go nie spotkamy.

- Za pozwoleniem, droga Mary - odezwała się panna Wood. - Te informacje są już nieaktualne. Gdy spałaś, zamieniłam słowo z jego lordowską mością i dowiedziałam się, że postanowił zmienić plany. Jest taki rozważny i życzliwy! Jak rozumiem, Mary, powiedziałaś mu o opóźnieniu ze strony biednego monsieur Leclaira. Lord Fitzgerald tak bardzo przejmuję się naszym losem, że postanowił wcielić się w rolę przewodnika i towarzyszyć nam do Paryża.

- Naprawdę?! - wykrzyknęła Mary, zaniepokojona. Pogodziła się ze świadomością, że już nigdy nie zobaczy Johna. Teraz miała z nim podróżować i musiała odpowiedzieć sobie na wiele trudnych pytań. Co powinna mówić? Jak się zachowywać? Czy wystarczy jej siła, aby stawić mu czoło po wczorajszej kłótni? Diana zaśmiała się pogodnie.

- Całowanie Johna najwyraźniej przypadło ci do gustu, skoro masz chętkę na więcej.

Mary pośpieszyła z powrotem do okna i wyciągnęła szyję, aby ponownie popatrzeć na powóz. Niemożliwe, żeby John jechał z nimi aż

do Paryża. Ujrzała go jednak na podwórzu, roześmianego i zadowolonego. Wesoło gawędził ze stajennymi oraz służbą, jakby poprzedniego wieczoru ani słowem nie wspomniał o morderstwie, podpaleniu i kradzieży.

- Jego lordowska mość będzie doskonale pasował do naszej wyprawy

- oznajmiła panna Wood z satysfakcją. -Wiesz, Mary, wypowiadał się o tobie z takim podziwem, że z pewnością będziesz zadowolona.

- Och tak - mruknęła Mary przygnębiona. - Nad wyraz zadowolona.

RS

Rozdział szósty

Czy ojciec mógłby nam zdradzić, czy rzeczywiście niektórzy wierni szli po tej podłodze na kolanach aż do samego ołtarza? John powiódł wzrokiem po posadzce katedry Notre Dame w Amiens. Stary duchowny uroczyście pokiwał głową, a jego tonsura nieznacznie załśniła w słabym świetle.

- To prawda, wasza lordowska mość. Proszę zwrócić uwagę na wzór, w jaki ułożono kamienie na posadzce. Tworzą one labirynt, wijący się niczym muszla ślimaka. Najwierniejsi pielgrzymi zanosili modlitwy i jednocześnie na kolanach podążali wytyczoną na kamieniach ścieżką. W ten sposób ofiarowywali Bogu skromny dar, czyli własny ból.

- Wielkie nieba - wtrąciła panna Wood. - Wstrząsająco bolesny sposób utwierdzania się w wierze.

- Istnieje wiele ścieżek ku prawdziwej czystości serca, lecz żadna nie jest łatwa - zauważył mnich. Nawet nie próbował ukryć znużenia.

Za jego plecami sześć starych kobiet zamiatało posadzkę miotłami równie sękatymi jak one same.

- Taka właśnie jest symbolika labiryntu. Choć kamienie są teraz wytarte i popękane, powiadają, że gdy posadzka była nowa, przybyły tutaj nieprzeliczone zastępy pielgrzymów. Białe kamienie pokrył szkarłat krwi z ich kolan.

- Niezła jatka, że tak powiem - wyszeptała Diana zza wachlarza. - Nie mam pojęcia, Mary, jak możesz czerpać przyjemność z wysłuchiwania takich ponurych historii.

- Umilknij, sestro - rozkazała szeptem Mary. Wątpiła, aby stary zakonnik usłyszał głos Diany, która szła kilka kroków za nim, panną Wood i Johnem. Nie była jednak w nastroju na niestosowne pogawędki.

- Szanuj cudzą wiarę, nawet jeśli sama wyznajesz co innego.

- Ejże, popatrz tutaj. Ambona. Wdrap się tam, będzie ci wygodniej wygłaszać kazania.

- Dość tego - zirytowała się Mary. - Spróbuj skupić się na urodzie

świątyni, jej kamiennych i drewnianych zdobieniach, fantastycznych barwach witraży...

- Albo na urodzie lorda Fitzgeralda - rozmarzyła się Diana. - Piękny widok, prawda?

Mary westchnęła z rezygnacją, lecz nie zaprzeczyła. Odkąd John objął funkcję ich przewodnika, zachowywał się jak uosobienie wdzięku i kultury osobistej. Ponownie zwracał się do niej „lady Farren”, jakby pragnął podkreślić, że dzieli ich wielki dystans. Jechał wierzchem, przy powozie, i unikał niestosownych tematów. Jak na wynajętego przewodnika przystało, chętnie opowiadał ciekawe historie o okolicach, które przemierzali. Panna Wood nie mogła się go nachwalić. Nic dziwnego - poświęcał jej więcej uwagi niż Mary i Dianie, miała zatem powody do zadowolenia.

- Myślisz, że lord Fitzgerald ostrzy sobie zęby na pannę Wood? - zapytała od niechcenia Diana. - Może gustuje w guwernantkach. Podobno dżentelmeni lubią, kiedy się ich strofuje i łąją jak małe dzieci. Panna Wood beszta nas codziennie, więc ma wprawę.

- Skąd mogę wiedzieć, jakim upodobaniom hołduje lord Fitzgerald? - odparła z nieskrywaną irytacją Mary. - Nie zwierza mi się.

Diana z zaciekawieniem zerknęła na siostrę?

- W Abbeville wyraźnie mieliście się ku sobie - zauważyła. - Potem jednak przestaliście się do siebie odzywać.

Właśnie mijały grupkę ubranych na czarno Francuzek, pogrążonych w modlitwie, więc Mary zyskała chwilę do namysłu.

- Nie wiem, co lord Fitzgerald do mnie czuje - wyznała ostrożnie. - W Calais chętnie przebywałam w jego towarzystwie. Dużo rozmawialiśmy o sztuce.

- O sztuce, akurat! - prychnęła Diana. - Nie o tym mężczyźni lubią gawędzić z kobietami.

- Zatem on jest wyjątkiem. Nie rozumiem tylko, dlaczego uparł się nam towarzyszyć, i w dodatku najął dodatkowych strażników.

Diana skinęła głową.

- Sama się nad tym zastanawiałam. To na pewno z twojego powodu.

Nie widzę innej przyczyny.

Mary ponownie pomyślała o obrazie. John o nim nie wspominał, ona też nie powróciła do tematu cennej tempery, lecz pamiętała, aby starannie ją ukrywać. Nie wiedziała tylko, przed kim ją chowa.

- Raczej musi chodzić o pannę Wood - orzekła ponuro. - Zgadza się ze wszystkim, co on jej powie. Tak samo potulnie zachowuje się przy ojcu.

- Wiesz o obrazach więcej, niż ona kiedykolwiek będzie wiedziała - zauważyła lojalnie Diana. - Po stokroć więcej. Jeśli o tym chce gawędzić lord Fitzgerald, powinien zwrócić się do ciebie.

- Zrobi, co zechce - odparła z rezygnacją Mary. - Podobnie jak inni dżentelmeni.

- Zobaczymy.

Diana poprawiła siostrze włosy, które wysunęły się spod kapelusza. Następnie złożyła wachlarz i podeszła do Johna, panny Wood i przewodnika.

- Panno Wood, jak długo jeszcze będziemy snuć się po tym ponurym starym kościele? - zagadnęła.

Guwernantka zmarszczyła czoło.

- Dopiero zaczęliśmy zwiedzanie katedry. Ojciec Simon właśnie nam wyjaśniał, że świątynię wzniesiono jako miejsce spoczynku głowy świętego Jana Chrzciciela, sprowadzonej z Ziemi Świętej przez krzyżowców.

- Głowa świętego Jana Chrzciciela jest gdzie tutaj? - wyszeptwała z niedowierzaniem Diana.

- Owszem, moja panno. Francuscy katolicy uważają ją za jedną z najświętszych relikwii i wierzą w jej cudowną moc. Ojciec Simon wyjawiał, że szczątki świętego Jana są zachowane w świetnym stanie i spoczywają w specjalnym relikwiarzu.

- Coś podobnego. - Diana wysunęła z rękawa chustkę, delikatnie przytknęła ją do skroni i zatrzepotała rzęsami.

- Panno Wood, muszę usiąść. Nie czuję się najlepiej. Mary momentalnie wzięła siostrę pod rękę.

- Panno Wood, proszę iść przodem. Sama zajmę się Dianą -

zapropnowała.

Diana dyskretnie uściśnęła kciuk siostry, aby zasygnalizować, że nie tego sobie życzy. Jednocześnie zachwiała się mocno, jakby miała upaść.

- Ach, panno Wood - poprosiła - proszę ze mną zostać. Nikt inny nie potrafiłby tak się o mnie zatroszczyć. Poza tym Mary z pewnością ma ochotę popatrzeć na zakonserwowaną głowę świętego.

- Jak sobie życzysz, Diano - zgodziła się panna Wood i szybko objęła podopieczną w talii. - Trzeba było wcześniej mi powiedzieć, że źle się czujesz, moje dziecko.

Stary mnich z kamienną miną obserwował całe zajście.

- W katedrze mamy salonik dla pań - zauważył. - Są tam dostępne lekkie przekąski. Może zechce pani wypocząć?

- Chętnie, jeśli to nie stanowi problemu - zgodziła się panna Wood. - Czy ojciec mógłby nam wskazać drogę?

Mnich uklonił się w milczeniu i wyciągnął otwartą dłoń. John westchnął z rezygnacją i wręczył zakonnikowi stosowną monetę. Duchowny ponownie skłonił głowę i ruszył przed siebie. Mary chciała iść za panną Wood, lecz Diana ją powstrzymała ruchem dłoni.

- Mary, zostań z jego lordowską mością - zażądała słabym głosem. - Nie chcę ci popsuć pięknego widoku.

Mary w końcu pojęła, o co chodzi siostrze. Uwaga na temat pięknego widoku nie pozostawiała wątpliwości. Mary obawiała się jednak, że sytuacja rozwinie się niepomyślnie, a wówczas na Dianie spocznie odpowiedzialność za katastrofę.

- Skoro lady Diana źle się czuje, może wszyscy powinniśmy wrócić do gospody - zaproponował John. - Katedra ma się nieźle od pięciu wieków. Idę o zakład, że zastaniemy ją tutaj także jutro.

- Och nie, wasza lordowska mość, to nie jest konieczne - zaprotestowała panna Wood. - Wiem, że Mary ogromnie pragnęła obejrzeć Notre Dame. Proponuję, abyśmy później spotkali się w gospodzie.

Guwernantka odwróciła się i wraz z Dianą podążyła za ojcem Simonem w głąb katedry.

Mary została sama z Johnem.

Odchrząknęła zakłopotana, zdecydowawszy, że najlepiej będzie udawać, iż nic między nimi nie zaszło, ani dobrego, ani złego.

- Cóż, możemy zwiedzać dalej - oświadczyła pogodnie.

- Co obejrzymy na początek?

Lord Fitzgerald uśmiechnął się zarazem ciepło i czujnie.

- Może ma pani ochotę rzucić okiem na relikwiarz?

- Zawierający starą, lecz dobrze zachowaną głowę?

- Wzdrygnęła się. - Nie, dziękuję. Pan zapewne również tego nie pragnie, choć szczątki należą do pańskiego patrona.

John nieco się odprężył.

- Na szczęście święci patroni w Anglii mają mniej obowiązków. Nie chciałbym powierzać swoich losów komuś, kto stracił głowę na żądanie tancerki.

- Pst, takie żarty tutaj nie przystoją - szepnęła, ale również się rozluźniła. - Czytałam, że rzeźby na chórze są godne uwagi.

- Zatem idźmy się pozachwycać - podchwycił John i ruszył przed siebie. - Znajdziemy te arcydzieła bez pomocy przewodnika. - Da pani wiarę, że we Francji nawet mnisi żądają za wszystko pieniędzy?

- Już wcześniej mnie pan przed tym ostrzegł.

- O ile pamiętam, moje ostrzeżenia dotyczyły różnych problemów.

Powoli spacerowali wzdłuż długiej nawy, a odgłos ich kroków odbijał się echem od ścian katedry. Dobiegła końca poranna msza, w ławach pozostali tylko nieliczni wierni. Mary i John bez wątpienia byli jedynymi Anglikami. Smukłe kolumny wznosiły się wysoko po obu stronach przestronnego wnętrza budowli i pod sklepieniem tworzyły gustowne łuki, które nasuwały skojarzenia z koronami leśnych drzew. Sufit katedry znajdował się na takiej wysokości, że Mary musiała przytrzymywać kapelusz o szerokim rondzie, aby nie spadł, gdy zadzierała głowę. W obliczu monumentalnej konstrukcji czuła się mała i nieistotna, zapewne dokładnie tak, jak tego pragnęli budowniczowie sprzed stuleci.

- Jak to możliwe, że pięćset lat temu, bez żadnych nowoczesnych urządzeń i narzędzi, konstruktorzy wzniesli tak imponującą świątynię? -

spytała z podziwem.

- Ojciec Simon powiedziałby, że natchnęła ich moc wiary - odparł John i również skierował wzrok ku górze. - Taki jest sens istnienia gigantycznej katedry. Nawet zatwardziały poganin musi w niej czuć lęk przed boską potęgą. Pani anioł jest tak samo złęczony.

Przeniosta spojrzenie ze sklepienia katedry na twarz Johna, przez cały czas przytrzymując dłonią kapelusz.

- W tym miejscu czułby się jak w domu - zauważyła.

- Zapewne tak - zgodził się i przyjrzał uważniej Mary. - Chyba nie przyniosła pani ze sobą obrazu?

- Tutaj? - spytała z niedowierzaniem. - Gdzie miałabym go ukryć? Pod czepkiem?

Z zakłopotaniem opuścił wzrok.

- Ma pani rację - przyznał. - Oczywiście, zostawiła go pani w gospodzie.

Skinęła głową. Nie miała ochoty wyjawić, gdzie ukryła dzieło.

- Zgadza się, w bezpiecznym miejscu - potwierdziła.

- Zatem niech tam pozostanie. Możemy skupić uwagę na rzeźbach zdobiących miejsce dla chóru.

Rzeźby okazały się tak cudowne, jak sądziła Mary. Na połączonych dębowych deskach widniały sceny, nawiązujące tematyką do Biblii oraz do dawnego życia codziennego w Amiens. Powoli kroczyli wzdłuż drewnianych arcydzieł i wymieniali uwagi na ich temat, a mimo to Mary zaprzętały myśli o Johnie.

Wychwalał przenikliwość jej spostrzeżeń, a ona rozmyślała o tym, że po raz pierwszy spotkała dżentelmena, który z uwagą wsluchiwał się w jej słowa. Gdy się śmiał, dochodziła do wniosku, że bawi ich to samo. Kiedy przypadkowo otarł się rękawem o jej rękę, przeszył ją dreszcz emocji. Uśmiechnął się do niej, a wówczas przypomniała sobie, jak wspaniale było poddawać się jego pocałunkom.

- Niech pani zapamięta, jak kształtują się linie szat tych postaci - poradził John i pochylił się, aby delikatnie musnąć opuszkami palców po sukni maleńkiej rzeźby Madonny. - Gdy zawita pani do wielkich

kościółów we Włoszech, przekona się pani, że tamtejsi mistrzowie dłuta zupełnie inaczej widzieli te same wzorce. Krawędzie ich dzieł są bardziej wyraziste...

- Co pan tutaj robi? - spytała wprost. Nie mogła już dłużej milczeć.

Wyprostował się, wyraźnie zaskoczony.

- Jak to? - zdumiał się. - Chciałem obejrzeć katedrę. Nie byłem tutaj od lat...

- Nie o to mi chodzi - zniecierpliwiła się. - Muszę wiedzieć, dlaczego został pan z nami i podjął się niedorzecznej roli naszego przewodnika.

Uniósł brwi.

- Czyżbym aż tak fatalnie wywiązywał się z obowiązków?

- Przeciwnie. Nie w tym rzecz. Nie ma pan żadnych zobowiązań w stosunku do nas. Sam pan powiedział, że interesy wymagają wyjazdu do Londynu, a jednak jest pan tutaj i podziwia szaty rzeźb, zupełnie jakby nie miał pan nic ciekawszego do roboty.

Uśmiechnął się swobodnie - pomyślała, że zbyt swobodnie - i nonszalancko wyciągnął ku niej dłoń.

- Ależ to prawda - wyznał. - U pani boku czuję się tak dobrze jak nigdzie indziej na świecie.

- Głupstwa pan wygaduje. - Zniecierpliwiła się i odtrąciła jego dłoń. - Pożegnałam pana pod wierzbą...

- Wcale nie - zaprzeczył. - Odprawiła mnie pani.

- Pożegnałam pana - mówiła jakby nigdy nic. - A jednak udaje pan, że nic się stało.

Zmarszczył brwi. Wydawało się, że próbuje przypomnieć sobie tamte chwile.

- Moim zdaniem, niewiele się wówczas zdarzyło.

- Wobec tego pańskie zdanie jest błędne. - Dlaczego tak bardzo utrudniał jej to, co chciała zrobić? - Pan... Pan mnie pocałował.

- To prawda - przyznał - a pani odwzajemniła pocałunek, i to całkiem ochoczo. Me sądziłem jednak, że było to rzadkie wydarzenie w pani życiu, które teraz zasługuje na obszerny komentarz.

Poczerwieniła z zakłopotania. Gdyby przyznała, że pocałunek

faktycznie był rzadkim i cudownym wydarzeniem w jej życiu, wypadłaby jak żałosna stara panna. Nie chciała stać się obiektem drwin Johna.

- Proszę zapomnieć, że w ogóle się odezwałam. - Wbiła wzrok w wytartą posadzkę. - Skoro pocałunek nic dla pana nie znaczył, to i na mnie nie zrobił wrażenia.

Odwróciła się, lecz tym razem chwycił ją za rękę.

- Mary, wobec tego wyjaśnij mi, co miałem zrobić? Jak się zachować?! - wybuchnął. - Byłaś milcząca i urażona, kiedy zwracałem uwagę na twoją siostrę, a potem obraziłaś się na mnie i uznałaś za okrutnika, gdy stanąłem po twojej stronie.

- Dlatego rozmawiałaś z panną Wood? - wykrztusiła. Czowała się jak największa idiotka pod słońcem. - Aby... aby pogodzić się ze mną?

Przez chwilę patrzył w przestrzeń, a potem znowu utkwiał wzrok w twarzy Mary.

- Panna Wood to miła osoba - oświadczył łagodniejszym tonem. - Nie grzeszy szczególną urodą, ale wolałem trzymać się blisko niej, niż wchodzić między ciebie a twoją siostrę. Powiem ci...

Nagle umilkł i ponownie popatrzył w dal. Odwróciła się, aby sprawdzić, co przykuło jego uwagę.

- Co się stało? - spytała zaciekawiona. - Co tam zobaczyłeś?

- Zechciej dyskretnie spojrzeć na tego mężczyznę w ciemnozielonym płaszczu - wyszeptał. - Przysięgłbym, że wcześniej widziałem go nieopodal stajni przy naszej gospodzie.

W jednej chwili dostrzegła mężczyznę, wskazanego przez Johna. Nie widzieli twarzy nieznanego, stał odwrócony do nich plecami. Niczym się nie wyróżniał spośród innych ludzi. Był średniego wzrostu, średniej budowy ciała, a jego podniszczony strój wyglądał tak samo jak odzież tysięcy innych Francuzów. Mimo to Mary zgodziła się z Johnem. Ten człowiek wydawał się znajomy. Nie był żebrakiem, lecz raczej niebieskim ptaszkiem, który kręcił się po gospodach i knajpach w nadziei na parę drobniaków za przenoszenie kufrów lub pojenie koni.

- A teraz ponownie popatrz na mnie - ciągnął John. - Razem skupimy uwagę na tej płaskorzeźbie przed nami, jakbyśmy nigdy w życiu nie

widzieli nic równie fascynującego.

Mary postusznie wykonała polecenie.

- Widziałam go już wcześniej - wyznała, z trudem powstrzymując poruszenie. - Tak mi się wydaje. Rzuciła mi się w oczy ogromna dziura z tyłu jego pończoch, przez którą wystawała włochata noga. Ten mężczyzna często kręci się po podwórzu przed stajnią i usiłuje sprawiać wrażenie pracownika, choć najprawdopodobniej jest tam kompletnie zbędny.

- Powiedziałbym, że i tutaj chce wyglądać na zajętego. - John pochylił się obok Mary. - Nie, nie odwracaj się.

- Wiesz, co to za typ?

- Nie mam pojęcia. Widzę jednak, że od pewnego czasu nas śledzi. Czy masz przy sobie lusterko?

Pokiwała głową i oparła torebkę na kolanie, aby ją otworzyć. Wręczyła Johnowi kieszonkowe lusterko: okrągłe, z emaliowanymi, różowymi kwiatkami z jednej strony. Przyjął je z uśmiechem.

- Jak zawsze gotowa na wszystko, prawda?

- Nie ma nic zdrowszego w praktycznym podejściu do życia - odrzekła wyniośle.

Dyskretnie patrzyła, jak ukrył lusterko w dłoni i ostrożnie je obrócił. Ujrzeli w nim mężczyznę z zielonym płaszczu. Wyciągał właśnie szyję, aby lepiej widzieć swoje ofiary. W jego twarzy Mary dostrzegła nikczemność. Pomyślała, że tak wygląda oblicze łotra, którego nie chciałyby oglądać z bliska.

- Bez dwóch zdań ktoś go opłacił - orzekł John. - Nie jest dostatecznie bystry ani dyskretny, aby działać na własny rachunek.

- Jestem pewna, że widziałam go w gospodzie - wyszeptała Mary.

- Też odnoszę wrażenie, że go widziałem. - John ukrył lusterko w dłoni. - Sprawdźmy, czy na nas poluje.

Wyprostował się i tak demonstracyjnie poprowadził Mary do następnej ławy, że omal nie wybuchnęła śmiechem. Powstrzymała się jednak, widząc, że nieznajomy podążył za nimi, a w dodatku nieco się przybliżył.

- W katedrze nie zrobi nam krzywdy - zauważyła z narastającym niepokojem. - Tym razem nie możesz winić mojego anioła z obrazu.

- Łatwiej byłoby mi zrozumieć tę sytuację, gdyby winowajcą był anioł.

- John zerknął na drugi koniec ław dla chóru. - Jak szybko możesz chodzić?

- W razie potrzeby nawet pobiegnę. - Uniósła skraj sukni, aby zademonstrować buty, niezbyt modne, lecz solidne. Kupiła je z myślą o długich spacerach. - Mówiłam, że jestem praktyczną dziewczyną ze wsi.

- To dobrze - mruknął. - Chcę zgubić tego drania, zanim przyjdzie mu do głowy jakieś łotrstwo.

Podał Mary ramię, po czym ruszyli wzdłuż rzędów ław.

- Gdy dotrzemy do końca przejścia, szybko skoczmy w lewo i ominiemy ławy od tyłu. Natrafimy tam na schody, prowadzące pod nawę i na ulicę. Jeśli masz wątpliwości, pytaj teraz. Potem nie będzie czasu.

Pokręciła głową. Nie czuła, żeby zagrażało jej bezpośrednio niebezpieczeństwo, zwłaszcza że typ w zielonym płaszczu nie wyglądał groźnie. Wiedziała jednak, że przeżyje najprawdziwszą przygodę!

- Zatem ruszamy.

Ramię w ramię zawrócili przy ostatniej ławie i przeszli wąskim, częściowo ukrytym przejściem. Gdy tylko skręcili, John chwycił Mary za rękę i jednocześnie rzucili się biegiem przed siebie. Minęli rząd kamiennych łuków i niewielką kapliczkę, przy której płonęło kilka świec. Przemknęli obok czterech kamiennych apostołów. Po prawej stronie zobaczyli drzwi: dębowe, z czarnymi żelaznymi zawiasami oraz zakrzywionym szczytem. Mary od razu przypomniały o przeklętych, bajkowych wrotach, które prowadziły do czarownic, smoków i innych upiornych goblinów.

John odsunął zasuwę i otworzył drzwi.

- Szybko, dziewczyno, szybko! - popędził Mary i obejrzał się, aby sprawdzić, czy goni ich człowiek w zielonym płaszczu.

Mary wahala się tylko przez sekundę. Jeśli czarownice i smoki były częścią tej przygody, to musiała zaryzykować. Uniósła suknię i dała nura

w półmrok. John niezwłocznie skoczył za nią.

Kamienne schody okazały się wąskie, a na ich stopniach widniały wyraźne zagłębienia, powstałe od setek lat użytkowania. Mary niemal po omacku podążała przed siebie wzdłuż zimnych, kamiennych murów. Szła najszybciej, jak mogła, lecz nie wiedziała, dokąd zmierza.

Dostrzegając zaledwie kilka najbliższych stopni.

- Idziemy prawie na sam dół - wyjaśnił John. - A tę latarnię weźmiemy ze sobą.

Wyraźnie wyczuła kopnącą świecę, zanim jeszcze ujrzała rozedrgane światło lampy, zawieszanej na żelaznym pierścieniu u podnóża schodów. Poza dymem rozpoznała jeszcze inne zapachy: stęchliznę wilgoci, pleśni, ziemi, a także kilka specyficznych, pradawnych woni, których pochodzenia wolała się nie domyślać. Wbrew sobie pomyślała o pokieroszowanej głowie świętego Jana Chrzciciela i o miejscu jej spoczynku.

- Gdzie jesteśmy? - spytała niepewnie, gdy John zdejmował latarnię ze ściany. - Czy trafiliśmy do piwnicy pod katedrą?

- W pewnym sensie. - Ponownie wziął Mary za rękę. - Pośpieszmy się, nie możemy zwlekać.

Podążyła za nim. Właściwie nie miała ochoty iść, lecz perspektywa zgubienia się w podziemiach wyraźnie ją zmobilizowała. Latarnia tylko minimalnie rozproszyła mrok, więc Mary dostrzegła jedynie kamienne łuki, potężne kolumny oraz liczne drzwi, podobne do tych, które wcześniej pokonali, ale zamknięte na ciężkie kłódki. Pajęczyny co rusz omiały jej twarz i lgnęły do włosów oraz rąk. Mogłaby przysiąc, że słyszy tupot małych szcurzych łapek

- Skąd wiesz, dokąd powinniśmy iść? - spytała, zadyszana. - Podobno nie byłeś tutaj od lat.

- Nie byłem, ale doskonale pamiętam drogę. Strzepnęła z kapelusza jeszcze jedną pajęczynę.

- Trudno mi uwierzyć, że jakiś zakonnik sprowadził cię w to miejsce.

- Och, masz słuszność - przyznał i uśmiechnął się szeroko. - Mnisi nie wpuszczają gości. Byłem tutaj z przyjacielem, na własną rękę odkryliśmy

tę drogę. Nieco się wówczas śpieszyliśmy, podobnie jak my teraz.

- Dlaczego wybraliście akurat tę drogę?

- Lepiej unikać oczywistych wyborów - odparł krótko. - Może powinnaś wziąć sobie do serca tę prawdę, moja praktyczna damo.

Mary nie wydawała się przekonana. Spacery po podziemiach starej francuskiej katedry nie należały do powszechnie cenionych rozrywek angielskich podróżnych. Nawet jeśli John mówił o zdarzeniach sprzed lat, to dlaczego wraz z przyjacielem salwował się pośpieszną ucieczką przez tak nieprzyjazne miejsce? Jakiego rodzaju kłopoty ściągnęli sobie na głowy?

Nie знаła odpowiedzi na te pytania. Tym bardziej nurtowało ją, czemu zaufała Johnowi i podążyła za nim do tych ponurych podziemi. Przecież nie wiedziała o tym człowieku nic, znała tylko jego imię i nazwisko.

- Czy na pewno dotrzemy tędy na ulicę? - zapytała wprost. - Minęło wiele lat, odkąd byłeś tutaj po raz ostatni, prawda?

- Jedna droga na dół, jedna droga na powierzchnię - odparł lakonicznie i krzepiąco uściskał jej dłoń. - Tyle pamiętam. Poza tym... Słyszałaś to co ja?

Skinęła głową. Odgłos kroków niósł się nieprzyjemnym echem i wyraźnie zbliżał. Z pewnością mężczyzna w zielonym płaszczu podążał za nimi. Nikt inny nie wiedział, że Mary i John znajdują się w podziemiach.

- Tutaj. - John chwycił Mary za rękę i wciągnął za jedną z najszerzych kolumn. Latarnię postawił na ziemi, przy ścianie, jednym ruchem ściągnął kapelusz z głowy i położył go na drzwiczkach lampy, aby zamaskować płomień. Półmrok momentalnie przemienił się w nieprzeniknione ciemności. - Odwagi, Mary. - Bardziej wyczuła jego szept przy uchu, niż go usłyszała. - Stój nieruchomo, resztę zostaw mnie.

Po chwili w kompletnym mroku prześladowca przystanął. Najwyraźniej wyteżał wzrok, na próżno jednak. Gdy ponownie ruszył przed siebie, stawiał kroki ostrożnie, szurając nimi po kamiennej podłodze, aby uniknąć potknięcia lub upadku. Mary słyszała, jak ciężko oddycha, zapewne ze zdenerwowania i wysiłku. Rozchyliła wargi, aby

wyszeptać coś do Johna, lecz najwyraźniej zorientował się, co zamierzała, gdyż położył jej palec na ustach.

Nie była pewna, lecz zakładała, że czeka, aż obcy minie ich i się oddali. Wówczas odejdą w przeciwną stronę i w końcu bezpiecznie wyjdą na powierzchnię ziemi. Nigdy nie przypuszczała, że kiedykolwiek tak bardzo zatęskni za słońcem.

Prześladowca był coraz bliżej. Słyszała jego oddech, a także szelest płaszcza. Do jej uszu dotarł jeszcze jeden dźwięk, przytłumiony i metaliczny. Nie potrafiła go zidentyfikować. Nagle zakręciło się jej w nosie od specyficznej kombinacji ostrej woni niepranego, zatęchłego ubrania, zakisłego potu oraz przetrawionego czosnku i cebuli. Nieznajomy wymamrotał przekleństwo po francusku. Znajdował się teraz dosłownie na wyciągnięcie ręki od Mary.

Stała nieruchomo, w przeciwieństwie do Johna, który nagle wyskoczył z kryjówki i zaatakował nieprzyjaciela. Rozległ się odgłos szamotaniny, coś łupnęło i mężczyzna gwałtownie wypuścił powietrze z płuc. Mary usłyszała przyciszony łomot, który mógłby towarzyszyć upadaniu na podłogę ciężkiej poduszki.

Ponownie zapadła cisza.

Mary nie mogła dłużej stać beczynnym. Pochyliła się i ściągnęła kapelusz z latarni. Świeca gwałtownie pojaśniała dzięki nagłemu dopływowi powietrza i w jej świetle Mary dostrzegła powalonego na ziemię mężczyznę w zielonym płaszczu oraz stojącego nad nim Johna z pistoletem w dłoni.

- Coś ty narobił? - krzyknęła. - Wielkie nieba, jeśli go zabiłeś...

- Nie zabiłem go, bo żyje. Tylko ogłuszyłem go rękojęcią pistoletu, zanim zdołał nas zaatakować.

Ukląkł przy nieznanym i podniósł z ziemi pistolet, upuszczony przez łotra.

- Teraz mi wierzysz? - spytał i pokazał jej broń.

- Nie chodzi o to, czy ci wierzę. - Odetchnęła, wstrząśnięta tym, co się zdarzyło, widokiem nieruchomego ciała mężczyzny, szybkością reakcji Johna i faktem, że miał przy sobie broń palną. - Nie wiedziałam, że jesteś

uzbrojony.

- Nie spytałaś - odparł. Przez cały czas wpatrywał się w odebrany obcemu pistolet. - Zresztą, to bez znaczenia. Większość dżentelmenów w podróży nosi przy sobie broń. Tak robi każdy rozsądny człowiek, który ceni sobie poczucie bezpieczeństwa. Twój ojciec z pewnością również nie rusza się z domu bez pistoletu, tylko nic o tym nie wiesz.

Nie była pewna, czy John ma słuszność, więc na wszelki wypadek zmieniła temat.

- Dlaczego ten człowiek nas śledził? - zapytała. - W dodatku uzbrojony? Z jakiego powodu ktoś chce zrobić nam krzywdę?

John nie odpowiedział. W milczeniu przetoczył nieprzytomnego mężczyznę na plecy i zaczął przeszukiwać mu kieszenie.

- Co ty robisz? - zbulwersowała się raz jeszcze. - Powinniśmy zapewnić temu biedakowi pomoc, a nie urządzać rewizję.

- Czemu, u licha, mielibyśmy pomagać jakiemuś łotrowi? Mary, on nas śledził i usiłował skrzywdzić!

- Nie miał powodu...

- Oczywiście, że miał! Nie znamy przyczyn jego wrogości. Cóż, nie znalazłem przy nim nic, co mogłoby nam przybliżyć rozwiązanie tej zagadki. - Sprawnie rozładował pistolet złoczyńcy, wrzucił kulę do kieszeni, a broń cisnął w mrok. Mary przeszło przez myśl, że jeszcze nigdy nie widziała człowieka, który postępowałby z tak bezlitosną skutecznością. Była ciekawa, gdzie się tego nauczył.

Wyprostował się, wsunął swój pistolet do kieszeni i sięgnął po latarnię.

- Chodźmy - mruknął. - Powinniśmy odejść, zanim się ocknie.

- Naprawdę zamierzasz go zostawić tutaj, w ciemnościach?

- Owszem - potwierdził i wyciągnął rękę. - Zapewniam cię, ta kreatura chciała tak samo postąpić z nami.

Niechętnie podała mu dłoń. Liczyła na to, że John nie zauważy, jak drży. Wmawiała sobie, że niebezpieczeństwo minęło, że John ją uratował, lecz była jeszcze bardziej wystraszona niż wtedy, gdy tropił ich podejrzany opryszek. Postanowiła zebrać się na odwagę. Skoro

zamierzała uczestniczyć w przygodach, musiała zachowywać się dzielnie.

Odwróciła głowę, odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się do Johna.

- Zrobięś to, co należało - przyznała po zastanowieniu.

- Dla ciebie - potwierdził uroczyście i uśmiechnął się szeroko. Serce Mary mocniej zabiło. - Ruszajmy dalej, moja mężna dziewczyno z prowincji.

Pośpiesznie dotarli do najbliższych schodów, które zaprowadziły ich z powrotem do katedry. Wielobarwne witraże jaśniały w promieniach słońca, ubrane na czarno wdowy klęczały przed kapliczkami, stare kobiety zamyślały podłogę. Z pozoru nie zmieniło się nic, lecz dla Mary cały świat wyglądał inaczej niż jeszcze przed godziną.

- Zbladłaś, Mary - zauważył John z troską, gdy w końcu znaleźli się na schodach przed kościołem. - Odwiozę cię do gospody.

Podniósł rękę, zatrzymał dorożkę i pomógł Mary wejść do środka. Pojazd był mniejszy niż powozy w Londynie, a w dodatku cuchnął kurczakami. Mary usadowiła się w rogu, wygładziła suknię na kolanach i skromnie złożyła dłonie. Pomyślała, że po takim poranku ma prawo być blada.

- Musimy niezwłocznie jechać na posterunek straży miejskiej - oświadczyła, gdy tylko John zajął miejsce u jej boku. - Złożymy doniesienie na temat tego, co nas spotkało.

Przykrył jej dłoń swoją.

- Mary, Mary. Przecież mówiłem, że we Francji wszystko wygląda inaczej niż w naszym kraju. Ponieważ jesteśmy Anglikami, miejscowi urzędnicy nie uwierzą w ani jedno nasze słowo.

- Ale gdybyśmy wyjaśnili szczegółowo, co zaszło...

- Oświadczyliby, że niepodobna, aby w ich mieście doszło do tak haniebnego zdarzenia. Odprawiliby nas z kwitkiem, twierdząc, że przesadzamy. Co gorsza, mogliby nam postawić zarzut oszczerstwa i próby zniesławienia. Pamiętaj, jakie prawo obowiązuje w tym kraju. W wypadku śmierci Anglika cały jego majątek ulega konfiskacie przez urzędników króla Ludwika. A wiesz, jak brzmi uzasadnienie tego prawa? Otóż zdaniem miejscowych, umierający Anglik przysparza tylu kłopotów

państwu francuskiemu, że musi za to zapłacić.

Oszołomiona Mary zerknęła przez okno na katedrę, jakby się obawiała, że u wejścia do świątyni lada moment stanie człowiek w zielonym płaszczu.

- John, nie wiem, co robić - wyznała ze smutkiem. - Najpierw śledzili nas i zaatakowali rozbójnicy. Teraz jakiś łotr deptał nam po piętach w katedrze. Trudno mi ignorować tak niepokojące zdarzenia.

- Masz słuszność, czegoś podobnego nie sposób lekceważyć. - Ucałował jej dłoń i ciężko westchnął. - Mówię to z prawdziwą przykrością, lecz w tej sytuacji powinnaś niezwłocznie opuścić Francję. Wróc do Anglii najszybciej, jak się da. Tylko twój ojciec, jego tytuł, majątek i wpływy, są w stanie zapewnić ci bezpieczeństwo. Cofnęła rękę.

- To absolutnie wykluczone - oświadczyła stanowczo. - Odkąd pamiętam, pragnęłam wyruszyć na tę wyprawę. Nie ucieknę teraz jak płochliwy królik.

John usadowił się wygodnie, zdjął kapelusz i położył go na kolanie. Był zmęczony, podobnie jak Mary.

- Gdyby twój ojciec wiedział, co się tutaj zdarzyło, zapewne przyjechałby po ciebie i Dianę, prawda? - zapytał.

- Och, nawet nie domyślasz się jak szybko - potwierdziła. Uśmiechnęła się na myśl o tym, jak błyskawicznie ojciec zjawiłby się we Francji. Mary niewiele wiedziała o Johnie, lecz on również miał marne pojęcie o niej i o jej rodzinie. - Ojciec jak na skrzydłach pokonałby kanał, aby nas ratować, gdyby się dowiedział, że karczmarz zawyżył rachunek za śniadanie.

- Twój ojciec byłby na to gotowy? - spytał z niedowierzaniem.

Mary nagle uświadomiła sobie, że nie każdy rodzic jest tak opiekuńczy i troskliwy.

- Ależ tak - odparła. - Panna Wood pisze w listach do niego, że wszystko jest w porządku, więc zadowala się opieką nad końmi i psami w Aston Hall.

Podniósł wzrok, nie poruszając głową. Niebieskie oczy wydawały się

pochmurne i nieprzeniknione.

- A ty, Mary? Nie sądzisz, że lepiej byłoby zostać z końmi i psami?

- Może bezpieczniej - odrzekła po zastanowieniu. - Bezwątpienia bezpieczniej. Cóż z tego, skoro istnieje jeszcze mnóstwo innych katedr oraz ruin, które pragnę zwiedzić, i czeka na mnie zbyt wiele obrazów do kupienia. Jeszcze nie pora na powrót do domu.

John nieoczekiwanie pochylił się i pocałował ją w usta, mocno i stanowczo, jakby się bał, że Mary się odsunie. Jednocześnie łagodnie przesunął palcami po jej policzku.

- Dziewczyno z prowincji - wyszeptał czule - już nigdy mnie nie pytaj, dlaczego z tobą zostałem.

RS

Rozdział siódmy

Popołudniowe słońce grzało Johna w plecy, kiedy drogą do Paryża jechał wierzchem obok powozu księcia Aston. Niedawno minęli Lingueville. Przydrożne winnice i sady zniknęły, zastąpione przez pola uprawne księcia de Bourbon. Przed wieczorem zamierzali dotrzeć do Chantilly i zatrzymać się tam na trzy noce w gospodzie „Montmorency” nazwanej tak na cześć jednego ze starych szlacheckich rodów w okolicy.

Z wysokości wierzchowca John widział Mary w kabinie powozu. Siedziała z głową pochyloną nad książką. Podobał mu się jej profil, okrągłe policzki i prosty nos. Drobne loczki wysunęły się spod kapelusza i łagodnie kołysały przy każdym ruchu pojazdu. Co pewien czas Mary podnosiła wzrok i uśmiechała się do Johna. Na jej policzkach pojawiał się wówczas rumieniec. Sprawiała wrażenie zakłopotanej i zaskoczonej, zupełnie jakby zakładała, że John odjedzie i była zachwycona, że jednak pozostał.

Wcale się jej nie dziwił. Sam się spodziewał, że wróci do Anglii, a tymczasem jeździł po Francji w towarzystwie dam z wyższych sfer.

Po wielu staraniach udało mu się wkraść w łaski guwernantki, która okazała się całkowicie nieprzygotowana do roli opiekunki. Cóż z tego, że doskonale prowadziła lekcje, skoro za granicą zachowywała się zbyt ufnie, wręcz naiwnie. Lady Diana usiłowała go oczarować tak natarczywie, że musiał się wycofać i poczekać, aż temperamentna arystokratka zagnie parol na jednego ze strażników, których wynajął.

Sytuacja z Mary przedstawiała się całkiem inaczej. Od chwili, gdy w antykwariacie Dumonta natrafiła na obraz z aniołem, czuł się z nią w niewytłumaczalny sposób związany. Co takiego w niej dostrzegł, że nagle stał się rycerski? Była urocza, dowcipna i niestłuchanie atrakcyjna, lecz nie usiłował jej uwieść. Nietypowo dla siebie, ograniczył się jedynie do pocałunku. Czy mógł oczekiwać, że zdobędzie część fortuny urodziwej Angielki, skoro działał tak nieudolnie? Mógł przynajmniej

cieszyć się, że zrzędzeniem losu trafiła w jego ręce, zanim zdążył się nią zainteresować jakiś pozbawiony skrupułów łowca posagów.

Po namyśle doszedł do wniosku, że powinien zachowywać się uczciwie przynajmniej wobec siebie. Sam przecież był pozbawionym skrupułów draniem. Jednak istnieli gorsi od niego, zamierzał więc chronić Mary przed ich zgubnym wpływem. Nie był w stanie naprawić zła, które niegdyś wyrządził, ani czynem, ani słowem. Przynajmniej mógł zadbać o bezpieczeństwo niewinnych kobiet, zmierzających do Paryża.

Zauważył, że Mary się do niego uśmiecha. Na jej twarzy tańczyły promienie słońca, które przedarły się przez plecione rondo kapelusza. Naprawdę była dziewczyną ze wsi, prowincjuszka - nigdy tego nie ukrywała - mimo że urodziła się w arystokratycznej rodzinie. Ponownie zachwycił się urodą tej młodej damy o zadziwiająco mocnym charakterze. Podobała mu się jej osobowość i niepowtarzalna uroda. Odwzajemnił uśmiech. Nie zdołałby się powstrzymać, nawet gdyby chciał.

Bez względu na to, jak ładnie się uśmiechała i rumieniła, najważniejszy był dla niego obraz. W gruncie rzeczy z jego powodu opóźnił powrót do Anglii i tak usilnie próbował zdobyć zaufanie rodaczek.

Gdyby wierzył w moc przekleństw, z pewnością uznałby, że na temperze z aniołem ciąży klątwa. Przez ostatnich kilkaset lat zapewne mnóstwo ludzi oddało za nią życie, a stary Dumont wcale nie musiał być ostatnią ofiarą obrazu. Jedynym skutecznym rozwiązaniem wydawało się ciśnięcie tego dzieła w płomień.

Choć John nie wierzył w klątwy, nie wątpił w istnienie tajemnic. Dostarczały mu rozrywki, a czasem zysków. Tym razem musiał rozgryźć wyjątkową zagadkę. Stary obraz był wspaniały, lecz dla samego piękna nie popełnia się zbrodni. Należało odnaleźć ukrytą wskazówkę lub kod, którego osoba niewtajemniczona nie dostrzeże albo nie zacznie szukać, John uważał, że Mary powinna pokazać mu obraz, a nie chować go niczym wystraszona wiewiórka orzech. Gdzieś na tym obrazie albo w jego wnętrzu skrywał się sekret, decydujący o niewyobrażalnej wartości

dzieła, cenniejszego niż życie Dumonta. Gdyby dwa dni temu w katedrze John nie zachował odpowiedniej czujności, on i Mary zapewne podzieliliby los starego antykwariusza.

- Wasza lordowska mość! - Mary wychyliła się przez okno powozu i wyciągnęła ku Johnowi dłoń z jabłkiem, - Może mała przekąska?

Zanim zdolał cokolwiek odpowiedzieć, roześmiała się i rzuciła mu owoc. Chwycił go i ugryzł łapczywie, jakby o niczym innym nie marzył.

- Jesteś jak biblijna Ewa! - krzyknął. - Wodzisz mnie, biednego Adama, na pokuszenie.

Zaśmiała się ponownie.

- Nie będę się obawiała, że mnie skusisz. Jestem wolna od grzechu, póki czuwa nade mną anioł stróż.

Ukryła się w kabinie, pogodna i rozbawiona, lecz John spoważniał. Przrzekł sobie, że zatroszczy się o Mary tak, aby anioł stróż nie przemienił się w anioła śmierci,

Kiedy ostatnie naczynia znikły ze stołu po kolacji w gospodzie, Mary wyjęła z kieszeni list i z uśmiechem rozprostowała starannie złożoną kartkę papieru. Sądziła, że nowiny wprawią Johna w miłe zdumienie, i chciała dzielić z nim radość.

- Jak wiadomo, na jutro zaplanowaliśmy wizytę w ogrodach księcia de Conde - zauważyła. - Za sprawą starego znajomego ojca zostaliśmy dodatkowo zaproszeni jako goście specjalni do galerii w pałacu.

Wręczyła Johnowi oficjalne zaproszenie, które dawało im prawo wstępu do eleganckiej siedziby arystokraty. Diana pochyliła się ku Johnowi i zajrzała mu przez ramię, aby bez większego zainteresowania zapoznać się z treścią listu.

- Książę jest tak ważny i dostojny, że nie wpuszcza na teren swojej posiadłości nikogo, komu nie wystawił stosownego zaproszenia - powiedziała z niechęcią. - To jak bilety do teatru, w którym można oglądać dobra bogatego arystokraty. Idę o zakład, że za nasz trud nie zostaniemy nawet poczęstowani herbatą.

- Nie ma mowy o żadnym trudzie, Dianie - zaprotestowała surowo panna Wood. - Spotkał nas ogromny zaszczyt ze strony wybitnej

osobistości. Powinnaś się cieszyć, że twój ojciec wykorzystał wpływy do tego, aby uzyskać tak wyjątkowe zaproszenie. Tutaj, we Francji, księżę de Conde zajmuje drugie co do ważności miejsce tuż po królu Ludwiku, a jego pałac w Chantilly śmiało może konkurować z Wersalem.

John oddał Mary zaproszenie.

- Gwoli ścisłości, księżę mieszka w zamku, nie w pałacu, panno Wood - zauważył. - Francuzi są ogromnie wyczuleni na punkcie tego rozróżnienia.

- Jakkolwiek nazwać siedzibę księcia, z pewnością jest ona imponująca - odparła panna Wood. - Bez wątpienia pełno w niej obrazów. Bardzo nam zależy, aby zechciał pan wcielić się w rolę naszego przewodnika po zbiorach księcia.

- Przykro mi, panno Wood, ale, niestety, nie będę paniom towarzyszył. - John wstał i przysunął krzesło do stołu. - Skorzystają panie z wiedzy księcia oraz jego służby.

- Jak to?! - wykrzyknęła Mary, rozczarowana i zaskoczona. - Chodźmy tam wszyscy razem, przecież zaproszenie dotyczy całej naszej grupy. Poza tym napisałam już, że pojawimy się w zamku.

- Zaproszenie dotyczy córek księcia Aston. Nie zauważyłem w liście wzmianki o mnie.

- Mimo to list odnosi się do nas wszystkich - zaprotestowała. - Przecież panna Wood również nie jest wymieniona z nazwiska, a wiadomo, że będzie mile widzianym gościem.

- Ogromnie dziękuję za umieszczenie mnie w jednym szeregu z panną Wood - wycedził ironicznie John. - Wreszcie mam pewność, że mogę z nią rozmawiać jak z równą sobie. Obawiam się jednak, że księżę prędzej ugości w pałacu guwernantkę niż mnie. Za pozwoleniem, życzę paniom dobrej nocy.

Zanim ktokolwiek go zatrzymał, odszedł. Mary opuściła dłoń z listem i bezradnie powiodła wzrokiem za Johnem.

- Och, Mary, proszę, biegnij za jego lordowską mością! - zawołała panna Wood, wyraźnie roztrzęsiona. - Dlaczego lord Fitzgerald poczuł się urażony brakiem swojego nazwiska w zaproszeniu? Przecież to

przypadkowe niedopatrzenie. Książę nie mógł wiedzieć, że lord Fitzgerald towarzyszy nam w podróży.

Diana ciężko westchnęła i poruszyła nadgarstkiem, aby granaty w jej bransolecie zaśniły w blasku świateł.

- Może John przegrał w karty z księciem de Conde i jest mu winien ogromne pieniądze? - zasugerowała. - Większość dżentelmenów kłóci się o hazard i kobiety, czyż nie?

- Bądźże cicho - ofuknęła siostrę Mary i wyrzała za drzwi, licząc na to, że ujrzy za nimi Johna. Perspektywa pościgu za nim nie wydała się jej szczególnie atrakcyjna. Równie nieciekawie prezentowała się wizja zwiedzania słynnych pałacowych galerii bez niego. - Nie wierzę, aby lord Fitzgerald popełnił któryś z tych grzechów.

- Nie interesują go damy? - Diana wzruszyła ramionami. - Biedna Mary.

- Doskonale wiesz, że nie o to mi chodziło.

Mary wsunęła list do kieszeni i jednak ruszyła na poszukiwanie Johna. Nie zamierzała go błagać o wspólne udanie się do pałacu, lecz oczekiwała od niego, że wyjaśni jej, dlaczego nie przyjął zaproszenia. Nie wierzyła, aby chodziło tylko o urażoną dumę czy ambicję.

John znikł z holu. Mary podbiegła do schodów. Główny salon w gospodzie wypełniał się hałaśliwymi panami, zdecydowanymi spędzić noc na picciu, paleniu i opowiadaniu pieprzonych historyjek. Pod tym względem Francuzi najwyraźniej nie różnili się od Anglików. Gdyby lord Fitzgerald do nich dołączył, Mary nie mogłaby go śledzić i musiałaby dać za wygraną. Gdy jednak wychyliła się za balustradę na szczyt schodów, zauważyła czubek głowy Johna. Idąc, stawiał nietypowo długie kroki.

- Wasza lordowska mość, proszę się zatrzymać! - zawołała. Miała nadzieję, że jej głos zabrzmiał władczo, jak przystało na córkę księcia, nie na handlarke z rybiego targu. - Proszę zaczekać!

Uniosła suknię, aby się nie potknąć, i ruszyła po schodach w ślad za Johnem. Nie zwracając uwagi na zaskoczone spojrzenia gości, zeskoczyła z ostatniego stopnia.

- Lordzie Fitzgerald, bardzo proszę! - wykrzyknęła. Odwróciła się i

ujrzała Johna, który znieruchomiał na dźwięk jej głosu.

- Wasza lordowska mość, musimy zamienić słowo - wykrztusiła i dyskretnie odchrząknęła.

- Pani? - Nieznacznie rozłożył dłonie. - Właśnie to robimy.

Stojący za nim mężczyzna parsknął śmiechem, a policzki Mary stały się purpurowe. Publiczne występy ogromnie ją peszyły, a ponieważ zachowywała się impulsywnie, w naturalny sposób przyciągała uwagę coraz liczniejszego grona osób.

- Na osobności, rzecz jasna - podkreśliła, usiłując wziąć się w garść. - Musimy porozmawiać bez świadków.

Wystarczyło, że sceptycznie uniósł brew, a wokół rozległ się donośny chór pohukiwań i gwizdów. Najwyraźniej wszyscy uznali, że lord Fitzgerald uważa Mary za jedną z licznych bywalczyń gospody, które miałyby ochotę spędzić z nim chwilę sam na sam.

Nie mogła tego znieść. Cokolwiek by powiedziała, musiało się obrócić przeciwko niej, ku ucieście gawiedzi. Głupcy, pomyślała gniewnie, chwyciła Johna za rękę i pociągnęła go ku tylnym drzwiom, a stamtąd na podwórze.

Stajnie i inne budynki gospodarcze znajdowały się z boku gospody, a małe podwórze, na które wyszli, obejmowało niski kurnik, pełen rozgdakanych kurczaków, oraz nieduży ogródek przykuchenny, należący do żony właściciela. Dookoła rozciągał się kamienny mur, który skutecznie chronił przed powiewami wiatru. Dokuczliwe słońce w połączeniu z żarem kuchennych pieców sprawiało, że na podwórzu panował skwar, a w powietrzu unosiła się intensywna woń czosnku i cebuli. Zamiast szumiących nad strumykiem wierzb i blasku księżyca, które towarzyszyły im w Abbeville, Mary i John musieli zadowolić się zapachem kapusty i jazgotem kur.

Mary puściła rękę Johna i cofnęła się o dwa kroki. Musiała nabrać dystansu do tego człowieka i do całej sytuacji. Nie powinien jej rozpraszać jego uśmiech, spojrzenie...

Mimo to ledwie potrafiła zebrać myśli. Wyczuwała na sobie wzrok Johna.

- A zatem jesteśmy sami - rzekł cicho. - Mów.
- Nie rozkazuj mi! - odparła, zdumiona własną śmiałością.
- Wedle życzenia, droga pani. Dobrej nocy.
- Nie, zostań! - Odetchnęła głęboko. - Musimy porozmawiać.
- Zatem możesz wydawać mi rozkazy, a ja nie mogę odpłacić ci tym samym?
- Tak, jeśli jesteś dżentelmenem.
- A jeśli ty jesteś damą?
- Jestem nią - podkreśliła surowo. - Dlatego z tobą rozmawiam. Oczekuję od ciebie uprzejmego wyjaśnienia.
- Tak jest, proszę pani. Cokolwiek pani sobie zażyczy. Jego słowa nie zabrzmiały ani trochę uprzejmie.
- Sądziłam, że sprawię ci przyjemną niespodziankę, oferując zaproszenie do pałacu i możliwość obejrzenia kolekcji księcia, a w szczególności obrazów włoskich mistrzów. Zakładałam, że wspólnie przestudiujemy różne dzieła, aby ustalić nazwisko autora mojego anioła. Taka propozycja powinna być dla ciebie atrakcyjna.
- Rozzłościłaś się, bo nie jestem zachwycony.
- Skąd, nie rozzłościłam się - zaprzeczyła, choć wiedziała, że to nieprawda. - Rozczarował mnie twój brak zainteresowania.
- Jesteś rozczarowana, bo nie padłem ci do nóg z wdzięczności - zauważył chłodno. - Lubisz planować i porządkować, zwłaszcza życie innych ludzi. To dziwne, że Diana nie udusiła cię za to, jak bezceremonialnie wtrącasz się w jej sprawy.
- Nieprawda! - oburzyła się, lecz w następnej chwili przeszło jej przez myśl, że być może John ma słuszność. - Jeśli chodzi o Dianę, czasami muszę interweniować. Nie mam wyboru.
- Och, żadnego - zakpił. - Zapewne dlatego przyszedłeś ze mną porozmawiać. Po prostu nie miałaś wyboru.
- Grzeszysz pychą! - wykrzyknęła. - To oczywiste. W przeciwnym razie wybrałbyś się z nami do pałacu. Nie potrafisz zaakceptować, że nie otrzymałeś oddzielnego zaproszenia.
- Mówisz poważnie? - spytał ostupiały. - Twoim zdaniem, czuję się

urazony, bo nie dostałem jakiegoś tam listu?

Z irytacją machnęła ręką. Nie spodziewała się, że John zakwestionuje jej słowa.

- Czy potrafiłbyś podać inny powód? Diana napomknęła, że z pewnością straciłeś pieniądze, grając z księciem w karty, albo pokłóciłeś się z nim o kobietę. Uważam, że to pycha nie pozwala ci trzeźwo myśleć.

- Jakie to jasne i proste, prawda? - wycedził. - Nic dziwnego, że twoja siostra zna więcej mężczyzn, niż ty kiedykolwiek poznasz.

Te słowa boleśnie ugodziły Mary.

- Jesteś dłużnikiem księcia? Czy też może skoczyliście sobie do gardel z powodu kochanki?

- Zapewniam cię, że ani jedno, ani drugie.

- To może wreszcie wyjawisz mi prawdę? - Mary poczuła, jak po jej plecach spływa strużka potu. Skwar był nieznośny. - Czy mam dalej zgadywać?

Podszedł bliżej, wyraźnie skracając dzielący ich dystans. Udzieliła mu się złość Mary i nie zamierzał tłumić irytacji.

- Nie mam zwyczaju zmuszać kobiet do czegoś, na co nie mają ochoty - oświadczył. - Dotyczy to także dam.

Postanowiła nie dawać mu satysfakcji i nie wycofywać się, choć z trudem tolerowała jego bliskość.

- Zatem przestań się tak upierać i powiedz mi, w czym rzecz!

- Spełnię twoje życzenie - zdecydował nieoczekiwanie. - Choć Bóg mi świadkiem, że nie wiem, dlaczego to robię. Nie wybieram się do pałacu, ponieważ chcę ci oszczędzić wstydu z powodu mojej obecności. Odrzuciłem zaproszenie przez wzgląd na ciebie, Mary. Oto prawdziwa przyczyna mojego postanowienia.

- Przez wzgląd na mnie? - zdumiała się i pokręciła głową, nadal zbyt rozzłoszczona, aby dostrzec logikę w słowach rozmówcy. - Jak możesz przerzucać na mnie odpowiedzialność za własne wybory? To, co mówisz, jest pozbawione sensu. Jak mogłabym wstydzić się, że nam towarzyszysz?

- Sama musisz znaleźć odpowiedź na to pytanie - odparł i okręcił się

na pięcie.

- Zaraz! - krzyknęła i potruchtła za nim przez grządkę kapusty. - Nie możesz odejść, musisz mi wszystko wyjaśnić!

- Jedno pytanie, jedna odpowiedź. A teraz wybacz mi, muszę dołączyć do księcia de Conde. Tradycyjnie wybieramy się razem na ladacznice i hazard.

- Zatem poszukam towarzystwa dżentelmena, który potrafi być szczery i miły! - Riposta Mary wypadła blado, co ją dodatkowo rozżłościło. - Idę, nie żartuję! - dodała, gdy niezrażony John ruszył do bramy.

- Powodzenia! - rzucił, nie odwracając głowy. - Najserdeczniejsze wyrazy współczucia dla tego nieszczęśnika.

Zdenerwowana Mary otworzyła drzwi do gospody, wywołując popłoch wśród służących, którzy gromadnie podglądali przez okno całe zajście. Jeden z kucharzy nie zdążył uciec i znieruchomiał niczym królik w świetle latarni. Mary zauważyła w jego dłoni napoczętą butelkę wina.

- Podpatrywanie innych to bardzo brzydki zwyczaj, proszę pana - oświadczyła lodowatym tonem, zupełnie zapomniawszy, że tylko nieliczni służący mówili po angielsku.

Mężczyzna zrobił wielkie oczy.

- *Je ne comprends pas* - powiedział.

- Och, ja też nie rozumiem - burknęła Mary i podążyła w kierunku schodów.

- Mary!

Westchnęła i odwróciła się do panny Wood, która stała na progu jadalni. Zza jej pleców wyglądała wdowa z Anglii, nowa znajoma guwernantki. Obie panie niewątpliwie doskonale się bawiły w swoim towarzystwie, rozmawiając - zapewne - o ptakach śpiewających, o poezji, o psalmach, czyli na ulubione tematy panny Wood.

- Czy udało ci się dogonić jego lordowską mość? - spytała guwernantka z uśmiechem.

- Tak, panno Wood - potwierdziła Mary z ponurą miną. - Nie udało mi się jednak przekonać go, żeby jutro do nas dołączył.

- Och nie. - Panna Wood cmoknęła z dezaprobatą. - Sądziłam, że go skłonisz, aby z nami poszedł. Mężczyźni bywają tacy męczący...

- To prawda - przyznała Mary. - Chyba pójdę do siebie i przygotuję się do snu.

- Oczywiście - zgodziła się panna Wood. - Sama też wkrótce udam się na spoczynek. Czy jest z tobą Diana?

- Nie wiem, gdzie podziewa się moja siostra - odparła Mary i natychmiast się przestraszyła, że Diana znowu popełniła jakieś głupstwo. Dotąd postępowała jak należy i podczas podróży ograniczyła się wyłącznie do okazjonalnego posyłania mężczyznom powłóczyстых spojrzeń i puszczenia oczka. Poza tym uskarżała się na brak eleganckich dżentelmenów we Francji. - Pamiętam, że gdy ostatnio ją widziałam, była tak zmęczona, że pewnie poszła na górę.

- Wszystkie padamy z nóg. - Panna Wood dyskretnie stłumiła ziewnięcie. - Powinnyśmy dobrze wypocząć przed jutrzejszymi atrakcjami. Musimy świeżo wyglądać podczas spotkania z księciem.

- Wobec tego dobranoc, panno Wood. - Mary ziewnęła demonstracyjnie. Diana jeszcze nigdy w życiu nie poszła spać o tak wczesnej porze. Szczęśliwym trafem, guwernantka najwyraźniej zapomniała o tym fakcie. - Miłych snów.

- Nawzajem. Spotkamy się rano, przy śniadaniu.

Mary skinęła głową i powoli ruszyła ku schodom. Zwlekąca celowo, gdyż pragnęła zyskać pewność, że guwernantka i jej nowa przyjaciółka powrócą do drugiego pokoju. Gdy tak się stało, przemknęła na koniec holu i znieruchomiła przed główną salą. Z uwagą przyjrzała się gościom, częściowo przysłoniętym przez siwy dym z fajek, w poszukiwaniu eleganckiego kapelusza siostry. Chciała zyskać pewność, że .. Diana nie trafiła w takie towarzystwo - w większości męskie i sporo starsze od dorastającej panny. Mary sprawdziła salę dla porządku, gdyż Diana wolała dyskretne sam na sam niż liczne grono mężczyzn. Skoro jednak chwilowo przebywała we Francji, gdzie wszystko było inne niż w domu, to może i ona się zmieniła?

Jedynie kobiety w sali wydawały się niechlujne i niemłode, więc Diana

z pewnością nie dołączyła do ich grona. Mary odetchnęła z ulgą i wyszła z gospody.

- Czy mam przywołać powóz dla jaśnie pani? - spytał portier.

Energicznie zeskoczył z wysokiego stołka i złożył Mary niski ukłon. - A może raczej jaśnie pani wolałaby lektykę?

- Nie, dziękuję.

Mary się wycofała. Co robi na tej niemal całkowicie opustoszałej ulicy? Damom nie przystają samotne wyprawy po zmroku. Nie znajdowała się w Aston Hall ani nawet w Anglii. W rodzinnych stronach potrafiłaby jednym tchem wyliczyć miejsca, w których należało szukać Diany i jej ukochanych. Żadna wróżka dziewczyna chętnie zaszywała się w pomieszczeniu nad stajnią, w altance nad jeziorem, zbudowanej na wzór rzymskiej świątyni, lecz najczęściej siadywała po prostu na ławce w parku.

Gdzie należało rozpocząć poszukiwania w Chantilly? Spojrzenie Mary powędrowało w kierunku pokojów, które dzieliła z Dianą. Miała nadzieję, że ujrzy zapalone świece i że jej siostra będzie się przygotowywała do snu. Okna były jednak ciemne. Mary poczuła, że ogarnia ją przygnębienie.

Przyszło jej do głowy, że chyba powinna wrócić do panny Wood i powiadomić ją o nieobecności siostry. Tym razem nie chodziło tylko o dochowanie tajemnicy Diany. Tutaj, z dala od ojczyzny, w otoczeniu cudzoziemców, siostra mogła wpaść w poważne tarapaty. Być może trzeba będzie wezwać straż lub inne francuskie służby, przygotowane do prowadzenia poszukiwań osób zaginionych. Wybuchnie skandal, to oczywiste, a gdy o wszystkim dowie się ojciec, wielka wyprawa po Europie dobiegnie końca praktycznie na samym początku.

Z głębi ulicy wyłonili się dwaj żołnierze w podartych mundurach. Szli powoli, podtrzymując się nawzajem, aby nie upaść.

- *Ah, ma chérie* - odezwał się jeden z nich i wbił wzrok w Mary.

Wyraźnie poczuła smród taniego wina. - *Vousetes belle, ma chérie. Tres, tres belle.*

- Idźcie sobie - powiedziała nerwowo i ruszyła pośpiesznie w

przeciwną stronę. Zerknęła przez ramię na portiera „Montmorency”, lecz tym razem jego wysoki taboret stał pusty. - Chciałam powiedzieć: *Va! Va!*

- *Anglaise, eh?* - Mężczyźni tręcili się łokciami, a jeden z nich zatoczył się na Mary. - *Anglaise!*

Żołnierz wyciągnął brudną rękę, lecz Mary się wywinęła. W tej samej chwili pośliznęła się na kamiennym bruku i straciła równowagę. Gwałtownie się zachwiała, uświadomiła sobie, że nie ma się czego chwycić i poleciała prosto na żołnierza. W ułamku sekundy zobaczyła tuż przed sobą jego pożądliwą twarz.

Nagle inny mężczyzna chwycił ją w talii i pociągnął do tyłu. Instynktownie usiłowała walczyć, oswobodzić się z mocnego uścisku, lecz nie dawała rady.

- Spokojnie, przy mnie nic ci nie grozi - rozległ się znajomy głos. - A wy dwaj, precz stąd. Dama jest ze mną. *Avec moi*, rozumiano?

Mary przestała się szamotać, zdumiona szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Dlaczego John nie poszedł sobie, jak zapowiadał? Dlaczego nagle znalazł się przy niej akurat wtedy, kiedy go najbardziej potrzebowała?

W tym samym momencie zjawił się portier, wymachując potężną pałką.

- Och, jaśnie pani! Jaśnie panie! - wykrztusił zasapany. - Proszę mi wybaczyć nieuwagę. Czy nic się jaśnie państwu nie stało? Co za łotry z tych żołdaków, łobuzy i dranie!

Gniewnie potrząsnął pałką i nakrzyczał na pijanych żołnierzy. Mary szczęśliwie nie zrozumiała ani jednego słowa. Wybełkotali coś z irytacją, zacisnęli pięści, ale odeszli.

- Mary, nic ci nie jest? - zatroskał się John. - Nie skrzywdzili cię?

- Ani trochę. - Odetchnęła głęboko, aby odzyskać spokój, i odsunęła się od wybawcy. Pośpiesznie poprawiła uczesanie i wygładziła suknię. Nie chciała podnosić wzroku, gdyż czuła, że jeśli popatrzy Johnowi w oczy, rozplacze się ze strachu i z ulgi. Teraz musiała myśleć o Dianie. - Wszystko w porządku.

- Na pewno? - dopytywał się z niepokojem. Ponownie chwycił ją za rękę.

Skinęła głową, gdyż nie ufała własnemu głosowi. Musiała być silna. Przecież zawsze to właśnie ona sama wszystko organizowała i planowała. Szkoda było czasu na ły.

Portier z groźną miną oparł pałkę na ramieniu i zsalutował Mary.

- Jaśnie pani, proszę o wybaczenie, ale nigdy nie wolno tracić czujności. Nie jesteśmy w Paryżu, a przecież nawet tam samotna dama nie powinna przechadzać się po ulicach.

- Przykro mi, że narobiłam wszystkim tyle kłopotów. - Mary zmusiła się do uśmiechu. - Obiecuję, że w przyszłości zachowam większą ostrożność.

- Teraz również musisz być ostrożna, nie tylko w przyszłości - podkreślił John i wziął Mary za rękę. - Chodź, odprowadzę cię do gospody. Co, u licha, robiłaś sama na ulicy?

- Miałam powody - odparła, z trudem powstrzymując drzenie głosu. - Nie mogę wrócić do gospody.

- Te powody muszą być naprawdę poważne, skoro narażasz dla nich życie. - Delikatnie zacisnął palce na jej dłoni.

- Mówię prawdę. - Szła drobnymi kroczkami, aby nieco oddalić się od portiera. - Szukałam siostry.

- Lady Diany? - Znieruchomiał. - Na ulicy?

- Nie mam pojęcia, gdzie się podziała - wyznała płacząco. - Skłamała pannie Wood, że idzie do mnie, ale poszła gdzie indziej, rzecz jasna. Zawsze tak robi. Nie wiem, z kim jest ani dokąd się udała, ale muszę ją odnaleźć.

- Nie chciałbym obrazić twojej siostry - zaczął John ostrożnie - ale powiedz mi, czy podejrzewasz, że umówiła się z mężczyzną?

Mary bez wahania skinęła głową. Nie było sensu owijać w bawełnę. Dla dobra Diany musiała zapomnieć o dumie.

- John, proszę cię .. Pomożesz mi ją odszukać?

- Zrobię to dla ciebie - rzekł poważnym tonem. - Czy twoja siostra ma w Chantilly kochanka?

Mary wzdrygnęła się, słysząc słowo „kochanek”.

- Wątpię, żeby kogokolwiek tutaj znała - odparła. - To przecież jej pierwsza zagraniczna wyprawa. Rzecz w tym, że moja siostra dysponuje umiejętnością szybkiego zawierania znajomości.

Odetchnęła z ulgą, przekonawszy się, że John się nie roześmiał ani nawet nie uśmiechnął.

- Zauważyłem, że jeden z wynajętych przeze mnie strażników zwracał na Dianę większą uwagę, niżby należało. Rozmawiałem z nim, to oczywiste, ale ostrzeżenia nie zawsze przynoszą spodziewane skutki.

- Moja siostra bywa uparta - przyznała Mary. Zastanawiała się, dlaczego sama nie zauważyła, że Diana coś knuje. - Czy wiesz, gdzie zakwaterował się ten człowiek?

- W „Chat Rouge” - wyjaśnił John i wskazał ulicę, przy której mieściły się pośledniejsze gospody. - Całą służbę skierowałem do jednego lokalu. Odprowadzę cię do panny Wood, a następnie sam...

- Idę z tobą - sprzeciwiła się stanowczo Mary. - Chcę znać najświeższe wieści o mojej siostrze. Nie spocznę, póki nie zobaczę jej całej i zdrowej.

John ruszył ku gospodzie „Chat Rouge”, przez cały czas trzymając Mary za rękę.

- Sądziłem, że woląabyś raczej natrzeć jej uszu, i to porządnie - zauważył.

- To prawda, ale najpierw chcę wiedzieć, że jest całkiem bezpieczna.

John się roześmiał, a Mary wyczuła, że ich relacje ponownie się zmieniły. Nie był już wybawicielem, lecz partnerem. Współpracowali, co ją ogromnie ucieszyło. Gdyby miała zgłosić się do kogoś po pomoc, z pewnością wybrałaby Johna.

Energicznie maszerowali w kierunku gospody, mieszczącej się w niskim, niezgrabnym budynku, o ścianach wzniesionych na wzór muru pruskiego, z ciemnymi belkami na białym tle. Zamiast portiera, który na dworze witałby gości, przed gospodą zasiadali podchmieleni bywalcy lokalu, zajęci pićmi, kłótniami, przechwalaniem się i flirtami. Niektórzy rozparli się na długiej ławie, inni stali oparci o mur, Stołowali się tu żołnierze i wagabundy, zapewne tutaj bawili się dwaj żołdacy, którzy

zaczepili Mary. Strażnicy wynajęci przez Johna musieli czuć się tu jak u siebie w domu.

Nie było to jednak miejsce odpowiednie dla Diany. Zdegustowana i nieco wystraszona Mary przywarła do Johna. Nawet gdyby miała pewność, że powinna sprawdzić ten lokal, z pewnością nie odważyłaby się wejść do środka.

- Gaston! - krzyknął John i ruchem ręki przywołał jednego z mężczyzn w tłumie. - Gaston, chodźże tu!

Mary rozpoznała jednego ze strażników, gdy tylko oswobodził się z objęć służącej. Z butelką w dłoni podszedł do Johna. Wolną rękę swobodnie oparł na rękojęści szpady. Większość strażników obnosiła się z różnymi rodzajami białej broni, a także pistoletami, zatknętymi za pas.

- *Bonjour*. - Gaston podszedł do Johna i Mary. Niewątpliwie miał już solidnie w czubie, podobnie jak większość jego rodaków. - *Comment allez-vous?*

John nie miał ochoty na uprzejmości. Przeprowadził z Gastonem krótką rozmowę, używając prostego języka, niezrozumiałego dla Mary.

- Czego się dowiedziałaś? - spytała, gdy tylko strażnik powrócił do przyjaciół. - Czy ten człowiek widział Dianę? Wie, gdzie ona jest? John, mów szybko!

- Tak jak się obawiałem, poszła z Bauldetem.

- Chodzi o wysokiego mężczyznę z rudawymi włosami i szramą na policzku?

- Właśnie o niego - potwierdził John i oboje niezwłocznie ruszyli w drogę. - Bauldet poszedł do „Montmorency” na spotkanie z Dianą, tak jak się umówili. Obiecał, że pokaże jej kanał. To niedaleko stąd, ale Bauldet to pies na baby, więc lepiej się pośpieszmy.

Zatrzymali pierwszą przejeżdżającą dorożkę, a John zaoferował woźnicy podwójną stawkę za kurs, jeśli tylko zmusi konia do jak najszybszego biegu. Mary patrzyła przez okno, jak miasto zostaje w tyle. Po chwili powóz zatrzymał się u stóp wzgórza, porośniętego ozdobnymi drzewami oraz kwiatami. John wyskoczył z pojazdu i pomógł zejść Mary.

- Czy mogę pożyczyć jedną z twoich latarni, dobry człowieku? - spytał, a dorożkarz skinął głową.

- Jaśnie pan płaci tyle, że mógłbym mu oddać także konia - odparł.

- Proszę na nas zaczekać. - John odczepił lampę na przedzie powozu. - Niedługo wrócimy, jeśli nam szczęście dopisze.

- Myślałam, że Gaston wspomniał coś o kanale - zauważyła Mary, gdy John wziął ją za rękę i poprowadził na szczyt wzgórza. Nie знаła nazw obsypanych kwiatami krzewów, ale czuła ich intensywny zapach. - Nie widzę wody.

- Wkrótce zobaczysz - zapewnił ją John. - Podobno projektantem był ogrodnik zatrudniony niegdyś przy komponowaniu grządek kwiatowych w Wersalu. Starego Ludwika zalewa teraz krew, bo znawcy wyżej cenią ogrody i system wodny w Chantilly.

- Mówisz to wszystko tylko po to, aby mi poprawić samopoczucie. Wierz mi, nie ma takiej potrzeby.

- Wcale nie - zaprzeczył, choć oboje wiedzieli, że Mary ma słuszość. - Chciałem tylko opowiedzieć ci o kanale. Francuzi bezustannie poprawiają naturę, to silniejsze od nich.

Dotarli do wierzchołka wzgórza, skąd ujrzeli wąski pas wody, rozciągający się w obie strony. Przeciwległy brzeg kanału wyrównano, a następnie usypano na nim wzgórze, będące lustrzanym odbiciem tego, na którym stali John i Mary

- Diano! - zawołała i rozejrzała się na wszystkie strony. - Diano, proszę cię, chodź do mnie! To ja, Mary!

Wszędzie rozciągały się zagony ozdobnych krzewów, w których cieniu mogła ukrywać się Diana wraz z kochankiem. Wypatrzenie ich graniczyło z cudem. Mary była bliska załamania. Czy naprawdę Diana nie rozumiała, co jej grozi w tak odludnym miejscu?

John wysoko podniósł latarnię, lecz na niewiele to się zdało.

- Nie pierwszy raz przytrafia ci się taka sytuacja, prawda? - spytał.

- Rzeczywiście - potwierdziła, - Nie potrafiłabym zliczyć wszystkich ucieczek siostry. Diana!

- Odezwie się? - zapytał John. - Czy na ogół przychodzi, kiedy ją

wołasz?

- Czasami - odparła. - Właściwie prawie zawsze. Odnoszę wrażenie, że z reguły jej... przyjaciele wykazują większy rozsądek niż ona i każą jej wyjść z ukrycia. Diana, proszę cię! To ja, Mary!

- Zatem miejmy nadzieję, że Bauldet nie różni się od jej pozostałych znajomych. - John złożył usta w trąbkę i zawołał po francusku: - Bauldet, jeśli gdzieś ukrywasz się z lady Dianą, na miłość boską, wyjdź stamtąd!

- Diano! - zawołała Mary ponownie i powoli ruszyła szczytem wzgórza. Może Gaston się mylił. Może Diana i Bauldet nawet nie dotarli do kanału, tylko wyruszyli w przeciwnym kierunku. - Diano, jeśli mnie słyszysz...!

- To co?! - odwrzasnęła Diana.

Wygramoliła się spod nisko zwieszonych gałęzi pobliskiego buku. Za rękę trzymała mężczyznę, w którym Mary rozpoznała Bauldeta. Prowadził dużego, kasztanowego wałacha, znanego Mary z podróży. Co jednak najważniejsze, Diana wydawała się cała i zdrowa, jej biała, Iniana suknia wyglądała na nietkniętą.

- Nic ci nie jest. - Mary odetchnęła z ulgą. - Och, Diano, nie stała ci się krzywda?

- Oczywiście, że nie, głuptasie. - Diana, wyraźnie wściekła, wyrwała dłoń z uścisku Francuza i założyła ręce na piersiach. - Czemu mnie śledziłaś? Dlaczego nie dajesz mi spokoju?

- Dobrze wiesz dlaczego. - Mary nie chciała nazywać rzeczy po imieniu w towarzystwie dwóch prawie obcych mężczyzn. - Nie zmieniasz się. Choćbyś bez końca przysięgała, że zaczniesz postępować inaczej, ciągle robisz to samo.

- Nie masz prawa mnie pouczać - oświadczyła Diana. - Dlaczego uważasz, że twoim obowiązkiem jest wchodzenie mi na głowę?

John podszedł do Bauldeta, wręczył mu parę monet i wypowiedział kilka słów, które Mary uznała za odprawę. Bauldet usiłował protestować, lecz John uciął dyskusję.

Francuz pokręcił głową, postąpił Dianie pocałunek, wskoczył na konia i odjechał.

- Nie masz prawa go odsyłać! - Diana skierowała gniew przeciwko Johnowi, bezceremonialnie zwracając się do niego po imieniu. - Co mu powiedziałaś? Co mu o mnie naopowiadałaś?

- Wyjaśniłem temu prostemu człowiekowi, że jesteś nierozsądną córką angielskiego arystokraty, i dodałem, że jeśli zależy mi na życiu i ma choć odrobinę oleju w głowie, to natychmiast przestanie się koło ciebie kręcić. Następnie zwolniłem go ze służby.

Diana nie posiadała się z oburzenia.

- Jak śmiałaś! To oburzające!

- Ponadto podkreśliłem, że masz zgubny wpływ na mężczyzn - kontynuował. - Powinien być mi wdzięczny za ocalenie mu skóry. Co do ciebie, moja panno, wsłuchasz teraz z siostrą do dorożki i odwiezę was obie do miasta.

Oszołomiona Mary nie wierzyła własnym uszom. Z wyjątkiem ojca, nikt nie ośmieliłby się tak ostro i bezpośrednio przemawiać do Diany. Mary spodziewała się awantury, lecz jej rozżłoszczona siostra zadziwiająco potulnie uniosła suknię i wspięła się do dorożki.

- Pojadę u boku woźnicy - oświadczył John, patrząc na Mary. - Z pewnością macie sobie sporo do powiedzenia i nie chciałybyście prowadzić rozmowy przy świadkach.

Gdy tylko Mary usadowiła się obok siostry, uświadomiła sobie, że wolałaby być w każdym innym miejscu we Francji, tylko nie w wynajętej dorożce.

Rozdział ósmy

Mary niejednokrotnie widziała, jak jej siostra wpada w szata, i nigdy nie potrafiła go powstrzymać. Diana założyła ręce na piersi, wyprostowała się i dosłownie zatrzęsała z wściekłości. John ocalił cnotę nierozważnej panny i bezpiecznie doprowadził ją do dorożki, niemniej odpowiedzialność za uspokojenie rozhisteryzowanej Diany spadła na barki Mary.

- Nie jesteś moją strażniczką! - wykrzyknęła. - Nie jesteś też naszym ojcem ani nawet panną Wood. Dlatego nie masz prawa wtrącać się do moich spraw, jakbym była dzieckiem.

- Nawet dzieci wykazują większą rozwagę w kontaktach z obcymi niż ty - oznajmiła surowo Mary. - Narażasz na szwank nie tylko siebie, lecz także swoją reputację. Nie wolno ci spotykać się z przygodnymi mężczyznami!

- Przesadzasz, siostrzyczko. W przeciwieństwie do ciebie i panny Wood, mężczyźni pokroju Jeana Bauldeta nie traktują mnie tak, jakbym nie miała mózgu. Jeana nie obchodziło, że nie interesują mnie zatechłe, stare kościoły i brzydkie obrazy. Nie wzdychał z dezaprobatą, że wolę przymierzać nowe kapelusze, niż czytać nużącą książkę. Podobałam mu się taka, jaka jestem.

- Podobało mu się. to, co zamierzałaś mu ofiarować! Dobrze wiesz, co powiedziała by ojciec, gdyby zastał cię z takim nicponiem.

- Ciekawe, co by powiedział na wieść o tym, ile czasu spędzasz sam na sam ze swoim bezczelnym Irlandczykiem!

Mary odetchnęła głęboko, wzburzona słowami siostry. Miała nadzieję, że John nie słyszał tej impertynenckiej wypowiedzi.

- Jego lordowska mość nie jest bezczelny i nie jest mój - zauważyła wyniośle. - To bardzo nieuprzejme z twojej strony, że określasz go mianem Irlandczyka.

Diana się uśmiechnęła, jej jasne oczy zalśniły złośliwie w półmroku.

- Dlaczego uważasz to za nieuprzejme? Przecież nic więcej nie wiesz o

nim na pewno!

- Z całą pewnością jest lordem, podobnie jak my jesteśmy damami!

- Czyżby? - Diana nie kryła wątpliwości. - Przecież nigdy ani słowem nie wspomniał o rodzinie ani o przyjaciółach. Nie wiadomo też, gdzie znajdują się jego rodzinne posiadłości.

- Nie jestem tak wścibska jak ty - odparła Mary.

Jednak w duchu musiała przyznać, że zastrzeżenia siostry brzmią rozsądnie. Na szczęście Diana nie знаła innych faktów: John potrafił walczyć, nosił broń i wyglądało na to, że nie ma własnego domu, a przecież arystokraci zawsze dysponowali nieruchomościami.

Diana nie miała też pojęcia, że John usiłował ocalić monsieur Dumonta z pożaru i uratował Mary przed mężczyzną, który śledził ją w katedrze w Amiens. Do tego jeszcze na zawsze pozostawił w pamięci Mary wspomnienia pocałunku pod wierzbą, gorącego i namiętnego. Czy te fakty nie były istotne?

- Wiem to, co powinnam - oświadczyła Mary. - Nie zamierzam badać jego prywatnych spraw.

- Obie zdajemy sobie sprawę z tego, że nasz ojciec i jego przyjaciele wiedzą nie tylko prywatne, lecz także publiczne życie - zauważyła Diana, świadoma słuszności swoich racji. - Zasiadają w Izbie Lordów, dbają o posiadłości. Twój John najwyraźniej nie ma żadnych obowiązków poza tym, że snuje się za tobą i miesza ci w głowie. Zauroczył cię rzekomą wiedzą i urokiem osobistym. Zresztą tak samo oczarował pannę Wood.

- Ta wiedza nie jest rzekoma - upierała się Mary. - Jesteś niezadowolona, bo zignorował twoje umizgi.

- Jego strata, nie moja. - Diana obojętnie wzruszyła ramionami. - Nosi eleganckie ubrania, szasta pieniędzmi na lewo i na prawo, ale to mogą być tylko pozory. A jeśli ten człowiek jest żądnym przygód łowcą posagów?

- Lord Fitzgerald nie jest łowcą posagów, a jeśli fascynują go przygody, to w takim samym stopniu jak mnie!

Diana oparła głowę o oparcie kanapy i wybuchnęła śmiechem.

- Szkoda, że ojciec tego nie słyszał - powiedziała, szczerze

rozbawiona.

- To nie żarty! - Mary odwróciła się do siostry. - John, to znaczy jego lordowska mość opowiada mi o obrazach, historii i o innych ciekawych rzeczach. Ani przez moment nie mieszał mi w głowie! Wiem to na pewno.

- Czyżby? Skąd to wiesz?

Mary odetchnęła głęboko, jakby miała się zanurzyć w głębokim jeziorze.

- Bo mu ufam - wyznała wprost. - Wierzę, że mówi prawdę.

- Ufasz mu... - Diana zawiesiła głos i ze smutkiem wyjrzała przez okno.

- Nie znasz tego mężczyzny, a jednak darzysz go zaufaniem. Mnie nie wierzysz, a jemu tak. Mary, ostrzegam cię: bądź rozważna. To ja jestem najbliższą ci osobą, a nie człowiek znikąd.

- Proszę cię...

- Nie, dość. Powiedziałaś więcej, niż chciałam usłyszeć. - Diana ostentacyjnie wyglądała przez okno, ignorując obecność siostry.

Zapadło niezręczne milczenie. Obie czuły, jak między nimi powiększa się dystans, lecz żadna nie potrafiła temu przeciwdziałać. Wkrótce dorożka zajechała przed gospodę, a czujny portier usłużnie podbiegł, aby otworzyć damom drzwiczki.

- Nie powiedziałam panie Wood, że znowu uciekłaś - wyjaśniła Mary.

- Dotrzymałam twojej tajemnicy. Jest przekonana, że cały czas spędziłaś ze mną, i nie wyprowadzę jej z błędu.

Diana nie odpowiedziała. Wskoczyła z dorożki i weszła do gospody, jakby jej siostra nie istniała. Mary stanęła na żelaznym stopniu powozu i ze smutkiem patrzyła, jak Diana znika za drzwiami. Nagle poczuła, że John chwyta jej dłoń, aby mogła bezpiecznie zejść na ziemię. Nie miała pojęcia, jak wiele zdołał usłyszeć. Kręciło się jej w głowie z wyczerpania i nadmiaru wrażeń.

- Przykro mi, Mary - powiedział cicho, lecz nie wyjaśnił, co właściwie ma na myśli. - Bardzo mi przykro.

- Mnie również, wasza lordowska mość - odparła, przygnębiona. - Mnie również.

Następnego ranka John po raz pierwszy zasiadł w kabinie powozu księcia Aston. Jeszcze nigdy nie podróżował tak komfortowym pojazdem, który łagodnie kołysał się na nowoczesnych, skórzanych amortyzatorach. Kanapy okazały się niezrównanie miękkie, ich obicia musiały zostać wypełnione pierzem. Zamiast jednak rozkoszować się luksusem, John walczył z zakłopotaniem. Krępowało go ostentacyjne obnoszenie się z bogactwem. Zamknięty w błyszczącej niebieskiej kabinie czuł się jak maleńka, emaliowana figurka na pokaz. U jego boku siedziała panna Wood, a naprzeciwko obie siostry. Miały na sobie wyjątkowo eleganckie suknie, a na ich kapeluszach sterczały podwinięte strusie pióra. Wszyscy jechali z uroczystą wizytą do zamku księcia de Conde.

Pomimo podniosłej atmosfery siostry nie odzywały się do siebie ani słowem. Mary konsekwentnie wyglądała przez jedno okno, Diana przez drugie. John był pewien, że nadąsane damy milczą z jego powodu. Poprzedniego wieczoru słyszał, jak kłóć się w kabinie dorożki, choć nie pojął dlaczego. Ubolewał, że siostrzane relacje są dalekie od doskonałości, i miał nadzieję, iż Mary nie obarczy go za to winą. Nawet wówczas nie żałowałby tego, jak postąpił z Dianą.

Choć nie poczuwał się do odpowiedzialności, musiał ponieść konsekwencje zdarzeń z poprzedniego wieczoru. Jednym ze skutków awantury było to, że panna Wood podjęła się roli mediatora między siostrami i jednocześnie usiłowała zapełnić konwersacyjną lukę.

- Trudno uwierzyć, jak bezczelnie zachowują się francuskie pokojówki
- zwróciła się do Johna. - Choćby ta młoda istota, która dzisiaj rano dostarczyła nam tace ze śniadaniem. Otóż położyła je na stole, a następnie stanęła nieruchomo i przez dłuższą chwilę wybałuszała oczy, pochłaniając wzrokiem wszystko, co wypakowałyśmy z kufrów. Zupełnie jakby nigdy nie widziała damy ani jej bagaży.

- Może nie widziała - odparł John. - Pewnie niedawno podjęła pracę.

- Cóż, to logiczne wytłumaczenie, wasza lordowska mość - przyznała guwernantka. - Skoro jesteśmy pierwszymi angielskimi damami, które ujrzała, to pewnie dlatego gapiała się jak cielę na malowane wrota.

Zapewne chciała zapamiętać wszystko ze szczegółami, aby potem zdać sprawozdanie domownikom.

John zasępił się i ponownie zastanowił, dlaczego postanowił uczestniczyć w tej wizycie. Czemu włożył najelegantszy surdut i koronkową koszulę z Holandii, która nieznośnie drapała go w plecy i w szyję? Z jakiego powodu ustąpił, skoro nie musiał tego robić?

Dawne obawy ani na moment nie dawały mu spokoju. Mógł przecież znaleźć się w sytuacji w najlepszym razie upokarzającej. W najgorszym przypadku książę mógł tego dnia być mściwie usposobiony i wtrącić go do najbliższego więzienia. Francuzi często wzajemnie wspierali się i dość swobodnie interpretowali ideę sprawiedliwości. Angielskie sądy uznałyby go za niewinnego i uwolniły od zarzutu morderstwa, lecz zabity przez niego mężczyzna był Francuzem, a w dodatku oficerem. W takiej sytuacji sądy francuskie zapewne potraktowałyby sprawę zupełnie inaczej.

Mary wyglądała dziś wyjątkowo pięknie, jej uroczą twarz częściowo zasłaniało szerokie rondo słomkowego kapelusza, a dekolt nad uszytą wedle polskiej mody suknią w wiśniowo-białe pasy prezentował się nader apetycznie. Ciemne oczy Mary były jednak otoczone czerwonymi obwódkami, powstałymi w wyniku płaczu lub braku snu. Ożywienie, zwykle bijące z jej oblicza, tym razem było nań nieobecne. Powinna z zapałem rozprawiać na temat obrazów, które jechała obejrzeć, a nie siedzieć w ponurym milczeniu. John pomyślał, że za kilka minut zapewne dostarczy towarzyszkom podróży tematu do rozmowy na czas drogi powrotnej do domu.

Powóz zwolnił na nasypie i ostrożnie pokonał pomost nad fosą. Jasne okrągłe wieże zamku zdawały się wyrastać bezpośrednio z wody. Johnowi szybciej zabiło serce, lecz wiedział, że już za późno na to, aby się wycofać. Musiał rozegrać tę partię możliwie korzystnie dla siebie.

- Wspaniała posiadłość! - zawołała panna Wood, jedyna osoba w powozie, która miała chęć okazywać jakiegokolwiek emocje. - Mary, czy kiedykolwiek widziałaś coś podobnego?

- Nie, panno Wood - odparła Mary i umilkła, choć powinna zachwycać

się wieżyczkami, fosą i pawiami, spacerującymi na trawnikach.

- Zamek zaprojektowano i wybudowano w taki sposób, aby budził podziw i zachwyty przyjezdnych - wytłumaczył im John. Postanowił wywiązać się z roli wykształconego przewodnika i odegnać precz ponure myśli o ciemnych lochach pod zamkiem i grubych łańcuchach dla więźniów. - Dlatego droga przez las jest tak długa. Podróżni opuszczają knieję i są oszołomieni urodą konstrukcji. W gruncie rzeczy wokół zamku rosną trzy lasy: Chantilly, Halatte i Ermonville, zespolone w le Massif de Trois Forets.

Drzwi powozu nagle się otworzyły i trzech służących złożyło gościom głęboki ukłon. Lokaje mieli na sobie białe przypudrowane peruki oraz elegancką złotą liberię. Pierwsza wyszła Diana, która ostrożnie nastąpiła na mały, pozłacany podnóżek, postawiony u boku powozu. Zaraz po niej z kabiny wyłoniły się Mary i panna Wood. Gdy tylko stanęły na ziemi, lokaje uprzątnęli podnóżek, zmuszając Johna do samodzielnego zeskoku na kamienną nawierzchnię podjazdu.

Był zadowolony z tak lekceważącej postawy służby. Uznał, że jeśli w zamku będzie tak samo ignorowany, ominie go niebezpieczeństwo zdemaskowania. Niewykluczone, że szczęśliwym trafem księżę zapomniął jego nazwiska...

Podążył za paniami po schodach z białego kamienia, ścieżką wytyczoną przez dwa szeregi lokajów. Gospodarz się ich spodziewał, to pewne. John wiedział, że musi okazywać pewność siebie, bo tylko w ten sposób przekona innych, iż należy do towarzystwa wytwornych dam.

Na ich powitanie wyszedł majordom: wysoki dostojny mężczyzna, jakby żywcem przeniesiony tu z dworu króla Ludwika. Wypowiedziawszy kilka grzecznościowych formułek, wysoko postawiony służący od razu wyjaśnił, jak wygląda sytuacja.

- Jego Wysokości nie ma w domu?! - wykrzyknęła panna Wood z irytacją. - Jak to możliwe? Otrzymaliśmy zaproszenie na dziś!

Wyciągnęła list z sakiewki i podsunęła go majordomowi, który nawet nie rzucił okiem na pismo.

- Jego Wysokość zaprosił angielskie damy, aby obejrzały jego zbiory.

Sam przebywa obecnie w paryskiej rezydencji i przez pewien czas nie należy spodziewać się jego powrotu.

Służący dodał jeszcze kilka słów przeprosin z powodu nieporozumienia, a John ogarnęła nieopisana ulga. Skoro księżę de Conde opuścił zamek, to siłą rzeczy nie mógł rozpoznać twarzy ani nazwiska Johna, a już na pewno nie miał szansy powiązać go ze skandalem sprzed lat. Nie ma więc mowy o kajdanach, łańcuchach i lochach. Mary nie dowie się, co zrobił jej towarzysz, i nie dojdzie do krępującej sytuacji.

- Monsieur? - Majordom popatrzył teraz wyczekująco na Johna.

Obok stał służący, który trzymał przed sobą otwarty notes. John zorientował się, że nie usłyszał słów Francuza. Uśmiechnął się ze skruchą i pokręcił głową. Nie miał się czego obawiać. Mógł udawać fajtlapowatego Brytyjczyka, dzięki czemu nikt nie zwróci na niego uwagi.

- Najmocniej przepraszam - bąknął. - Zamyśliłem się. Jak brzmiało pytanie, jeśli taska?

- Chciałbym znać pańskie nazwisko, monsieur. - Majordom ukłonił się nieznacznie. - Jego Wysokość lubi wiedzieć, kto odwiedził jego galerie i którzy goście zaliczają się go grona jego znajomych. Pańskie nazwisko, monsieur.

John ponownie się zamyślił. Chyba nic mu nie groziło, nawet gdyby podał prawdziwe nazwisko. Majordom z pewnością go nie znał, a księżę bawił w Paryżu. Nawet gdyby któryś ze służących rozpoznał Johna, bez rozkazów pracodawcy z pewnością nic nie mógłby uczynić.

- Proszę mu powiedzieć, wasza lordowska mość - pośpieszyła go Mary. Odezwała się do niego po raz pierwszy od rana. - Potem zwiedzimy galerie i obejrzymy obrazy.

John uśmiechnął się i odwrócił do majordoma.

- Proszę zapisać: lord John Fitzgerald. Czy mam przeliterować?

- Dziękuję, wasza lordowska mość, to niekonieczne. - Służący pracowicie skrobał piórem po papierze. - Czy wasza lordowska mość jest Anglikiem?

- Urodziłem się w Irlandii, lecz mieszkam w Londynie - wyjaśnił John

spokojnie.

Zauważył, że Mary i Diana wymieniły spojrzenia typu: „A nie mówiłam?”. Zastanawiał się, co budziło ich wątpliwości: irlandzkie pochodzenie, miejsce zamieszkania czy też zupełnie co innego?

- Co takiego jaśnie państwo chcieliby zobaczyć? - spytał majordom i gościnnie rozłożył ręce. - Galerie portretów rodziny Conde, kolekcję porcelany z Chantilly czy też najpiękniejsze zabytkowe komnaty?

- Najbardziej interesują nas portrety - odezwała się panna Wood. - A także historyczne komnaty. Panny Farren najwięcej skorzystają na bliższym poznaniu tych wspaniałości.

- Doskonale, mademoiselle. - Służący ukłonił się z namaszczeniem i skinął dłonią na jednego z lokajów. - Sacquin chętnie oprowadzi jaśnie państwa...

- Nie, nie, panno Wood, za pozwoleniem! - zaprotestowała Mary. - Osobiście wołałabym obejrzeć co innego. Przybyłam do Chantilly, aby zwiedzić galerię starych włoskich obrazów.

- Stare obrazy? - zdumiał się majordom. - Proszę mi wybaczyć, ale damy niechętnie oglądają tego typu dzieła.

- Och, Mary, to chyba obrazy podobne do twojego ohydneho anioła! - Diana pokręciła głową i ciężko westchnęła.

- Panna Wood i ja zgadzamy się, że lepiej oglądać ładne obrazy niż brzydkie. Musisz iść z nami.

- Lady Farren może iść ze mną - oświadczył John. - Osobiście cenię sobie stare brzydkie obrazy. Czy znajdzie się jeszcze jeden lokaj, który wskaże nam drogę?

- Oczywiście, wasza lordowska mość, jak najbardziej. - Majordom zmarszczył brwi i dał znak innemu słudze. - Gervais zaprowadzi państwa do tej galerii, choć muszę zaznaczyć, że jego znajomość języka angielskiego jest nader ograniczona.

- Jakoś sobie poradzimy, byle tylko doprowadził nas na miejsce. - John nadstawił Mary ramię.

Popatrzyła na niego wyniośle, a on nie wiedział, jak powinien postąpić w wypadku jej odmowy.

- Nie powinnaś iść sama z lordem Fitzgeraldem - zauważyła Diana. - Skoro mnie to nie przystoi, to tobie również. Ojciec nie byłby zadowolony. Panno Wood, proszę jej to wyjaśnić i nakazać, by udała się z nami.

W tym momencie Mary kurczowo chwyciła Johna za rękę, jakby tylko on mógł ją uratować.

- Ojciec byłby w pełni zadowolony, bowiem idę do galerii malarstwa wyłącznie ze względów edukacyjnych. Ponadto pamiętaj, że lokaj spełni rolę naszej przyzwoitki.

- Czy wasza lordowska mość zechciałby otoczyć opieką lady Farren? - spytała panna Wood. - Lady Diana pójdzie ze mną, chyba że woli podziwiać obrazy włoskich mistrzów.

- Chodź z nami, Diana - zachęciła Mary, gotowa naprawić popsute relacje z siostrą. - Wspólnie obejrzymy arcydzieła dawnego malarstwa.

- Wolę iść z panną Wood. - Diana z trudem ukrywała irytację. - Dobrze wiem, kiedy nie powinnam wtrącać się w cudze sprawy.

Mary zacisnęła palce na rękę Johna.

- Doskonale, jak wolisz. Wasza lordowska mość, na nas pora.

Gervais poprowadził ich przez długi labirynt wytwornych sal i tylko nieco mniej eleganckich pokojów. Nawet posrebrzane meble, lśniące parkiety, weneckie zwierciadła i zasłony z adamaszku nie przyciągnęły uwagi Johna. Był skupiony na Mary.

- Jak to dobrze, że się do mnie odzywasz - wyznał. - Miałem wątpliwości, czy się przełamiesz.

- A ja powątpiewałam, czy się z nami wybierzesz. Wczoraj wieczorem stanowczo odmówiłaś uczestnictwa w wyjeździe do zamku.

- Dzisiaj rano postanowiłem co innego. - Podobało mu się, jak lekko i ufnie Mary dotyka palcami jego ręki.

- To dobrze. Powinnam ci podziękować za wczorajszy wieczór i jednocześnie cię przeprosić.

- To nie jest konieczne - zapewnił ją z uśmiechem. - Odnalezienie twojej siostry było dla mnie czymś naturalnym i oczywistym, niczym uratowanie tonącego kotka. Nie masz mi za co dziękować. Co do

przeprosin... Nie przypominam sobie, byś zrobiła lub powiedziała coś, co wymagałoby skruchy.

Pochyliła niżej głowę, osłaniając ją szerokim rondem kapelusza.

- Nie słyszałaś, co mówiła Diana wczoraj wieczorem w drodze powrotnej do gospody? Powinnam cię za to przepraszać do sądnego dnia.

Położył dłoń na jej palcach.

- Siedziałem zbyt daleko, aby cokolwiek usłyszeć - oznajmił prawie zgodnie z prawdą. Dobrze wiedział, że nie warto wtrącać się w prywatne spory sióstr. - Na pewno nie usłyszałem niczego, co wymagałoby przeprosin.

- Wobec tego jesteś nie tylko uprzejmy, lecz także głuchy.

- W razie potrzeby mogę być miłym niesłyszącym.

- Praktyczna umiejętność.

- Po wczorajszym wieczorze lepiej rozumiem twoją sytuację.

- Masz na myśli Dianę. Po wczorajszym wieczorze ja również lepiej ją rozumiem. To przecież moja jedyna siostra. Jesteśmy sobie najbliższe na świecie. Cóż, skoro troskę i życzliwość Diana traktuje jak podcinanie jej skrzydeł. To zaskakująca sprzeczność.

- Niezupenie, skoro ratujesz ją przed nieuchronnym upadkiem.

- Rzecz w tym, że ona nie uważa tego za upadek, lecz za formę wyzwolenia. - Mary westchnęła i niespokojnie ucisnęła rękę Johna. - Diana jest niemądra, lecz niekiedy zachowuje się zaskakująco inteligentnie i dostrzega to, czego ja nie widzę.

- Z całą pewnością nie zauważa nic ciekawego w twoim obrazie z aniołem.

- To prawda - przyznała Mary - ale nie o to mi chodziło. Ona lepiej ode mnie widzi prawdę o ludziach i ich czynach. Przykładowo, zwróciła uwagę, że nigdy nie mówisz o swoim domu ani o rodzinie. Zastanawiała się, czy przedstawiasz się własnym nazwiskiem, czy też podajesz fikcyjne informacje na swój temat.

John stał się czujny.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że lady Diana jest tak podejrzliwa.

- To nie tak - sprzeciwiła się Mary ostrożnie. - Ona jest spostrzegawcza. Parę chwil temu zawahałeś się, gdy służący spytał cię o nazwisko i kraj pochodzenia. Musiałam wówczas przyznać jej rację.

- Diana się myliła - oświadczył dobitnie. - Od chrztu nazywam się John Fitzgerald i pod tym nazwiskiem spocznę w grobie. Rzadko mówię o rodzinie, bo bliscy nie interesują się moim losem.

Zaintrygowana Mary odwróciła się ku Johnowi.

- Skoro masz rodzinę...

- Rodzina rodzinie nierówna. - Narastał w nim nieukojonny smutek i żal. - Urodziłem się jako szósty syn, a mam jeszcze dwie siostry. Nasz dom był brzydki, w dodatku obciążony długiem hipotecznym. Ojciec praktycznie wcale nami się nie interesował, był rzadkim gościem w domu. Matka często chodziła pijana. Na moich spodniach roito się od łał, a latem biegaliśmy na bosaka, aby nie niszczyć butów.

Przypominaliśmy raczej rodzinę ubogiego chłopca niż arystokraty. Nic dziwnego, że szybko rozpierzchliśmy się po świecie, który wydawał nam się bardziej gościnny od własnego domu.

Odwrócił wzrok. Nie oczekiwał współczucia, a z pewnością dostrzegłby je w oczach Mary. Udawał, że podziwia portret wytwornie ubranej księżnej de Conde, całej w szmaragdowych jedwabiach.

- Nic dziwnego... - powtórzyła Mary jak echo. Na szczęście nie usłyszał w jej głosie ubolewania. Mówiła spokojnie, jakby rozmawiali o cenie jajek na targowisku. - Czy jesteś dumny z życia, które sam sobie ułożyłeś?

- Nie żałuję niczego, co zrobiłem - wyznał szczerze. Pomyślał, że zawsze czynił to, co konieczne. Nadal trzymał się tej zasady; w przeciwnym razie nie byłby teraz razem z Mary.

- Nosisz przy sobie pistolet...

Przez ułamek sekundy sądził, że Mary dowiedziała się o pojedynku. Dopiero po chwili pojął, iż chodzi o dramatyczne zdarzenia z katedry.

- Gdybym go nie miał, straciłbym życie i nie zdołałbym obronić cię w Amiens.

- To prawda - przyznała. - Zatem jesteś... szczęśliwy? Bez rodziny, bez

domu?

- Nie narzekam.

Nie zamierzał rozpamiętywać lat dzieciństwa, których nie mógł zmienić. Wolał skupić uwagę na teraźniejszości. Stał się samodzielnym człowiekiem, i to go satysfakcjonowało. Nie spodziewał się tego, co w następnym momencie usłyszał od Mary.

- Moja matka była taka jak ty - oznajmiła. - Zmarła, gdy byłem mała, ale nadal pamiętam jej opowieści. Wychowała się jako sierota, pod opieką służby i opiekuna, którego prawie nie widywała. Zawsze jednak wierzyła, że pewnego dnia założy szczęśliwą kochającą rodzinę.

- Czy ta opowiadka ma mną wstrząsnąć, czy poprawić mi humor? - spytał, nie kryjąc ironii.

Mary nie poczuła się urażona.

- Chcę tylko, abys wiedział, że w życiu warto dążyć do odnalezienia własnej duszy. Miłość i szczęście pojawią się wówczas same.

Optymizm Mary nie przekonał Johna. W jego świecie wszystko sprowadzało się do gry pozorów i zabiegania o niewielkie pieniądze.

- Oto przepis na życie, opracowany przez prostą dziewczynę z prowincji - podsumował zgryźliwie.

- Chyba tak - zgodziła się łagodnie. - Wypróbuj go sam. Musnął, wargami grzbiet jej dłoni.

- A jeśli tego nie zrobię?

Nie miał pewności, czy się uśmiechnęła.

- Wówczas cię zrozumiem - odparła. - Ty podobno już mnie rozumiałeś.

- Monsieur, madame, *s'il-vous-plait*. - Gervais ponownie się uklonił i otworzył podwójne drzwi do następnego pomieszczenia. - *Voyez. Les primitifs d'Italien*.

Pokój okazał się mniejszy niż te, które wcześniej mijali. Znajdował się w nim jeden szereg okien bez zasłon, umiejscowionych wysoko, aby wnętrze było jasno oświetlone. Na ścianach wisiał czerwony adamaszek, na posadzce brakowało dywanu, pośrodku stały dwie ławy z miękkimi poduszkami. Najważniejszym elementem pomieszczenia były, rzecz

jasna, obrazy.

Znajdowała się ich tam zaledwie garstka, lecz każdy wyglądał jak bezcenny klejnot na czerwonym tle. Oprawiono je w grube ramy, które połyskiwały pozłotą, zgodnie z obowiązującymi trzysta lat wcześniej kanonami. W galerii wystawiono obrazy, przedstawiające dostojnych świętych i Matkę Boską o surowej minie. W zbiorze wyraźnie brakowało pogańskiej frywolności rozbrykanych satyrów i apetycznych bogiń. Mimo to każdy obraz charakteryzował się taką siłą wyrazu i pasją, że trudno było oderwać odeń wzrok.

- John, popatrz tutaj! - wyszeptała Mary ze szczerym podziwem, gdy przystanęła przed największym dziełem. - Wygląda jak bliźniaczy brat mojego anioła!

- W rzeczy samej - przyznał John.

Oboje zapatrzyli się w arcydzieło złożone z trzech elementów. W środkowej, największej jego części widniała Matka Boska. Na skrzydłach namalowano mniejsze postacie świętego Jana i świętego Marka. Ponad głowami uwiecznionych sylwetek krążyły anioły. Drewniane podobrazia były zwieńczone strzelistymi, gotyckimi łukami i połączone zawiasami, tworzącymi tryptyk. Dzięki takiemu rozwiązaniu obrazy mogły stać lub wisieć na ścianie, niczym wielobarwne skrzydła anioła.

- John, popatrz szybko na tę twarz! - Zafascynowana Mary zatoczyła palcem kwadrat w powietrzu, tuż przed namalowaną głową jednego z aniołów. - Zupełnie jak na moim obrazie. Artysta uchwycił oblicze pod tym samym kątem, podobnie wygląda garbek na nosie, loki, wykropkowana aureola. Wszystko jak u mojego anioła stróża!

- Tutaj widnieje nazwisko artysty - zauważył John i pochylił się nad małą namalowaną tabliczką na spodzie ramy.

- Fra Pacifico. Nie znam tego malarza.

- Ja też nie - powiedziała zamyślona Mary. - Dowiem się o nim więcej, gdy dotrę do Włoch. Minęło jednak tyle czasu, że te dwa obrazy, mój i ten tutaj, mogą być jedynymi zachowanymi śladami twórczości tego starego mistrza.

- Śmiem twierdzić, że twoja tempera również stanowiła część

tryptyku - oświadczył John. - Pozostałe elementy oddzielono i oprawiono w osobne ramy, aby sprzedać różnym kolekcjonerom.

- Dlaczego ktoś miałby to uczynić? - zdumiała się Mary.

- Jak można niszczyć tak piękny obraz?

- Dla zysku, moja droga. To przecież oczywiste.

John zerknął przez ramię na służącego. Gervais stał przy drzwiach, a jego głowa coraz bardziej opadała, całkiem jakby walczył z sennością. Nawet jeśli cokolwiek rozumiał z ich rozmowy, z pewnością nie był dostatecznie przytomny, aby zapamiętać jej treść. John ponownie skierował wzrok na obraz, próbując odkodować zaszyfrowaną przez autora informację.

- Zupełnie jak układanka, prawda? - zagadnął Mary. - Dysponujemy jednym elementem, twoim aniołem, a teraz musimy odnaleźć w tym obrazie wskazówki, mogące podpowiedzieć nam, jak wygląda reszta dzieła.

Ochoczo pokiwała głową.

- Jeden obraz mógł być kopią drugiego, a to oznacza, że zapewne wyglądają tak samo. Sądzę, że artysta wykorzystał tę samą kompozycję i ustawienie postaci, aby namalować kolejne dzieło. Skoro udało mu się usatysfakcjonować jednego klienta, to następny również powinien być zadowolony, prawda?

- Taką zasadą kierują się londyńscy artyści - przyznał John. - Trudno zliczyć damy, których twarze posłużyły do namalowania wizerunków pięknych królowych.

- Otóż to. - W oczach Mary pojawił się błysk. - Spójrz na te małe postaci, kobietę i mężczyznę w kosztownych strojach, z drogą biżuterią. To zapewne oni zapłacili za obraz. Święci Marek i Jan musieli być ich patronami. Fundatorzy ołtarza czerpali satysfakcję nie tylko z zaskarżenia sobie przychylności niebios, lecz także z faktu, że parafianie podziwiali ich klejnoty i jedwabie przy okazji każdej modlitwy. Ktoś sprytnie zadbał o swoje doczesne i pośmiertne interesy.

John się roześmiał. Przebywanie w towarzystwie Mary sprawiało mu coraz większą przyjemność. Nigdy dotąd nie znał kobiety, która z tak

naturalną swobodą demonstrowała głęboką inteligencję.

Mary uśmiechnęła się szeroko, zadowolona z jego reakcji.

- To ma sens - zauważyła. - Jeśli założymy, że mój anioł został wycięty z podobnego ołtarza, to należy wnioskować, iż jedyną zasadniczą różnicę stanowiły wizerunki klęczących w rogu fundatorów. Gdybyśmy ich zidentyfikowali, wiedzielibyśmy, dlaczego komuś tak dramatycznie zależy na moim fragmencie dzieła.

- Ktoś pożąda twojego obrazu do tego stopnia, że jest gotów zabić, aby go zdobyć. - John ponownie pochylił się nad arcydziełem. - Szkoda, że uwiecznione postaci nie noszą na piersi plakietek z nazwiskami.

- Mamy za to adres fundatorów. - Mary wskazała miejski krajobraz za klęczącymi osobami. - Jeszcze nie zawitałam do Florencji, choć mam taki zamiar, lecz oglądałam ryciny. Ta kanciasta wieża, o tutaj, wyraźnie wyższa od pozostałych budowli, wygląda jak dzwonnica na florenckiej katedrze. Kampanila, prawda?

- Zgadza się - potwierdził zaskoczony John. - A ten niedokończony budynek obok to z pewnością powstająca kopia katedry.

- Duomo - dodała z dumą. - Zaprojektowana przez piętnastowiecznego architekta o nazwisku Brunelleschi. Jak widzisz, przygotowałam się do wyprawy.

- W rzeczy samej - przyznał. - Bystra z ciebie dziewczyna.

- A jakże - zgodziła się bez fałszywej skromności. - Jestem prawie całkowicie pewna, że mój obraz wyszedł spod pędzla Fra Pacifica we Florencji, i niegdyś stanowił część większej całości. Chciałabym wiedzieć, kto zamówił moją temperę i kto pociął ją na fragmenty!

- Jeszcze nie omówiliśmy wszystkiego.

John ponownie zerknął na służącego, który zdążył zapaść w głęboki sen. Korzystając ze sposobności, John delikatnie złożył jedno ze skrzydeł tryptyku, aby obejrzeć jego ukrytą stronę. Z tyłu deski widniał obraz namalowany mniej wprawna ręką ucznia: krajobraz ze wsią na zboczu wzgórza i krętą drogą, wysadzaną sosnami o rozłożystych koronach. Uroczy, lecz banalny landszaft. John ostrożnie ustawił eksponat w pierwotnej pozycji.

- Na odwrocie twojej tempery nic nie jest namalowane, prawda? - spytał.

Pokręciła głową.

- Znajduje się tam jednolicie zielona warstwa farby i jakieś absurdalne bazgroły.

- Może wcale nie są takie absurdalne - zamyślił się John. - Skoro domyślamy się, której części dzieła brakuje, to może uda się nam rozszyfrować zapiski.

- Być może - zgodziła się. - Gdy tylko wrócimy do gospody, przyniosę do ciebie obraz, a potem wspólnie przestudiujemy dzieło.

Johnowi ogromnie przypadła do gustu perspektywa wizyty Mary w jego pokoju. Wspólnie z nią mógł przeprowadzić wiele rozmaitych badań, nie tylko związanych ze sztuką. Póki co przyłożył palec do ust.

- To musi być nasza tajemnica, Mary - wyszeptał. - Nie mów o tym nikomu, ja też dochowam sekretu. Pamiętaj: Diana i panna Wood również nie mogą o niczym wiedzieć.

- Z obrazem łączy się tak ogromnie niebezpieczeństwo, że nie miałabym sumienia wciągać w tę sprawę Dianę i naszej guwernantki.

- Doskonale. - Nie spodziewał się takiego zakończenia, lecz był nim usatysfakcjonowany. - Do czasu ustalenia wszystkich faktów musimy zachować milczenie w sprawie obrazu.

- Oczywiście - przytaknęła i klasnęła w dłonie. Nagle zrozumiała, że nawet perspektywa niebezpieczeństwa ją ekscytuje. - John, nie masz pojęcia, jak cudownie się czuję. Pragnęłam przygody, i oto ona!

Zanim John uświadomił sobie, co się dzieje, Mary zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała go niezbyt finezyjnie, ale z ogromnym zapątem. Nie miał nic przeciwko temu, zwłaszcza że finezji można się nauczyć. Szybko objął Mary w talii i przyciągnął do siebie. Nie przypuszczał, że urocza młoda dama może się tak rozentuzjzmować pod wpływem piętnastowiecznego włoskiego tryptyku. Skoro jednak była żądna przygód, to należało jej wyjść naprzeciw.

Nagle rozległ się donośny łoskot. Przestraszona Mary drgnęła i odsunęła się od Johna.

- Wielkie nieba! - zawołała i pobiegła do drzwi. Śpiący lokaj upadł na podłogę, przy okazji przewracając mały stolik i porcelanowy wazon. Mary pochyliła się nad skonfundowanym służącym, który bezradnie leżał wśród sterty pogruchotanej ceramiki.

- Wszystko w porządku? Może sprowadzę pomoc? Litości, jak to się mówi po francusku? *Comment-allez vous?*

- *Bien* - wymamrotał nieszczęśnik, nieporadnie próbując wstać z posadzki. - *Tres bien, merci.*

- Miło mi to słyszeć. - Mary odetchnęła i podała służącemu rękę, aby pomóc mu się podnieść. - John, pomóż mi. Ten człowiek jest cięższy, niż zakładałam.

John chwycił oszołomionego lokaja pod pachy i postawił go na nogi. Następnie poprawił mu przekrzywioną perukę i poklepał go po ramieniu. Biedaczysko zasnął w niesłychanie dogodnym momencie i w ten sposób ogromnie pomógł gościom, więc przynajmniej mogli się o niego zatroszczyć. Mary uśmiechnęła się pogodnie, wyraźnie rozbawiona całym zajściem.

- Powiem majordomowi, że sama przewróciłam stolik i stłukłam wazon. Dzięki temu uchronię biednego służącego przed bezrobociem - zdecydowała wesoło. - Majordom bez trudu uwierzy, że angielska dama jest niezdarna.

- Tym gorzej dla niego.

- Jeśli o mnie chodzi, może wierzyć nawet w to, że mam skrzydła i dla rozrywki fruwać z aniołami. - Mary wzięła Johna za rękę. - Chodźmy, im szybciej wrócimy do gospody, tym wcześniej rozwiążemy zagadkę mojego obrazu.

- Zagadka obrazu... - John ściszył głos. - Mary, ta zagadka to dopiero początek wielkiej przygody.

W drodze powrotnej do gospody, Mary siedziała u boku siostry. Powóz kołysał się lekko na gładkiej drodze księcia de Conde, powoli zapadał ciepły wieczór. Zmęczone Diana i panna Wood zasnęły. Guwernantka cicho pochrapywała z odchyloną głową i na wpół otwartymi ustami.

Mary i John nie spali. On nasunął kapelusz na czoło i udawał, że drzemie, lecz Mary wyczuwała na sobie jego wzrok. Odnosiła wrażenie, że są zupełnie sami, choć w każdej chwili jej siostra lub opiekunka mogły się obudzić. Jeszcze nigdy nie znalazła się w tak niezwykłej sytuacji.

Ogarnęła ją niecodzienna śmiałość. Coraz odważniej spoglądała na eleganckiego dżentelmena, a w głowie szumiało jej musujące wino, którym majordom poczęstował gości na pożegnanie. Mary jeszcze raz rzuciła okiem na pannę Wood i cicho cmoknęła, patrząc na Johna.

W jednej chwili uniósł głowę i uśmiechnął się powoli, leniwie, lecz tak wymownie, że na policzkach Mary wykwitł rumieniec. Zauważywszy jej zakłopotanie, John zrobił perskie oko.

Mary również się uśmiechnęła i mrugnęła okiem. Czuła, że powinna zrobić coś więcej, choć z braku doświadczenia nie bardzo wiedziała, jak należało postąpić. Zerknęła na siostrę i zastanowiła się, jak postąpiłaby Diana. Pokrzepiona musującym winem, Mary była gotowa na znacznie więcej, niż nakazywałaby przyzwoitość. Poruszyła się na kanapie i nieznacznie przesunęła. W tym samym momencie na jej zielony pantofelek z rozetką padło światło zewnętrznej latarni powozu.

Skojarzyła sobie, że takie obuwie bardzo łatwo zsunąć bez pomocy rąk. Niewiele myśląc, rzuciła prawy but i poruszyła palcami stopy, ukrytej w żółtej pończosze. Przesunęła się jeszcze bardziej.

Uśmiech Johna momentalnie stał się bardziej uwodzicielski. Przesunął nogą po jej stopie, zmieniając dotknięcie w pieśczołę. Jedwabne, cienkie pończochy nie chroniły Mary przed szorstką tkaniną spodni, pod którymi ukrywała się muskularna łydka. Wstrzymała oddech. Pomyślała, że to, co nie uchodzi w Anglii, we Francji jest jak najbardziej dopuszczalne. Zachęcona, powoli pogłaskała umięśnioną nogę Johna czubkami palców stopy.

- „Montmorency”, jaśnie wielmożni państwo! - wykrzyknął donośnie woźnica.

W tym momencie panna Wood się obudziła.

- Rety, musiałam się zdrzemnąć - wymamrotała sennie. - Już dojechalśmy do gospody? Wasza lordowska mość, proszę mi wybaczyć

tę raptowną pobudkę.

- Och i tak miałem wstać. - John przeciągnął się i ziewnął szeroko, jakby spał co najmniej przez tydzień. - Nic się nie stało, panno Wood.

Tymczasem coraz bardziej przerażona Mary na próżno usiłowała wymacać stopą pantofelek, który się przewrócił i przesunął w trakcie jazdy. Drzwi do powozu się otworzyły, a służący wyciągnął rękę najpierw do Diany, a potem do guwernantki, aby pomóc im zeskoczyć na ziemię. Na koniec podał dłoń Mary, która siedziała nieruchomo i zastanawiała się, co będzie dalej. Bez buta nie mogła opuścić pojazdu ani przejść do gospody.

- Mary? - W drzwiach pojawiła się głowa panny Wood. - Moja panno, czyżbyś się pochorowała? Czy każesz temu biednemu człowiekowi czekać aż do świtu?

- Panno Wood, lady Farren miewa się doskonale - odezwał się John nieproszony i podniósł zagubiony pantofelek, który z namaszczeniem wręczył właścicielce. - Po prostu spadł jej bucik, i tyle.

Guwernantka podejrzliwie popatrzyła najpierw na Johna, potem na podopieczną, a na końcu na but w jego dłoni. Zakłopotana Mary pośpiesznie chwyciła zgubę i nasunęła ją na nogę. Z wysoko uniesioną głową, lecz zarumienionymi policzkami - ostatnio rumieniła się tak często, że równie dobrze mogłaby pomalować policzki na czerwono - samodzielnie opuściła powóz i pomaszerowała do gospody.

- Nie zapomnij przynieść obrazu - wyszeptał John, dogoniwszy ją w holu.

Pochyliła głowę i z uśmiechem uświadomiła sobie, że nie może doczekać się spotkania. Uniósła suknię i wbiegła po schodach. Wiedziała, że im szybciej wydobędzie obraz z kryjówki, tym prędzej spotka się z Johnem.

Diana stała już przed drzwiami pokoju. W jednej ręce trzymała świecę, a w drugiej sakiewkę z kluczem.

- Masz minę jak kot, który zlizął śmietankę - oświadczyła. - Przyjemnie było?

- Daj mi to. - Mary odebrała siostrze świecę, aby ułatwić jej

poszukiwania. - Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

- Czyżby? - Diana zmrużyła oczy. - Moim zdaniem, dobrze wiesz, w czym rzecz. Bywam równie dociekliwa jak ty. A gdy się tak zastanawiam...

- Co widziałaś? - spytała Mary gwałtownie. Wiedziała, że lada moment zjawi się panna Wood. - Sądziłam, że śpisz.

- Spałam - przyznała Diana. Wsunęła klucz do zamka i po chwili otworzyła drzwi. - A teraz żałuję. Nie powinnam była spuszczać cię z oczu... Och, Mary, nie...

Wbiegła do pokoju, a Mary uniosła świecę. Pokój wyglądał tak, jakby przeszło przez niego tornado. Ktoś zerwał pościel z łóżek, opróżnił kufry, porzucił przedmioty po podłodze. Intruz wyrzucił nawet kłębek wełny z koszyka panny Wood. Nie dało się określić, czy coś zostało ukradzione.

- Kto mógł zrobić coś takiego?! - wykrzyknęła ze złością Diana. - I dlaczego?

Mary doskonale wiedziała, dlaczego komuś tak bardzo zależało na przeszukaniu pokoju pod ich nieobecność. Ze świecą w dłoni i ze ściśniętym żołądkiem pobiegła do pomieszczenia, w którym tego ranka ukryła obraz.

Rozdział dziewiąty

Po miłym dniu na zamku i powrocie do gospody John wziął udział w wyjątkowo przykrej scenie.

Mary, Diana i panna Wood tłoczyły się w pokoju właściciela gospody. Wszyscy zostali zaproszeni w charakterze świadków wymierzania kary złodziejowi. Chociaż zarówno siostry, jak i guwernantka potrafiły zachować zimną krew w takich sytuacjach, każda z nich czuła się wyjątkowo niekomfortowo. Mary kurczowo tuliła do piersi obraz z aniołem, owinięty w płótno. Tylko John wiedział, dlaczego tak starannie pilnowała dzieła. Przysięgła mu, że dochowa tajemnicę, i był pewien, że dotrzyma słowa, ale tym bardziej dbała teraz o bezpieczeństwo tempery.

Gospodarz miał twarz fioletową z wściekłości i nerwowo potrząsał trzcinką.

- Przyjąłem cię do pracy i obdarzyłem zaufaniem. Zajmowałeś się moimi gośćmi, bo ci uwierzyłem. Tak mi się odwdzięczasz? W taki sposób odpłacasz mi za dobroć?

Służąca stała przed nim, z dłońmi przyciśniętymi na płask do blatu biurka, tak jak rozkazał. John rozpoznał pokojówkę, która przynosiła tace do pokoiów i zapewne zabierała je z powrotem pod jego nieobecność. To o niej panna Wood mówiła, że stoi i gapi się jak cielę na malowane wrota. Służąca nie była ładna, brakowało jej też uroku osobistego, a w dodatku nie wydawała się szczególnie pracowita. Teraz okazała się nieuczciwa. Mimo to po czerwonej, zapuchniętej twarzy dziewczyny spływały łzy. John mógł jej wyłącznie współczuć.

- Miejże litość, panie gospodarzu, miejże nade mną litość! - zawodziła po francusku. - Słaba byłam, dałam się zwieść! Nie chciałam zgrzeszyć!

- Skoro nie zamierzałaś grzeszyć, to dlaczego tak postąpiłaś? - Trzcinka ze świstem spadła na palce służącej. - Nie chciałaś, ale okradłaś damy z Anglii.

Służąca zawyła z bólu, lecz nie cofnęła rąk.

- Klnę się na Boga, robiłam tylko to, co mi kazał ten dżentelmen...

Dżentelmen? John momentalnie się zainteresował. Cóż to za dżentelmen, który nakłania służącą do przeszukania pokoju gości w gospodzie? Chyba że tajemniczego jegomościa interesował tylko jeden przedmiot, lecz jakże cenny...

- Berthe, mów zaraz, o kogo ci chodzi! - Żona gospodarza z wściekłością pochyliła się ku dziewczynie. - Kto kazał ci kraść?

- On... powiedział, że mam wziąć to, co najwięcej warte, madame! - krzyknęła dziewczyna. Jej palce poczerwieniały od razów. - Nie powiedział ani słowa więcej!

Miała zabrać przedmiot o najwyższej wartości. Skąd służąca mogła wiedzieć, że chodzi o obraz? Jaki łotr nakłonił pokojówkę do tak podłego czynu, nie ponosząc przy tym praktycznie żadnego ryzyka?

- Łzesz, Berthe! - Kobieta uderzyła służącą w twarz z taką siłą, że biały czepek nieszczęsnej służącej zsunął się na bok głowy. - Taka z ciebie durna chłopka, że wolisz słuchać obcych, a nie nas? Groził ci? Miałś dostać pieniądze? To twój kochanek? Mów!

- To obcy, madame... Zaczepił mnie przy ladzie... - Na twarzy Berthe widniał czerwony odcisk dłoni gospodyni.

- Obiecał zapłatę... jeśli zrobię, co kazał, madame...

- Monsieur, proszę ją puścić - wtrącił się John. - To jasne, że dziewczyną ktoś kierował. Sama by tego nie zrobiła.

Gospodarz ponownie uniósł trzcinkę.

- Jaśnie pan zechce się nie wtrącać - odpowiedział. - Dobrze wiem, czego trzeba, aby pod moim dachem nikt nie kradł!

- Niechże jaśnie pan spojrzy, jaka jest cena zdrady! - Gospodyni dramatycznym gestem rzuciła na stół zawiniątko. Z chustki wysypały się kolczyki i bransoletki. - Warto było, Berthe? Za te błyskotki sprzedałaś wierność i lojalność?

Mary nieoczekiwanie podeszła do stołu.

- Madame - przemówiła wzburzona - ta biżuteria to tanie świecidełka. Zaklinam panią, niech pani puści dziewczynę!

- To prawda, monsieur - dodał John. - Odebraliśmy jej łup, nie ma co

dłużej się nad nią znęcać. Niech idzie swoją drogą.

- Co takiego? Miałbym puścić zdzirę, żeby dalej kradła? Gospodarz ponownie zamachnął się trzcinką, lecz tym razem John chwycił go za nadgarstek i przytrzymał.

- Ile pan chce za jej wolność? - wycedził. W jego głosie pobrzmiwała niedopowiedziana groźba.

Gospodarz sapnął z irytacją.

- Jaśnie panie, chodzi o zasadę! Jeśli inni szlachetnie urodzeni goście usłyszą, że świadomie utrzymuję złodziejkę...

- Pięć luidorów - oświadczyła gospodyni rzeczowo. - Ale jeśli ta suka cokolwiek komuś opowie, osobiście stłukę ją na kwaśne jabłko.

- Niech będzie pięć - zgodził się John i popatrzył na dziewczynę, rozdygotaną ze strachu i z bólu. - Zabierz swoje rzeczy i znikaj, zanim madame spełni groźbę!

Pokojówka dźwignęła się niezgrabnie i nerwowo dygnęła przed Johnem, zanim chwiejnym krokiem wyszła z pokoju. John dopiero wtedy puścił rękę właściciela gospody.

- Marny interes to był dla jaśnie pana - ocenił gospodarz i z kwaśną miną przystąpił do masowania nadgarstka.

- Któregoś dnia znajdą nas w łózkach z poderżniętymi gardłami. Wtedy odpowiedzialność spadnie na jaśnie pana.

- Bez przesady - uciął rozmowę John i odwrócił się do dam. - Odprowadzę panie do pokojów.

- Proszę przygotować rachunek, panie gospodarzu - poleciła Mary i zgarnęła biżuterię z powrotem do chustki, którą włożyła do kieszeni. - Nie zamierzam zostawać w pańskiej gospodzie ani minuty dłużej niż to konieczne - dodała stanowczo.

- Ależ ty jesteś odważna. - Diana nie kryła podziwu dla siostry, gdy wchodzili po schodach. - A gdyby gospodarz wzniosł trzcinkę na ciebie?

- Nie ośmieliłby się - odparła Mary.

Johnowi przeszło przez myśl, że wystąpiła w obronie pokojówki z poczucia winy, podobnie jak on: kradzież z pewnością miała związek z obrazem.

- Zaczekaj na mnie, wrócę za kilka minut - zapowiedział.

Informacja o wyrzuceniu Berthe z pracy, a także o przyczynach jej zwolnienia, błyskawicznie dotarła do całej służby w gospodzie, więc John bez trudu dowiedział się, gdzie szukać nieszczęsnej pokojówki. Przycupnęła na ławce przed stajnią i w samotności czekała na brata. Na kolanach trzymała niewielki tobołek z rzeczami osobistymi. Na widok Johna trwożliwie odwróciła wzrok

- Nie chcę kłopotów, jaśnie panie - wymamrotała chłopską francuszczyzną, chowając twarz za koronką prostego czepka. - Madame zakazała mówić.

- Ja również nie chcę kłopotów, Berthe.

W świetle latarni za plecami dziewczyny John ujrzał liczne siniaki na jej dłoniach i twarzy. Machinalnie sięgnął do kieszeni, wyciągnął monetę i rzucił ją byłej służącej na kolana. Nerwowo wciągnęła powietrze i zrzuciła pieniądze na ziemię, jakby ją parzył.

- Nie jestem dziewczką na sprzedaż, jaśnie panie!

- Nie chcę cię kupić, Berthe. Muszę wiedzieć więcej o mężczyźnie, który skłonił cię do kradzieży.

Wpatrywała się w niego, jakby próbując oszacować, czy warto mu wierzyć.

- Będę ci wdzięczny za każdą informację - dodał łagodnie. - Chcę, aby kara spotkała prawdziwego łotra, nie ciebie. Młode damy też by tego pragnęły.

Służąca westchnęła, podniosła monetę i skrzętnie wsunęła ją do tobołka.

- Łotr z niego, a jakże - przyznała. - Przystojny, ale zły. Groził, że stracę posadę, jeśli odmówię. Nie odmówiłam, a i tak trafiłam na bruk.

- Wyjawiał ci, jak się nazywa? Pokręciła głową.

- Wiedział, że powiem, jeśli mi się przedstawi. Przyjechał z Paryża, to pewne, i mówił jak dżentelmen. Wysoki był, blady, z czarnymi włosami i oczami.

John pomyślał, że tak wygląda przeciętny paryżanin. - Nie wyjaśnił ci, czego powinnaś szukać w pokoju dam?

- Powiedział, że nie może, bo to sekret.

Z pewnością chodziło o obraz, uznał John.

- Zatem zabrałaś biżuterię. Dziewczyna zwiesiła ramiona.

- Myślałam, że robię co należy, jaśnie panie. Zabrałam czerwone klejnoty z literami. Miało być wszystko z literą F, tak kazał.

- Berthe, czy znasz litery na tyle dobrze, aby odróżnić F od pozostałych? - John zakładał, że prosta wiejska dziewczyna jest niepiśmienna.

- Pokazał mi literę, narysował ją, żebym zapamiętała. Berthe nabazgrała palcem na piasku skomplikowane „F” z imponującym zawijaszem.

Z pewnością chodziło o inicjał nazwiska Farren. Litera znajdowała się na skradzionym wisiorku. John uświadomił sobie, że jego nazwisko, Fitzgerald, również zaczyna się na tę literę, choć śladów po nim próżno by szukać wśród przedmiotów Mary.

- Czy wyjaśnił, co oznacza F? Może to pierwsza litera nazwiska? - drążył.

- Powiedział, jaśnie panie, ale nie pamiętam dokładnie co. - Berthe ważyła słowa. - Szybko mówił, to jak miałam zapamiętać? Coś z cudzoziemska. Nie takie jak jaśnie pana i nie takie jak u dam, ale nie francuskie.

Ani angielskie, ani francuskie. John opuścił wzrok na skomplikowaną literę autorstwa Berthe. Pomogła mu bardziej, niż oczekiwał i nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Sięgnął do kieszeni po jeszcze dwie monety

- Dziękuję - powiedział. - Niech cię Bóg prowadzi. Drzwi do pokoju dam otworzyła panna Wood. Za jej plecami krzątała się Deborah, prywatna pokojówka sióstr, a także jeszcze dwie inne służące, zatrudnione w gospodzie. Wszystkie razem porządkowały przedmioty porzucane przez Berthe. Diana im pomagała, ale bez entuzjazmu.

- Chciałbym na chwilę porwać lady Farren - oświadczył John. - W kolekcji księcia de Conde zauważyliśmy dzieło podobne do jej obrazu i umówiliśmy się, że po kolacji porozmawiamy na temat cech wspólnych

obu prac.

Panna Wood popatrzyła na niego zmęczonym wzrokiem.

- Tylko na chwilę, wasza lordowska mość - zgodziła się. - Proszę nie przetrzymywać Mary do późna. Rano wyjeżdżamy, musimy jeszcze poczynić przygotowania.

Diana prychnęła i podeszła do drzwi.

- To nie jest w porządku, panno Wood, ani trochę! Mary może iść z lordem Fitzgeraldem, a ja...

- Mary nie jest tobą, moja panno! - zagrzmiała guwernantka i odciągnęła Dianę od progu, aby przepuścić jej siostrę. - A lord Fitzgerald w niczym nie przypomina mężczyzn z grona twoich znajomych. Teraz proszę za mną, nie będziemy przeszkadzali Mary w dyskusjach o malarstwie.

- Cieszę się, że tu jesteś - odezwała się Mary do Johna, gdy z obrazem w rękach wymknęła się przez drzwi. - Dokąd pójdziemy?

Ruchem głowy wskazał drzwi w głębi korytarza.

- Mój pokój jest wolny.

- Twój pokój? Miałabym iść tam sama? Nie powinnam. Taka niestosowna propozycja jest oznaką złych manier. - Wieczorem zrobiło się chłodno, więc miała na sobie gruby, ciemny szal. - Po tej ohydnej scenie z gospodarzem i jego żoną chyba jednak zasłużyliśmy na krzywą nieprzyzwoitości.

- Och, nawet panna Wood nie protestowała. - Z poważną miną pogłaskał Mary po policzku. - Poza tym rozmawiałem z pokojówką i wolę nie powtarzać jej słów w miejscu, w którym ktoś może nas podsłuchać.

John ze zdumieniem zorientował się, że Mary poszła przodem prosto do jego pokoju. Przez wzgląd na nią cieszył się, że nie napotkali innych gości. Nawet we Francji należało zwracać uwagę na reputację.

Gdy John zamknął za sobą drzwi, Mary ustawiła obraz na fotelu i stanęła obok, z jedną ręką troskliwie opartą na ramie arcydzieła. Światło ognia w kominku tańczyło niespokojnie na wizerunku anioła i ożywiało go w niezwykły sposób.

- Masz na coś ochotę? - spytał. - Na herbatę, wino albo...

- Biedaczka szukała tego obrazu - zauważyła jednocześnie ze smutkiem i gniewem. - Ten mężczyzna, niegodziwiec, nie powiedział jej, czego szukać i znikł, nie troszcząc się o los nieszczęsnej służącej. Dostała cięgi za świecidełka i mosiądz!

- Pewnie sam nie wiedział, co chce znaleźć. - John kucnął przed obrazem. - Kazał dziewczynie znaleźć coś wartościowego, na czym widnieje E Specjalnie jej pokazał, jak wygląda ta litera! Czy nadal masz ze sobą wisiołek?

Sięgnęła do kieszeni po naszyjnik, który wręczyła Johnowi. Rozłożył go na dłoni i przysunął do ognia. Mary nie myliła się w sprawie wartości srebrno-mosiężnej ozdoby, lecz nie to interesowało Janna. Jego uwagę przyciągnął środkowy element naszyjnika, wykonany w kształcie serca i ozdobiony skomplikowanym F.

- Berthe wzięła biżuterię wyłącznie z powodu tej litery - zauważył John. - Tego szukała. Gdy natrafiła na naszyjnik, uznała go za niebywale cenny. Bez wątpienia dostrzegła w nim nieistniejące rubiny i brylanty.

Mary poprawiła szal na ramionach i przycupnęła obok.

- Jeśli na obrazie znajdziemy podobne F, to będzie znaczyło, że mężczyzna szukał mojego anioła - oświadczyła.

- Myślę, że na coś natrafimy. - John odwrócił deskę i pochylił się nad zagadkowymi znakami, lecz Mary ponownie postawiła temperę frontem do pokoju.

- A ja mam pewność, że na coś natrafimy, bo już to wcześniej odkryłam. - Przyłożyła palec do aureoli anioła. Na szerokim, pozłocanym kręgu widniał misterny wzór z powtarzającą się literą E - Jest tego więcej na obrzeżu szaty.

- Kiedy to zauważyłaś? - spytał z niedowierzaniem. - Wzór jest ledwie widoczny, litery wyglądają jak element dekoracyjny. Dopiero wtedy, gdy ktoś ich szuka, stają się wyraźne.

Mary uśmiechnęła się szeroko.

- Od razu zwróciłam na nie uwagę, jeszcze w antykwariacie monsieur Dumonta. Uznałam, że odnoszą się do nazwiska Farren, i między innymi

dlatego kupiłam obraz. Powiedziałam ci, że to mój anioł stróż.

- Obawiam się, że otaczał opieką kogoś innego, zanim wziął ciebie pod swe skrzydła. - John na powrót odwrócił obraz. - Śmiem twierdzić, że wtedy również marnie sobie radził.

- Masz na myśli inną rodzinę, której nazwisko rozpoczyna się od litery F - oznajmiła domyślnie. - Wiemy, że tamta familia pochodzi z Florencji. To jasne, że jej członkowie zatrudnili Fra Pacifica do namalowania tempery i zapewne reszty tryptyku. Nie ulega też wątpliwości, że mówimy o ludziach bogatych.

- Moja droga, pamiętaj, że nie wiemy tego na pewno - przypomniał jej John. - To tylko domysły.

Miał jednak świadomość, że diagnoza ta jest zaskakująco trafna. Przenikliwość Mary kazała mu sądzić, że i ona nie wątpi w celność własnych spostrzeżeń. Inicjał musiał pochodzić od nazwiska niestawnej rodziny Feroceuszy. Wszystko sugerowało ten trop: malarz, miasto, czas powstania obrazu.

Każdy rzetelny przewodnik z Florencji potrafiłby opowiedzieć historię tego rodu. Feroceusze byli najgroźniejszymi rywalami Medyceuszy w walce o władzę nad Florencją, zarówno polityczną, jak i finansową. Dopiero atak francuskiego króla Karola VIII w 1495 roku doprowadził do upadku imperium, z całą bezwzględnością budowanego przez arystokratów. Mężczyźni i kobiety z rodu Feroceuszy polegli z rąk Francuzów, ich pałace ograbiono i spalono, legendarny majątek - klejnoty, srebra, obrazy, kilimy - rozproszył się po całych Włoszech i po Europie. Nigdy nie odnaleziono skrzyni złota, którą ostatni z rodu jakoby przygotowali przed nieudaną ucieczką. Królewski skarb przetrwał stulecia wyłącznie w formie fascynującej legendy.

Czy to możliwe, żeby obraz skrywał tajemnicę zaginionej fortuny? Złoto mogło być warte niewyobrażalny majątek, trudny do ogarnięcia umysłem we współczesnym świecie. Czy Feroceusze pozostali wierni tradycji i nawet po śmierci dysponowali niesłychaną potęgą?

John zerknął ukradkiem na Mary, która studiowała obraz z takim skupieniem, jakby od tego zależało jej życie. Kto wie, może naprawdę

tak było. Mimo to nie wspomniał jej o Feroceuszach.

Nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. Mary była córką księcia, z ogromnym posagiem, podczas gdy on posiadał tylko tytuł szlachecki, niepoparty fortuną. Zaginiony skarb sprzed stuleci pozwoliłby spokojnie i godnie żyć, nie tylko jemu, lecz także jego potomkom. Nareszcie poczułby się swobodnie w towarzystwie innych lordów. Pieniądze oczyściłyby jego imię. Ze złotem Feroceuszy mógłby zrobić wszystko, na co przyszłaby mu chęć.

Na przykład poprosić o rękę córki księcia Aston.

- Możemy tylko zgadywać, Mary - zauważył. - Nasze domysły brzmią prawdopodobnie, ale nie mamy dowodów na ich potwierdzenie.

- Och, nie bądź taki poważny. - Pochyliła się nad obrazem, lecz jednocześnie otarła się o rękę Johna.

Nie miał pewności, czy uczyniła to celowo. Zmarszczył brwi, zapatrzony w znaki na odwrocie deski. Chciał skupić uwagę na nich, a nie na jej ciele, miękkim i ciepłym niczym kocię owinięte ciemnym szalem.

Wcześniej tego dnia pragnąłby więcej, lecz złe przeczucia odmieniły jego punkt widzenia. Nie wierzył, że na obrazie może ciążyć przekleństwo, podobnie jak wątpił w istnienie czarownic, czarnoksiężników, a nawet aniołów. Skoro jednak w grę wchodzili Feroceusze, tajemnica obrazu mogła okazać się niebezpieczna. Wiedział, że do czasu jej rozwiązania nie odzyska spokoju.

- Skoro mamy pojęcie o faktycznych rozmiarach dzieła, to może zastanowimy się nad sensem tych znaków - zasugerował. - A jeśli są one początkami i końcami liter albo fragmentami słów?

- Musiałyby to być tylko włoskie słowa, w dodatku archaiczne.

- Jeśli są bardzo stare, to ja również ich nie znam - zauważył John.

- Ale ty jesteś tutaj przywódcą - przypomniała mu z humorem Mary. - Powinieneś być mądry i znać się na wszystkim.

Rozbawiła go. Niemal zapomniał, że podjął się roli przewodnika dam z Anglii.

- To tylko tymczasowe stanowisko, moja droga, które objąłem z

konieczności, a nie ze względu na rozległą wiedzę.

- Niemniej świetnie się spisujesz. - Mary nie kryła zadowolenia. - Mam nadzieję, że nie opuścisz nas, gdy dotrzemy do Paryża.

- Pozostanę na stanowisku tak długo, jak to będzie konieczne - zapowiedział.

Oboje doskonale zdawali sobie sprawę z dwuznaczności tych słów. Gdy wyjechali z Calais, John obiecał sobie, że będzie podróżował z damami tak długo, aż zdobędzie obraz lub uwiedzie starszą z sióstr. Spodziewali się dotrzeć do Paryża jutro, wczesnym popołudniem, a postanowienia Johna wydawały się coraz bardziej nieosiągalne. Miał jednak świadomość, że gra toczy się o coraz wyższą stawkę. Gdyby udało mu się rozwiązać zagadkę obrazu, stałby się nieporównanie bogatszy niż po ewentualnej sprzedaży temperry. Wówczas pojawiłby Mary za żonę, nie rujnując jej reputacji.

- To dobrze, bo bardzo cię potrzebujemy.

- A co z przewodnikiem, którego zastępuję? Nazywa się Leclair, prawda? Skoro jest pierwszorzędnym znawcą francuskiej historii, jak utrzymuje panna Wood, to szkoda z niego rezygnować.

- Panna Wood dba o ograniczanie naszych wydatków, więc skoro jesteś gotów pomagać nam za darmo, z pewnością nie zechce cię odprawić.

Szczerą odpowiedź rozbawiła Johna.

- Będziecie mnie trzymały przy sobie, bo pracuję bez nadziei na wynagrodzenie?

- Jesteś dżentelmenem. - Wzruszyła ramionami. - Nie oczekujesz wynagrodzenia.

- Moja droga, jestem dżentelmenem, który musi ciężko pracować, aby zarobić na chleb. Tak to czasem bywa.

- Z pewnością wydaję ci się niemądrą, rozpieszczoną dziewczyną. To oczywiste, że musimy się rozstać. Wcześniej opowiedziałeś mi o swojej sytuacji, lecz o niej zapomniałam, za co ogromnie przepraszam. Jeśli twoje sprawy prywatne wymagają podróży do Londynu, musisz koniecznie ich dopilnować.

- Mary, nie masz mnie za co przepraszać - zaprotestował i odgarnął lok z jej czoła. - Uczestniczenie w twojej wyprawie do Paryża będzie dla mnie zaszczytem.

- Na pewno?

- Oczywiście - przytaknął. - Przecież wiesz, że ogromnie cenię sobie twoje towarzystwo.

- Mnie też będzie miło. Chyba powinniśmy skupić uwagę na języku, w którym sporządzono ten tajemniczy tekst.

- Moim zdaniem, chodzi o włoski. Nie wykluczałbym jednak francuskiego, jeśli obraz trafił do Francji dawno temu. Mary Farren, jesteś absolutnie niezwykłą damą, jeszcze nigdy nie spotkałem takiej kobiety jak ty - wyznał nieoczekiwanie John.

- Dziękuję. - W jej słowach nie kryła się kokieteria, Mary wypowiedziała je rzeczowo, jak przystało na dobrze wychowaną osobę.

- Miło mi to słyszeć. Otóż widziałam kiedyś włoski tekst, zbliżony do tego na obrazie. Jeden z przyjaciół mojego ojca zbiera stare listy, napisane przez słynne postacie. Kiedyś pokazał mi tekst, który wyszedł spod pióra pewnego włoskiego poety.

John pokiwał głową, choć w głębi duszy nie miał ochoty na rzeczową rozmowę.

- Ja również widziałem coś podobnego. Te litery kojarzą mi się z angielskim piśmiennictwem z czasów Szekspira. Są szerokie i grube.

Mary nie ukrywała entuzjazmu.

- Moim zdaniem, autor się śpieszył, dlatego znaki nie zawsze są czytelne.

John przyłożył palec do obszernego, zamaszystego łuku.

- To chyba fragment litery, prawda?

Potwierdziła ruchem głowy.

- Ten znak również. A to? Pewnie liczba? Dwójka i czwórka.

Dwadzieścia cztery?

- Dwa i cztery... - John przysiadł na piętach. - Może chodzić o ilość, sumę, opłatę, adres... Słowem, o cokolwiek.

- Całkiem nieźle jak na początek - podsumowała Mary i przykucnęła

tak jak John. - Świetnie nam idzie, prawda? Pomyśl, ile się dzisiaj dowiedzieliśmy.

- Jak przystało na przyzwoitą tajemnicę, jedno pytanie rodzi trzy następne. - John wstał i podał Mary rękę. - Wstawaj, moja panno. Nie pozwolę, aby córka arystokraty kuciała na podłodze.

Mary samodzielnie dźwignęła się z podłogi.

- Nie powinniśmy napotkać na trudności przy poszukiwaniach listy dawnych rodzin florenckich. W Paryżu roi się od rozmaitych zbiorów i bibliotek, więc po prostu dowiemy się wszystkiego o Fra Pacificu i jego mecenasach. Gdy dotrzemy do Florencji...

- Spokojnie. - John powstrzymał rozgorączkowaną Mary. - Bez pośpiechu. Wszystko, co dobre, szybko się kończy, i podobnie będzie z twoją podróżą. Postaraj się nią nacieszyć.

- Racja - zgodziła się i skierowała na Johna intensywne spojrzenie lśniących oczu. - Tak długo czekałam, że trudno mi nad sobą zapanować. To okropna część mojej praktycznej natury. Nic na to nie poradzę. Bezustannie planuję, aby zapanować nad sytuacją, a zanim się obejrzę, wszystko dobiega końca.

- Zatem musisz przezwyciężyć ten nawyk. - Delikatnie pogłaskał ją po policzku. Jeszcze nikt tak na niego nie patrzył. - Jak zamierzasz uczestniczyć w niesamowitych przygodach, skoro bezustannie zaprzątasz sobie umysł bibliotekami i nazwiskami?

Uśmiechnęła się melancholijnie.

- Szkoda, że nie potrafię przedłużyć tego dnia w nieskończoność, aby nigdy o nim nie zapomnieć.

- Och, przecież to leży w zasięgu twoich możliwości.

- Sama tego nie dokonam. - Westchnęła i zarumieniła się, zakłopotana własną odwagą. - Dobry Boże, nie wierzę, że to powiedziałam!

- Nic w tym złego, skoro to prawda. - Zaśmiał się cicho i pochylił głowę, aby pocałować Mary. Wiedział, że odwzajemni jego pocałunek. - A może traktujesz mnie jak element swojego praktycznego planu?

- Skąd! - zaprotestowała gwałtownie. - Nie mogłabym: cię

zaplanować.

- Ani ja ciebie, kochanie. - Dotknął wargami jej ust. Natychmiast zarzuciła mu ręce na ramiona, nie zważając na to, że szal zsunął się na podłogę. - Jesteś piękna, Mary - szepnął głosem chrapliwym z pożądania. - Nawet nie podejrzewasz, jak na mnie działasz.

Mary przeszło przez myśl, że ta noc być może należy do nich. Znalazła się w pokoju mężczyzny, który ogromnie się jej podobał. Tutaj nikt by im nie przeszkadzał, a na podobną swobodę nie mogli liczyć w Paryżu. John nie wątpił, że: Mary nadal jest dziewicą, ale potrafił ofiarować jej rozkosz która rozwiałaby jej wątpliwości i obawy.

- Nie powinnam... - wyszeptała z zamkniętymi oczami. Usiłowała uspokoić sumienie. - Panna Wood mi ufa.

- Panny Wood tutaj nie ma - zauważył. - Całuję ciebie, nie ją.

- Ale ja... ty... musimy przestać.

- Wcale tego nie chcesz - szepnął. - A podobno jesteś żądna przygód. Oto jedna z nich...

Odetchnęła głęboko, gdy wziął ją na ręce i przytulił. Zacisnęła dłonie na jego karku, była rozpalona. Włosy rozsypały się jej po ramionach i spłynęły na szyję i plecy.

Wystarczyły cztery kroki i znaleźli się na łóżku. John położył Mary i z zachwytem przyjrzał się kaskadzie włosów, rozchylonym wargom, głębokiemu dekolтови. Pochylił się, aby ponownie ją pocałować, i jednocześnie wyszarpnął ręce z rękawów. Położył się przy Mary i przygarnął ją do siebie, delektując się ciepłem jej piersi.

- Uwielbiam cię, najdroższa - wyszeptał i ponownie złożył na jej ustach pocałunek. - Chyba w to nie wątpisz? Moja cudowna... Smakujesz niebiańsko, nie mogę się tobą nasycić.

Nagle Mary zeszywniała i odsunęła się od Johna. Znikła namiętność, żar, ustały pocałunki... Mary usiadła na skraju łóżka, oparła nogi o podłogę i nerwowo złączyła kolana. Drżącymi rękami upięła włosy i ciężko westchnęła.

- Nie mogę tego zrobić, John - wyznała. - Przykro mi, ale nie potrafię.

Usiadł za jej plecami, położył dłonie na jej ramionach i pocałował ją w

kark. Nie chciał, aby ta cudowna istota porzuciła go w tak ważnej chwili.

- Potrafisz, moja śliczna - wyszeptał. - Zostań, a sprawię, że będziesz krzyknąć z rozkoszy. Nawet nie podejrzewasz...

- John, musisz mnie zrozumieć - powiedziała cicho. Nie pojmował, dlaczego w jej głosie pobrzmiwało cierpienie. - Diana miała rację. To niedobrze, że jestem tutaj z tobą. Nadużyłabym zaufania panny Wood i ojca. Jak miałabym pouczać siostrę, skoro sama nie potrafię przyzwoicie zachować się w towarzystwie dżentelmenów?

- To nie tak, Mary. - Musnął palcami jej plecy. Nie odsunęła się, więc, zachęcony, objął jej krągłe piersi. - Liczymy się tylko my, inni nie mają znaczenia.

Machinalnie oparła głowę na jego ramieniu.

- Jestem inną osobą, John... - przypomniała mu, rozproszona czułą pieśczołą. - Nie w moim stylu jest kierować się namiętnością i odrzucać rozsądek.

- Przeciwnie - zaprotestował łagodnie i pocałował jej skórę pod uchem. - Przy mnie wypełnia cię pożądanie...

- Nie! - Jedno słowo wystarczyło, aby przywrócić jej rozsądek. Zerwała się z łóżka i zachwiała. Po jej policzkach spływały łzy.

- Mary, Mary... - zaczął ponownie i wstał materaca. Nie chciał jej utracić. - W głębi serca czujesz, że pragniesz tego tak samo jak ja.

Tylko pokręciła głową.

- Właśnie w tym rzecz, że nie wolno mi robić tego, co mi podpowiadają uczucia. Jestem dziewicą, ale niewinność nie oznacza prostactwa. Dobrze wiem, co pragnę z tobą zrobić w tej pościeli, i nie wątpię, że ofiarujesz mi niewyobrażalną rozkosz.

- Czemu więc się powstrzymujesz, moja piękna? - Nie potrafił jej zrozumieć. - Dlaczego?

- Zaklinam cię, ucichnij i wysłuchaj mnie! - wykrzyknęła głosem przepętnionym emocjami. - To, co mi podarowałaś, twoje pocałunki i pieśczoły były bardziej oszałamiające niż pierwszy łyk wina, wypity przez pijaka. Pragnę więcej i chcę tego od ciebie. Mam jednak świadomość konsekwencji. Zbyt twardo stąпам po ziemi, aby udawać,

że jest inaczej. - Nawet nie próbowała powstrzymać łez. - Wybacz mi, John. To twoja i moja wina. Musisz jednak wiedzieć, że konsekwencją spędzonej z tobą nocy może być nieślubne dziecko. A jeśli zarazisz mnie francuską chorobą? Nie chcę oszukiwać dżentelmena, którego jeszcze nie poznałam, a który pewnego dnia stanie u mego boku na ślubnym kobiercu. Poza tym przez resztę życia musiałabym znosić wyrzuty sumienia z powodu wstydliwego, mrocznego sekretu. Nie mogę tak postąpić, bo sprzeniewierzyłabym się sobie.

- A jeśli cię nie puszcę? - spytał i ponownie wziął ją w ramiona. - Może wiem lepiej niż ty, co jest dla nas dobre?

- Nie zatrzymasz mnie. - Wysunęła się z jego objęć, podniosła z podłogi szal i otarła nim łzy. - Znam cię na tyle dobrze, aby to wiedzieć na pewno. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak mi przykro.

Mary stała przed nim, piękna i kusząca. Jeszcze nigdy nie pragnęła żadnej kobiety aż tak bardzo. Cóż, musiał jednak przyznać, że miała rację. Nie potrafiłby posiąść Mary bez jej świadomej zgody. Zbyt nią szanował. Była córką księcia i mogła swobodnie decydować o tym, jak i kiedy podarować komuś cnotę. Nie miał prawa jej winić, że nie chce tego uczynić w gospodzie pocztowej w Chantilly, z bliżej nieznanym irlandzkim lordem.

Podeszła bliżej i pocałowała go ponownie, choć jej usta ledwie musnęły jego wargi.

- Jeśli nie zechcesz jechać z nami jutro do Paryża, zrozumieć, lecz nie zapomnę. Dobrej nocy, wasza lordowska mość, niech cię Bóg ma w opiece.

Podniosła obraz i wymknęła się na korytarz. John pomyślał, że albo jest większym dżentelmenem, albo większym głupcem, niż podejrzewał.

Archambault siedział w wielkim fotelu przed oknem i z przyjemnością sączył doskonałego burgunda. Lekarze już dawno temu zabronili mu spożywania wina i innych napojów alkoholowych, lecz dzisiaj poczuł się tak dobrze, że postanowił złamać zakaz. Wcześniej wybrał się na przejażdżkę powozem. Znajomi, których spotkał, nie kryli zaskoczenia jego widokiem - już od pewnego czasu uważali, że jest jedną nogą w

grobie. Pozwolił się nawet zanieść do swojego ulubionego lokalu, salonu madame du Fontenelle, aby tam wysłuchać kilku własnych wierszy oraz pochwał pod swoim adresem.

Nie potrafił ocenić, z czego wynikała zmiana w jego kondycji. Może to wspaniały, letni dzień ogrzał go lepiej niż ogień? A może smak wina na języku? Albo list, który otrzymał wczoraj wieczorem? Najprawdopodobniej chodziło o list, gdyż zawarte w nim wiadomości okazały się wyjątkowo pomyślne.

Odnalazł się zaginiony obraz z jego tryptyku maryjnego.

Rzecz jasna, Archambault nie zamierzał spocząć, dopóki ostatnia deska nie zawiśnie obok dwóch pozostałych. Teraz jednak miał pewność, że tempera istnieje. To istny cud, że przetrwała tyle wieków. Po porażce w Calais Archambault zatrudnił nowego wywiadowcę, znanego ze szczególnej dyskrecji i przebiegłości.

Agent dowiedział się, że obraz kupiła pewna młoda dama z Anglii, podróżująca po Francji. Wyśłannik rozmawiał ze służbą w gospodach, w których zatrzymywała się arystokratka, i dzięki temu wiedział, że często przenosiła obraz w rękach. Od lokaja w zamku de Chantilly powziął informację, że oglądała inny tryptyk pędzla Fra Pacifica i rozpoznała w nim bliźniaczą wersję dzieła, którego fragment nabyła.

Wiadomości od wywiadowcy nie były, niestety, wyłącznie pomyślne. Trzykrotnie, na trzy różne sposoby, usiłował przejąć obraz - bezskutecznie. Dama wykazała się nadzwyczajną pomysłowością w torpedowaniu zamysłów agenta, pomagał jej w tym zresztą towarzyszy podróży.

Archambault był skłonny przytknąć oko na niedociągnięcia wysłannika, gdyż obraz i jego nowa właścicielka zmierzali do Paryża. Kto wie, może już dotarli do stolicy.

Uniósł kieliszek w niemym toaście za zdrowie Angielki. Zamierzał w taki czy inny sposób przejąć upragnione arcydzieło. Agent utrzymywał, że Angielka jest nie tylko młoda, lecz także wyjątkowo urodziwa. Archambault uśmiechnął się ze znużeniem. Jak mało znaczyła dla niego kobieca uroda...

Odwrócił się i skierował wzrok na dwie części tryptyku. Promienie słońca padały na ścianę w taki sposób, że szata Maryi zdawała się jaśnieć niezwykłym blaskiem. Oto prawdziwe piękno, pomyślał. Piękno wiary i majestatu. Nie mógł doczekać się chwili, gdy trzeci fragment zawiśnie obok dwóch pozostałych. Agent wspomniał, że widnieje na nim anioł podobny do tego z Chantilly. Archambault spróbował sobie wyobrazić kompletne dzieło. Zatem uda mu się dotrzymać słowa, danego Matce Boskiej. Zadbaj o jej chwałę i będzie mógł umrzeć w pokoju.

Słońce powoli chowało się za kominami, powietrze stawało się coraz chłodniejsze. Archambault zadzwonił po służącego, który zamknął okno, po czym powoli wstał z fotela. Nie potrafił jednak się wyprostować, gdyż ból powrócił z nieoczekiwaną, obezwładniającą siłą.

- Matko Boża, zmiłuj się nad moją duszą - pomodlił się zduszonym głosem, z oczami zamkniętymi pod wpływem cierpienia. - Wkrótce zabierzesz mnie do siebie, ale jeszcze nie teraz. Błagam, Boże, jeszcze nie czas...

Rozdział dziesiąty

Urzędnik odpowiedzialny za przewóz pasażerów zrobił smutną minę na widok Johna, który ponownie ruszył do okratowanego okienka.

- Ogromnie mi przykro, wasza lordowska mość, naprawdę - zaczął, zanim jeszcze John dotarł na miejsce. Ukryty za prętami mężczyzna poklepał się obiema dłońmi po peruce i ciężko westchnął. - Prądy i wiatry są, jakie są, co zrobić. Tak jest od zarania dziejów i tak będzie do dnia Sądu Ostatecznego.

John już dwukrotnie wysłuchiwał tej litanii, więc nie miał ochoty znosić jej po raz trzeci.

- Dobry człowieku, chcę tylko wiedzieć, kiedy będę mógł wejść na pokład statku do Dover.

- Łódź pocztowa wyruszy w przeciagu godziny. Oby dotarła do statku.

- Urzędnik pokręcił głową. - Zapowiada się ciężka podróż po wzburzonym morzu, bez żadnej gwarancji powodzenia. Niech lepiej wasza lordowska mość zostanie na brzegu, radzę ze szczerego serca. Popołudniem zmieni się pływ i statek podpłynie do nabrzeża.

John pomyślał, że faktycznie mógłby poczekać na brzegu, zamiast narażać się na utonięcie w otwartej łodzi pocztowej. W najlepszym wypadku taka wyprawa zakończyłaby się przemoknięciem do suchej nitki.

Czy jednak lepiej było pozostać w Calais, w tym samym kraju, w którym znajdowała się kobieta z jego marzeń? Mary go nie chciała i musiał to przyjąć do wiadomości. Czy lepiej było siedzieć w dusznym kantorku i rozpamiętywać własne błędy, czy wyruszyć w niebezpieczną morską podróż do Londynu?

Wyjrzał przez okno na przystań. Po oceanie przetaczały się wielkie, spienione fale, woda huczała i rozbijała się o brzeg. Niewątpliwie lepiej jest żyć, niż umrzeć, skonstatował, zaklął pod nosem, przeszedł na drugi koniec poczekalni i samotnie usiadł na ławie.

Jego wzrok padł na stertę starych gazet, pozostawionych na przekrzywionej półce przy ścianie. Spragniony jakiegokolwiek rozrywki, zabrał się do przeglądania dzienników. Wszystkie pochodziły z poprzedniego miesiąca, były upstrzone przez muchy i pomarszczone pod wpływem wilgotnego morskiego powietrza. Zdegustowany John zamierzał odłożyć całe naręczcie zadrukowanych kartek, gdy jego uwagę przykuł krótki artykuł.

„Historyczna transakcja w Rouen

Podczas niedawnej aukcji przedmiotów po zmarłej madame Germaine, jej bratanek monsieur Paul Germaine spieniężył ukryty skarb. Włoski obraz, przedstawiający grupę klęczących wiernych, okazał się rzadkim rarytasem pędzla florenckiego mnicha, znanego jako Fra Pacifico. Choć zabrudzone i źle zakonserwowane, drogocenne arcydzieło zostało trafnie rozpoznane przez przedstawiciela paryskiego arystokraty. Dawny mistrz uwiecznił włoskich krewnych tego ostatniego, przedstawiając ich w strojach sprzed trzech wieków. Obraz uważano za zaginiony, więc jego odnalezienie powitano z niekłamaną radością. Arystokrata zapłacił dwieście sztuk złota, gigantyczną sumę, która znacznie przekracza wartość dzieła”.

John uznał, że z całą pewnością mowa o drugim skrzydle tryptyku, z którego pochodziła tempera Mary, skoro autorem był Fra Pacifico. Bezimienny arystokrata lekką ręką wyłożył ogromne pieniądze na zakup obrazu. A czy byłby gotów zabić dla zdobycia innego elementu tryptyku? Czyżby ten szlachetnie urodzony jegomość stał za próbami kradzieży obrazu Mary? John wcześniej powiedział sobie, że rezygnując z ubiegania się o względy Mary, jednocześnie da sobie spokój ze staraniami o przejęcie obrazu. Ta decyzja wydała mu się rozsądna i zasadna. Nie wziął jednak pod uwagę, że porzuci Mary wtedy, gdy jest jej najbardziej potrzebny.

- Wasza lordowska mość, statek właśnie przybija do nabrzeża! - zawołał urzędnik. - W ciągu godziny na pokład zaczną wchodzić pasażerowie.

- Do diabła ze statkiem - burknął John i wepchnął gazetę do kieszeni.

- Ruszam do Paryża.

Mary siedziała na małym, składanym stołku w długiej galerii pałacu Luksemburskiego. Tego ranka po wnętrzach przechadzała się zaledwie garstka zwiedzających. Panna Wood usiadła na ławce w głębi pomieszczenia i zapatrzyła się na posąg Jowisza. Diana wydawała się niechętnie zainteresowana widokiem ogrodu za oknem.

W przeciwieństwie do siostry, Mary postanowiła się uczyć. Przecież właśnie chęć zdobywania wiedzy skłoniła ją do wyjazdu za granicę. Z wielkim szkicownikiem na kolanach rysowała duży, marmurowy posąg Artemidy z jeleniem. Angielskim damom, zapoznającym się z zagraniczną sztuką, zalecano sporządzanie szkiców obrazów lub rzeźb. Teoria głosiła, że im dłużej ktoś wpatrywał się w dzieło, tym lepiej je rozumiał. Mary cieszyła się, że po powrocie do Anglii będzie mogła zaprezentować ojcu i sąsiadom pokazną teczkę z rysunkami.

Wbiła wzrok w to, co naszkicowała. W domu nieźle radziła sobie z akwarelami, zwłaszcza gdy uwieczniała krajobrazy: pola, strumienie i łąki. Artemida okazała się znacznie poważniejszym wyzwaniem niż amorficzne dęby i ledwie widoczne w oddali krowy

Na początek narysowała głowę posągu i uznała, że całkiem nieźle udało się jej uchwycić profil. Potem jednak napotkała kłopoty podczas dopasowywania głowy do tułowia. Biednej bogini łowów szyja wykrzywiła się do tego stopnia, że celne strzelanie z łuku byłoby zapewne nie lada wyczynem.

- Całkiem nieźle, Mary! - oświadczyła panna Wood z aprobatą, gdy stanęła za plecami podopiecznej. - Koniecznie zapisz, co to za posąg i kiedy sporządziłaś rysunek.

- Wątpię, aby warto było zapamiętywać te informacje, - Mary nie kryła zdegustowania własnym brakiem talentu. - Proszę spojrzeć na moją biedną Artemidę! Ma za długie ręce, za krótkie nogi, a jej łuk bardziej pasowałby do Amora!

- Och, Mary, przecież to dopiero twój drugi dzień w galeriach! - zauważyła guwernantka życzliwie. - Pierwsze koty za płoty!

Mary pomyślała, że przede wszystkim doskwiera jej brak

koncentracji. Paryż okazał się cudownym miejscem, pełnym imponujących budowli. Trzy dni wcześniej wraz z Dianą, panną Wood i służbą zajęła pokoje w hotelu „d'Imperatrice” przy Rue Jacob i jak dotąd nie miała zastrzeżeń do nowego lokalu: łóżka były czyste, owady nieliczne, meble eleganckie. Nowy przewodnik, monsieur Leclair, miły Francuz, który doskonale znał angielski, zabrał wszystkie trzy panie na wycieczkę po mieście. Angielki jeszcze nie zaczęły składać wizyt, lecz już otrzymały zaproszenia na kolacje i do salonów.

Panna Wood wiedziała, że w gruncie rzeczy tylko jedno zaprzęta umysł Mary - John Fitzgerald. Jeszcze nie przybył do hotelu „d'Imperatrice”, Mary nie wiedziała nawet, czy w ogóle dotarł do Paryża. Ostatni list od niego był krótki i zaadresowany także do Diany i guwernantki. Lord Fitzgerald został wezwany w pilnej sprawie i, niestety, nie mógł pożegnać się osobiście, dlatego przekazał pismo za pośrednictwem właściciela gospody. Jak podkreślił, na zawsze zachowa w sercu wspomnienie uroczych pań i wspólnej podróży z Calais. Miał nadzieję, że pewnego dnia spotkają się ponownie, czy to w Londynie, czy na kontynencie.

Tylko Mary znała prawdziwy powód nagłego wyjazdu Johna, lecz ta świadomość była dla niej dodatkowym ciężarem. Setki razy każdego dnia wydawało się jej, że widzi jego sylwetkę na ulicy. Z niepokojem spoglądała na drzwi, gdy rozlegało się pukanie. Obraz z aniołem dla bezpieczeństwa ukryła pod materacem, lecz często go wyciągała i oglądała. Przy takich okazjach zawsze myślała o Johnie.

- Może spróbujesz naszkicować inny posąg, Mary? - podsunęła panna Wood. - Jest ich tutaj wiele, a z czasem nabralabyś wprawy.

- To prawda - przyznała Mary i przełożyła kartkę w szkicowniku. - Gdy problemy zaczynają się piętrzyć, należy zacząć od zera.

- Zgadza się - potwierdziła panna Wood. - Brakuje mi towarzystwa lorda Fitzgeralda. Cóż, dżentelmeni muszą dbać o ważkie sprawy tego świata i nie zawsze znajdują czas dla dam. Chyba powinnyśmy się cieszyć, że jego lordowska mość w ogóle się o nas zatroszczył.

Mary pochyliła głowę nad papierem, aby zamaskować rumieniec.

- Z pewnością potrafimy same zadbać o swoje rozrywki, panno Wood - oświadczyła stanowczo. - Udawało się nam to, zanim poznałyśmy lorda Fitzgeralda, i nie ma powodu, abyśmy po jego odejściu nie zdołały powrócić do dawnej samodzielności. Och, psiakość, wszystko na nic.

Skrzywiła się z niesmakiem, spoglądając na brzydką, grubą krechę, którą mimowolnie nabazgrała. Co się działo z jej koncentracją? Wydarła kartkę, zgmiotła ją z irytacją i wstała ze składanego stołka.

- Pokaż mi, co naszkicowałaś - zażądała, przystanąwszy obok siostry. Diana pośpiesznie zastoniła szkicownik rękami.

- Och, nic ciekawego - oświadczyła wymijająco. - Rysunki są marnej jakości.

- Na pewno wypadły lepiej niż moje. - Mary wyciągnęła rękę po brulion. - Pokaż, co za bohomy nabazgrałaś.

Diana z rezygnacją wzruszyła ramionami.

- Skoro nalegasz. - Odstłoniła szkice. - Oto one.

- Och, Dianio! - zwołała Mary, bardziej zdegustowana niż zaskoczona.

- Jak możesz tak marnotrawić czas?

Choć Diana siedziała obok urodziwego posągu Jowisza, równie dobrze mogłaby spędzać czas w sklepie kapelusznicy. Całą stronicę pokrywały rysunki ogromnych nakryć głowy, cenionych przez francuskie damy.

- Rysowałam to, co mnie interesowało - oświadczyła pewnie Diana. - Z tego okna widzę damy w parku i powiem ci, że noszą niesamowite kapelusze i czepki!

- Czy zamierzasz pokazać to ojcu? - spytała z niedowierzaniem Mary. - Czy w taki sposób dowiedziesz, że podróże kształcą?

- Wcale nie chciałam się kształcić - zbuntowała się Diana. - Nie miałam do siebie zastrzeżeń.

- Jak można tracić taką sposobność do nauki, do pogłębiania wiedzy?

Diana cisnęła szkicownik na podłogę i wstała. Nerwowo chwyciła wstążki kapelusza i pośpiesznie zawiązała kokardę pod brodą.

- Mary, tylko ty masz ochotę oglądać te wszystkie zakurzone rupiecie. W ten sposób skutecznie wypłoszyłaś Johna, który miał dość twoich

nudziarstw.

- Dość, Diano! - wtrąciła panna Wood stanowczym tonem i chwyciła podopieczną za łokieć. - Może krótka przechadzka na świeżym powietrzu dobrze ci zrobi na koncentrację, moja droga.

- Bardzo chętnie - zgodziła się Diana i pomachała siostrze na pożegnanie. - Mary, przykładaj się do pracy. Gdy skończysz, powiem ci, jak ozdobić nowy kapelusz.

- Niech i tak będzie - odparła ze znużeniem Mary.

Ponownie sięgnęła po brulion i ołówek, usiadła na stołku i poprawiła suknię. Tym razem zamierzała naszkicować jelenia. Szczególnie zainteresowało ją niepokorne spojrzenie dzikiego zwierzęcia.

Kiedy przystąpiła do rysowania głowy i rogów stworzenia, jej myśli machinalnie powróciły do słów Diany. Mary żyła w przekonaniu, że Johnowi podoba się jej inteligencja i dociekliwość. Sądziła, iż wspólna praca przy rozszyfrowywaniu historii i znaczenia obrazu sprawia mu przyjemność.

A jeśli rzeczywiście źle rozumiała jego intencje? Może faktycznie uważał ją za nudziarę? Przecież wielu innych młodych dżentelmenów obawiało się jej erudycji i rzeczowości. Panowie z reguły woleli kobiety dowcipne i mniej rozgarnięte...

Ostatniego wieczoru w Chantilly usiłowała zachowywać się bardziej jak Diana. W rezultacie odniosła wrażenie, że oszukuje zarówno siebie, jak i Johna. Bez wątpienia go pragnęła. Sama zdumiała się gwałtownością pożądania które odczuła w jego obecności. Nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle, że w ostatniej chwili rozsądek wziął górę nad emocjami. Zbyt mocno stąpała po ziemi, aby oddać się rozkoszom cielesnym, choć wcześniej bardzo tego pragnęła.

Nic na to nie mogła poradzić. Marzyła o namiętność której z taką łatwością poddawała się Diana. Teraz powinna pogodzić się z porażką i zapomnieć o Johnie. Otaczali ją inni ludzie, zajęci własnymi sprawami, stawiający sobie cele życiowe, dążący do ich realizacji. Powinna wziąć z nich przykład i potraktować resztę podróży jak niezapisaną kartę. Nowy początek mógł jej pomóc. Sięgnęła po scyzoryk i zatemperowała

ołówkę. Skupiła uwagę na marmurowym jeleniu. Jego pysk był podłużny, ostro zakończony, nozdrza rozwarte, strzygł uszami.

Niemożliwe.

Mary pochyliła się odrobinę i spojrzała na postać, która mignęła jej między splątanymi nogami zwierzęcia. Przecież nie mógł jej tutaj znaleźć...

John zmierzał prosto ku niej, w dłoni trzymał elegancką laskę. Galeria była długa, przez rząd wysokich okien wpadały do środka promienie słońca. Szedł spokojnym, miarowym krokiem, lecz na jego twarzy malowało się zacięcie i determinacja, jakby zamierzał osiągnąć postawiony sobie cel.

Czy jego celem była Mary?

Pochyliła głowę. Czułaby się strasznie, gdyby zauważył, że go szpieguje! Jej kapelusz o szerokim rondzie, ze wstążkami zawiązanymi na kokardę pod brodą, nie był tak wielki jak te z rysunków Diany, lecz na pewno rzucał się w oczy spoza posągu Artemidy. Musiała udawać, że jest pochłonięta pracą i nic nie widzi. Pośpiesznie namazała kilka kresek, aby nie siedzieć przed pustą kartką papieru.

Co od niego usłyszy? Co mu odpowie? Och, żeby choć tym razem wypowiedziała właściwe słowa!

Usłyszała, że John się zatrzymał, i tuż przed sobą zobaczyła jego wypolerowane buty oraz koniec laski. Czy powinna odezwać się pierwsza?

- Dzień dobry, lady Farren.

Z wysiłkiem dokończyła kreskę, policzyła do pięciu i dopiero wówczas podniosła wzrok.

- Lord Fitzgerald - odezwała się. Nie miała pojęcia, co zrobić, aby jej głos zabrzmiał mniej entuzjastycznie. -Dzień dobry.

Skinął głową. Palce zacisnął na złotej gałce laski.

- Dobrze się miewasz?

- Och, tak, dziękuję - potwierdziła. Równie dobrze mogliby recytować swoje role w teatrze, w dodatku niespecjalnie przekonująco. - A ty? Czy u ciebie wszystko dobrze?

- Owszem, nie narzekam. - Rozejrzał się. - Jesteś sama?

- Moja siostra i panna Wood wyszły zaczerpnąć świeżego powietrza - wytłumaczyła. - Wkrótce wrócą. Dobrze wiesz, że Diana nie jest specjalnie wrażliwa na sztukę.

Na ustach Johna po raz pierwszy pojawił się przelotny uśmiech.

- Twoja siostra zawsze okazywała odmienną wrażliwość.

- Otóż to. - Zarumieniona Mary ponownie ukryła twarz za zasłoną szerokiego ronda.

- Czy mogę zerknąć na rysunek? - zaciekawiał się John. Skinęła głową i przechyliła szkiełko, aby jej rozmówca lepiej widział.

- To jeleń, prawda? - Pochylił się nieco.

- Oczywiście - odparła nieco urażonym tonem. Skąd te wątpliwości? - Zaczęłam szkicować głowę.

- Tak, rzeczywiście. - Zamyślił się nad rysunkiem, bardziej zatroskany niż zachwycony. - Wydaje mi się, że rozpoznaję poroże.

- Wątpię, byś odróżnił rogi od tylnych nóg - oświadczyła i demonstracyjnie westchnęła. - Na pewno nie na moim rysunku.

- Tego nie powiedziałem! - zaprotestował.

- Nie musiałeś, bo ja to powiedziałam. - Mary bez pośpiechu przystąpiła do rysowania gwiazdek na rogach stworzenia, zupełnie jakby chciała stworzyć nową konstelację. - Szkicuję dla siebie. Nie zamierzam zostać ani kopistką, ani fałszerzem.

- Bardzo mądrze - pochwalił ją John tak uroczystym tonem, że z początku nie wiedziała, czy mówi poważnie, czy też stroi sobie z niej żarty. - Twój prawdziwy talent skrywa się w oku, nie w dłoni. Posiadasz rzadki dar trafnego oceniania wartości artystycznej obrazów. Rozumiesz ich treść i kochasz ich urodę.

Mary milczała oszołomiona. Jeszcze nigdy nie słyszała podobnych słów z ust dżentelmena, a były one dla niej cenniejsze niż tysiąc banalnych porównań jej oczu do gwiazd. John wygłosił pod jej adresem komplement jedyny w swoim rodzaju i niepasujący do nikogo innego. Wiedziała, że cokolwiek się stanie, już nigdy nie zapomni tych słów aprobaty.

- Gdybym była mężczyzną, wiedziałabym, jak ułożyć sobie życie - wyznała bez tchu. Jeszcze nigdy nie dzieliła się z nikim tym sekretem. - Poświęciłabym się badaniu obrazów. Skompletowałabym własną kolekcję i może doradzała innym, co powinni kupować. Nawiązałabym kontakty z żyjącymi artystami, aby więcej dowiedzieć się o ich talencie. Poza tym nie zamieszkałabym w Londynie, lecz na kontynencie. Tak wyglądałoby moje życie.

- Zrób to - powiedział John. - Nic nie stoi na przeszkodzie. Masz oko i talent. Nie zwracaj uwagi na kawalerów, starających się o twoją rękę, i wybierz to, co ci odpowiada. Pokręciła głową, jakby obawiała się puścić wodze fantazji.

- Ojciec nigdy by na to nie pozwolił. John wzruszył ramionami.

- To twoje życie, nie jego. Przede wszystkim powinnaś myśleć o sobie.

Patrzyła na niego z uwagą i czuła, jak na jej ustach pojawia się uśmiech.

- Nawet nie podejrzewasz, jak ogromnie za tobą tęskniłam, odkąd rozstał się w Chantilly.

- Przeciwnie, wiem to doskonale - szepnęła. - Tęskniłem za tobą równie silnie.

Pochyliła głowę nad szkicem, aby John nie widział zmieszania na jej twarzy.

- Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś się zobaczymy.

- Podobnie jak ty uznałem, że najlepiej będzie, gdy nasze drogi się rozejdą. Jednak z każdą minutą coraz bardziej mi Ciebie brakowało. Stałaś mi się bliska jak nikt inny na świecie.

- Czułam to samo - wyznała szeptem.

Skinął głową, lecz się nie uśmiechnął. Nie chciał w żaden sposób powstrzymać słów, które cisnęły mu się na usta.

- W Calais czekałem na okazję, żeby wejść na pokład statku do Anglii. Fala była zbyt wysoka, aby jednostka bezpiecznie podплыnęła do brzegu, a ja nie chciałem wsiadać na chybotliwą łódkę. Przeznaczenie zatrzymało mnie we Francji, bo w poczekalni rzuciła mi się w oczy gazeta z tym oto artykułem.

Sięgnął do kieszeni i wyjął pożółkły skrawek papieru ze starego dziennika.

- Mary, przeczytaj to i powiedz mi, co myślisz. Rozprostowała wycinek na szkicowniku.

- Fra Pacifico! Z pewnością chodzi o obraz podobny do trzeciej części tryptyku z Chantilly! Czy to może być fragment dzieła, z którego pochodzi mój anioł?

- Od razu tak pomyślałem. Wiele bym oddał, aby móc poznać nazwisko tego tajemniczego nabywcy.

- Podobno transakcji dokonano w Rouen - zauważyła. Nawet nie starała się ukryć entuzjazmu. Wystarczyło pięć minut w towarzystwie Johna, a już szykowała się nowa przygoda! - Skontaktujmy się ze sprzedawcą i spytajmy o godność kupującego...

- Już to uczyniłem, moja droga. - John sięgnął po stołek Diany, przysunął go i usiadł obok Mary. - Nabywca starannie zadbał o anonimowość. Obraz kupił jego przedstawiciel, zapłaty dokonano gotówką i nikt nie zna tożsamości tajemniczego kolekcjonera. Organizator aukcji powątpiewał, żeby pośrednik wiedział cokolwiek więcej ponad to, co napisano w gazecie.

Mary położyła ręce na szkicowniku.

- Dlaczego komuś zależało na dyskrecji? John pochylił się i oparł dłoń na gałce laski.

- Niewykluczone, że jakiś dżentelmen ceni sobie prywatność i nie lubi publicznych komentarzy na swój temat. Może postanowił zrobić komuś prezent-niespodziankę? Albo wstydzi się, że wydał majątek na dzieło, które nie jest tyle warte. Moim zdaniem, chciał w ten sposób zakończyć licytację, zanim się na dobre rozpoczęła.

- Kto jeszcze uczestniczył w aukcji?

- Właściciel domu aukcyjnego wyjaśnił, że tym obrazem nikt się nie interesował. Dzieła nie uwzględniono nawet w stosownym katalogu, po prostu umieszczono je razem z wieloma innymi, nieciekawymi przedmiotami. Organizator powiedział, że obraz był „stary i nieatrakcyjny”.

- Z pewnością istnieje inny sposób, aby dojść prawdy. - Mary ponownie przejrzała artykuł. - Podobno ten Francuz mieszka w Paryżu i ma włoskich krewnych. Spróbujmy...

- To na nic - przerwał jej John. - Połowa Francuzów ma włoskich przodków.

- Gdybyśmy popytali w Paryżu.

- Zbyt wiele nazwisk wchodzi w grę. Szczególnie wśród arystokratów jest mnóstwo osób pochodzenia włoskiego. Pamiętaj, że nawet nasz król Karol II miał włoską babkę z rodu Medyceuszy.

- Och, na pewno coś wymyślimy! - zdenerwowała się Mary. - Szkoda, że nie wiedziałam o aukcji tego obrazu. Przebiłabym ofertę tego łotra i miałabym dwie części tryptyku!

- Nasz tajemniczy arystokrata zapewne miał już środkową część, więc teraz dysponuje dwoma elementami. - John podrapał się po brodzie. - Nie wiemy tego na pewno, lecz być może jesteś w posiadaniu ostatniego obrazu z kompletu.

- Nie oddam go za nic na świecie! - nasrożyła się Mary. - Anioł należy do mnie!

Jej determinacja wprawiła Johna w dumę.

- Rozumujemy w identyczny sposób, moja droga, lecz nasz arystokrata może myśleć inaczej. Ma nad nami przewagę; wie, kim jesteś, i zdaje sobie sprawę, gdzie szukać obrazu.

- Nic mu z tego nie przyjdzie - oświadczyła buńczucznie. - Ten człowiek nie ma prawa zabierać ludziom ich własności tylko dlatego, że nabrął na to ochoty.

- W Anglii byłoby to wykluczone - zgodził się John. - Cóż, we Francji arystokracja jest dość bezkarna. Ten łotr może sobie na bardzo dużo pozwolić i żaden sąd mu się nie przeciwstawi. Gdzie jest teraz obraz?

- W bezpiecznym miejscu.

Ostrożność podpowiadała Mary, żeby nikomu tego nie zdradzać. Co oczywiste, Diana znała wymyślane przez siostrę kryjówki, bo mieszkały w jednym pokoju, lecz była nieuważna i zapewne nie potrafiłaby wskazać schowka. Mary chętnie zwierzała się Johnowi, ale pewne

sekrety wolą przemilczeć.

Nie krył zatroskania.

- Chyba powinnaś oddać obraz do banku na przechowanie - poradził jej. - Nie tylko dzieło byłoby bezpieczniejsze, ty również.

- Nie boję się - podkreśliła stanowczo. - Pod pewnymi względami przypominam ojca i nie dam się zastraszyć byle Francuzowi.

Od razu zauważyła, że John się o nią martwi. Trudno, pomyślała. Nie zamierzała ustąpić. Obraz miał dla niej ogromne znaczenie. Zapłaciła za niego znaczną sumę i czuła się z nim związana.

- Nie boję się - powtórzyła. - Słowo.

- Ale ja się boję - wyznał John, wstał i podał Mary rękę. - Skoro jesteś taka odważna, to pewnie wybierzesz się ze mną. Słyszałem, że gdzieś w tych galeriach wisi inne dzieło Fra Pacifica. Poszukajmy go razem.

Mary chętnie pospacerowałaby wśród dzieł sztuki, lecz John wpatrywał się w nią tak intensywnie, jakby jego propozycja była jednocześnie wyzwaniem. Czy miała dość śmiałości, aby iść z tym mężczyzną? Czy powinna przyjąć do wiadomości, że za nią tęskni? A może lepiej by było pamiętać o jego pistoletach, morderstwie i innych, ponurych sprawach?

- Nie boję się - powiedziała po raz trzeci. Czy chciała przekonać jego, czy siebie?

- Zatem idziemy? - spytał niemal rozkazującym tonem. - Podobno obraz jest niedaleko stąd. To portret damy.

- Idziemy - zgodziła się.

Postanowiła podnieść rzuconą jej rękawicę. Na czystej kartce pośpiesznie nakreśliła kilka słów wyjaśnienia dla panny Wood i oparła szkicownik o stołek, aby z daleka rzucał się w oczy. Wstała bez pomocy Johna. Gdy przemierzali długą galerię, starała się bardzo, aby przypadkiem nie dotknąć Johna, Nie patrzyła na niego, więc nie miała pojęcia, jak reagował. Doszła do wniosku, że tak będzie bezpieczniej.

- Obraz naprawdę znajduje się blisko. - John przystanął przed wejściem do pomieszczenia, które sąsiadowało z główną galerią, i ruchem dłoni zaprosił Mary do środka. Mimowolnie się zawahała, lecz

po chwili namysłu weszła. Korytarz nie był długi. Nie sądziła, aby cokolwiek jej tutaj groziło - po muzeum spacerowali zwiedzający i wśród nich powinna czuć się bezpieczniej niż na paryskiej ulicy.

Boczna galeria nie była całkiem pusta. Gdy Mary biła się z myślami, do wąskiego korytarza wtoczył się popychany przez służącego wózek inwalidzki, na którym siedział schorowany dżentelmen. Choć w pomieszczeniu panowała pokojowa temperatura, nieznajomy chronił się pod grubą warstwą koców i szali. Jego poszarzałe oblicze pokrywały głębokie zmarszczki, typowe dla ludzi wiekowych i cierpiących. Zgodnie z francuską modą, na policzkach jegomościa widniała warstwa blad różowego pudru. Peruka i odzież wyglądały na kosztowne, a na jego małym palcu lśnił sygnet z okazałym brylantem. Przygarbionego arystokratę otaczała aura dostojności i władczości. Mary machinalnie odsunęła się na bok, gdy służący przetoczył obok niej fotel na kółkach.

- Proszę nie robić ceregieli, mademoiselle - zaskrzeczał starzec chrapliwym, syczącym głosem. - Stare obrazy to teraz moi jedyni przyjaciele.

- Niektóre dzieła przynoszą ogromne ukojenie - zgodziła się Mary uprzejmie.

- Właśnie. - Arystokrata z wysiłkiem odwrócił ku niej głowę. - Młoda, piękna, a w dodatku inteligentna. Rzadkie połączenie.

Choć komplement zabrzmiał nieszkodliwie, Mary cofnęła się jeszcze o krok. Nie mogła znieść przenikliwego, zimnego spojrzenia zmętniałych oczu starego pana. Jej zakłopotanie go rozbawiło, lecz jego śmiech szybko przerodził się w rżenie. Starzec przycisnął chustkę do ust, a służący pośpiesznie odtoczył wózek.

John wziął Mary pod rękę i poprowadził ją do małej galerii.

- Sądziłem, że tego starego drania pochłonęło piekło - powiedział.

- Od razu skojarzył mi się z diabłem. - Mary przeszył dreszcz. -

Zauważyłeś jego złowrogie spojrzenie?

- Na szczęście tylko na tyle się zdobył. Do grona twoich znajomych właśnie dołączył hrabia de Archambault. Czy to nazwisko coś ci mówi?

Mary zmarszczyła czoło.

- Chyba obito mi się o uszy, ale nie pamiętam nic konkretnego. Czy to jakiś słynny arystokrata z królewskiego dworu? A może filozof?

- Owszem, jest znany, nawet jak na paryskie standardy - potwierdził John. W jego głosie zabrzmiało tyle pogardy, że Mary wiedziała, iż najgorsze jeszcze nastąpi. - Ten człowiek pochodzi ze starej, czcigodnej rodziny, lecz jest żywym dowodem na to, że nawet błękitna krew z czasem blaknie. Sama widziałaś, jak zniszczyła go rozpusta.

- Ten wiekowy jegomość jest rozpustny? - Mary nie sądziła, że kiedyś spotka kogoś, kto zasługuje na to miano. Nagle przypomniała sobie, skąd zna to nazwisko. Regularnie pojawiała się ono w artykułach skandalizujących gazet londyńskich, które Diana i Mary widywały w cudzych domach. Dziennikarze niejednokrotnie łączyli go z zachowaniem tak niktzemnym i oburzającym, że wydawcy nie podawali jego nazwiska, aby uniknąć ewentualnego pozwania do sądu.

Archambault niewątpliwie ponosił należytą karę za grzechy przeszłości. Nawet niewinna Mary wyczuwała w nim ukrytą niegodziwość, grzeszne okrucieństwo widoczne w zaciśniętych wargach.

- Zatem go znasz - powiedziała. - Dziwne, że cię nie rozpoznał.

John pokręcił głową, wyraźnie zaskoczony sugestią dziewczyny.

- Zbyt mało znacząc, aby dołączyć do kręgu jego znajomych.

- Ponadto jesteś zbyt przyzwoity i szlachetny - dodała lojalnie. - O ile mówiłeś o nim prawdę.

- To, co o nim wiem, to zapewne połowa tego, co zrobił - rzekł z zaciętą miną John. - Powiadają, że zaczął żałować za grzechy, gdy śmierć zajrzała mu w oczy. Podobno spalił wulgarne poezje i odprawił prostytutki. Jeszcze liczy na zbawienie duszy. Nic dziwnego, że przyjaźni się teraz wyłącznie z obrazami.

- Obrazy nie zważają, kto na nie patrzy - zauważyła Mary.

- Ten człowiek już nikogo nie skrzywdzi - podsumował John. - Na pewno nie w tym życiu.

- Wola boska - dodała Mary i odetchnęła głęboko, zdecydowana zapomnieć o niegodziwym arystokracie. Wolała skupić uwagę na pięknie arcydzieł malarskich, które ją otaczały.

Już na pierwszy rzut oka było widać, że sala różni się od pozostałych. W innych pomieszczeniach, na obitych adamaszkiem ścianach, wisały ogromne obrazy, a nad nimi rząd mniejszych dzieł tego samego artysty. Tutaj wszystkie dzieła były nieduże, oprawione w pozłacane ramy i powieszono na ścianie tak gęsto, że niemal się stykały. Na płótnach oraz deskach widnieli męczennicy i żołnierze, dziewice o słodkich twarzach u boku upiornych diabłów, rozbawione damy, płaszące nieopodal pól bitewnych. Można było odnieść wrażenie, że to magazyn obrazów, nie ich ekspozycja. Mary szczególnie cenila nieduże, wiekowe obrazy, dlatego martwił ją chaos i nieład na wystawie.

- Opiekunowie najwyraźniej lekceważą sobie stare obrazy tak samo, jak organizator aukcji z Rouen - poskarżyła się ze smutkiem. - Wszystkie dzieła zostały wymieszane, niczym guziki w stoju krawcowej.

- Na dodatek nikt nie zwrócił uwagi, że obrazy pochodzą z różnych części Włoch: z Florencji, Rzymu, Wenecji, Padwy... - wyliczał John. Nagle jego wzrok padł na jedno z niedużych dzieł. - Francuzi jako naród uwielbiają się do tego stopnia, że za nic nie uznają cudzoziemców za lepszych od siebie. Oto on. Twój Fra Pacifico.

Wziął Mary za rękę i zaprowadził ją do odległego kąta sali. W jednej chwili zauważyła arcydzieło. Żaden inny artysta nie potrafiłby tak uchwycić profilu młodej damy na tle turkusowego nieba. Miała splecione w warkocz włosy, ozdobione klejnotami i sznurami pereł tak, że tworzyły skomplikowaną koronę. Czerwona, aksamitna suknia o wysokim stanie była fantastycznie haftowana złotą nicią i zdobiona dodatkowymi klejnotami. O ile anioł Mary nosił koronę ze złotych liści, które przydawały mu niebiańskiego majestatu, o tyle klejnoty i aksamit świadczyły o doczesnej zamożności kobiety. Być może obraz miał pełnić rolę ogłoszenia dla potencjalnych adoratorów.

Mary momentalnie zauważyła coś, co łączyło uwiecznioną damę z aniołem: surowość spojrzenia. Matrony i Madonny z pozostałych obrazów spoglądały na zwiedzających z łagodnością, spokojem i słodyczą. Młoda kobieta najwyraźniej czuła się niepokonaną wojowniczką. Ciemne oczy błyszczały gniewem, a zaciśnięte szczęki i

kształtny nos wyglądały dumnie i wyzywająco.

- Jak ktoś mógł malować takie obrazy i nazywać się Fra i Pacifico?..- zapytała Mary i pochyliła się nad arcydziełem, aby poddać się jego magii. - Brat Spokój, też coś. Spójrz tylko na nią!

- Przypomina lwicę - przyznał John. — Z całą pewnością jest jedyną poganką w gronie chrześcijan. Idę o zakład, że Archambault przyszedł oglądać ten obraz, równie niegodziwy jak on.

- Zamilknij, John - syknęła Mary, wstrząśnięta tym brakiem szacunku. - Z pewnością spoglądamy na szanowaną włoską arystokratkę, dostojną królową ze wspaniałego rodu.

-Moim zdaniem, szła za podszeptami własnej woli i namiętności, ku utrapieniu ojca i smutkowi matki -oświadczył John, podobnie jak Mary zauroczony obrazem. - Spójrz na jej oblicze. Bardziej przypomina Marsa niż Wenus! Przyznaj, że musiała bliskim sprawiać więcej kłopotów niż radości.

Mary uśmiechnęła się szelmowsko.

- Nie powiedziałam, że nie sprawiała kłopotów.

- Skłamałaabyś, mówiąc coś takiego. - John delikatnie położył dłoń na jej plecach, całkiem jak by to był najnaturalniejszy gest na świecie. - A ty nigdy nie kłamiesz. Myślę, że także pod tym względem jesteście do siebie podobne.

- Podobne? - zdumiała się Mary i skierowała wzrok na Johna. - W mojej naturze leży zapobieganie kłopotom, a nie ich sprawianie. Każdy członek mojej rodziny to potwierdzi.

- Wolę trzymać się własnych spostrzeżeń i wniosków. Zauważ, że się nie uskarżam. Kłopoty, w które się pakujesz, są bardzo interesujące.

- Dyrdymały opowiadasz. - Odwróciła się do obrazu. - Będę udawała, że tego nie słyszałam. Ciekawe, czy rodzina tej damy zamówiła obraz z aniołem.

John odchrząknął, jakby usiłował powstrzymać śmiech.

- To by było całkiem logiczne - ciągnęła, celowo nie zwracając na niego uwagi. - Zastanawiam się, jak brzmiało jej nazwisko.

- Nie sposób tego stwierdzić - odparł John. Mary pomyślała, że

najwyraźniej się uspokoił. - „Portret młodej damy”. To niewiele.

- Szkoda, że brak nam portretu fundatorów. Wyjaśniłby nam wszystko! - Mary się zasepiła. - Wiedzielibyśmy, kto zamówił obrazy, co oznacza szyfr na odwrocie dzieła, jak mogła nazywać się dama.

- Innymi słowy, stalibyśmy się najmądrzejszymi ludźmi na świecie - zauważył ze źle skrywaną ironią John. Z trudem panował nad rozbawieniem. - Poznalibyśmy rozwiązania największych zagadek świata!

Mary opuściła głowę.

- Przekomarzasz się ze mną, John.

- Tylko cię ostrzegam - sprostował. - Sam często pakuję; się w tarapaty, więc wiem, o czym mówię.

Oderwał wzrok od obrazu i z czułością oraz podziwem popatrzył na Mary. Pomyślała, że przekomarzanie się wcale nie musi być złe.

- Tęskniłem za tobą - wyznał nieoczekiwanie. - Bez ciebie było mi fatalnie.

Rozumiała go, gdyż czuła się podobnie. Wszystkie wątpliwości i rozterki, nad którymi musiała zapanować, nagle przestały budzić jej niepokój. Towarzystwo Johna wydało się jej czymś najoczywistszym pod słońcem. Bez niego ogarniała ją samotność, przygnębienie, rozpacz.

Czyżby doświadczała uczucia, szumnie zwanego przez poetów miłością? John jeszcze o niej nie wspomniał, lecz podobno dżentelmenowi najtrudniej jest wypowiedzieć właśnie to słowo. Mary żałowała, że nie ma zamężnej przyjaciółki, gotowej udzielić jej rady. Ani panna Wood, ani Diana nie mogły jej nic wyjaśnić. Czy miłość była namiętną podniętą, która przetaczała, się przez jej ciało, gdy John trzymał ją w ramionach i obsypywał pocałunkami? A może chodziło raczej o milczące zrozumienie i dopasowanie dwojga ludzi? Czy zatem połączyła ich miłość, czy tylko przyjaźń i zainteresowanie?

Pochylił się i rozumiała, że pragnie ją pocałować. Miała chęć odwzajemnić jego pocałunek, bo obojgu sprawiłby przyjemność. Mętlik w głowie nie pozwalał jej jednak ocenić, czy przyjemność owa nie zmieniałaby się w rozkosz. Mary obawiała się nadmiernej namiętności,

bo nie wiedziała, do czego ona prowadzi. Na wszelki wypadek odwróciła głowę w kierunku portretu damy.

Wówczas ujrzała litery. Skrywały się w hafcie rękawa arystokratki, tak starannie zamaskowane pod namalowaną złotą nicią, że ledwie je było widać. Ponieważ jednak Mary zauważyła ten sam wzór na szacie anioła, bez trudu rozpoznała go teraz: nakładające się na siebie litery F.

- John, rzuć na to okiem - poprosiła szeptem i, nie dotykając powierzchni obrazu, przesunęła ponad nim palcem. - To taka sama taśma, jak na szacie anioła. On i kobieta należeli do tej samej rodziny!

- Teraz to widzę... - przyznał powoli i ściągnął kapelusz, aby zbliżyć się do obrazu. - Taki sam wzór, złożony ze splecionych liter E

Mary odetchnęła głęboko i przestąpiła z nogi na nogę.

- Och, John, to nie wszystko! Spójrz na koronkę u jej halki! „Isabella Maria di Feroce”. To z pewnością jej nazwisko. Dlaczego dotąd nikt tego nie zauważył?

John nie podzielał jej entuzjazmu. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego i przygnębionego. Przytulił Mary do siebie tak, jakby chciał ją obronić przed tym, co miało nadejść.

- Nikt jeszcze tego nie widział, bo nikt nie patrzył na ten obraz tak jak ty - wyjaśnił chrapliwym szeptem. - Mary, to, co odkryłaś, może być dla ciebie źródłem niewyobrażalnych problemów.

Rozdział jedenasty

Gdy Mary przesiadywała w sali lekcyjnej w Aston Hall i opracowywała plan podróży, uwzględniła w nim muzea, katedry, pałace i zamki. Nie przyszło jej jednak do głowy, żeby wziąć pod uwagę biblioteki. Wraz z Johnem zawitała do jednej z nich, Bibliotheque Nationale de France, i zasiadła przy długim stole w czytelni. Domyśliła się, że budowla jest cennym zabytkiem. Monsieur Leclair poświęcił jej dziesięciminutowy wykład przy śniadaniu. Szczególnie dużo ciepłych słów przewodnik skierował pod adresem hojnego i wspaniałomyślnego Ludwika XV, który udostępnił bibliotekę do powszechnego użytku dla dobra społeczeństwa i nauki. Mary, rzecz jasna, bardziej interesowała florencka rodzina Feroceuszy.

Pod wrażeniem eleganckiego portretu młodej Isabelli, wystawionego w Palais du Luxembourg, Mary przez całą noc śniła o uroczym, cudownym życiu damy w średniowiecznym *palazzo*, pełnym sztuki i muzyki. Kiedy jednak zagłębiła się w zakurzone księgi, poznała ponurą i mroczną prawdę o rodzinie Feroceuszy.

W szczytowym okresie świetności, przypadającym na XV wiek, ród ten praktycznie rządził Florencją. Jego członkowie niejednokrotnie dowodzili swojej chciwości i bezwzględności. Zagarniali wszystko, na co mieli ochotę, i nie wahali się mordować ludzi, którzy stanęli im na drodze. Okazali się przy tym hojnymi mecenasami artystów, takich jak Fra Pacifico, lecz zawsze bardziej szczylicili się umiejętnościami mistrza tortur w swych lochach pod *palazzo* oraz liczbą zgwałconych kobiet. Nic dziwnego, że po przejęciu Florencji przez wojska francuskie wszyscy odetchnęli z ulgą, gdyż ród Feroceuszy upadł wraz z miastem.

- John, wiedziałeś o tym? - wyszeptała Mary i przewróciła następną kartkę, pełną drastycznych opisów wyłamywania palców i patroszenia wrogów. - Ci Feroceusze byli odrażający.

John pokiwał głową i wzruszył ramionami.

- We Florencji dowiesz się jeszcze gorszych rzeczy. Każdy tamtejszy

przewodnik ma swoją ulubioną, ponurą historię do opowiedzenia. Feroceusze doskonale nadają się na czarnych bohaterów, bo w końcu spotkała ich zasłużona kara.

- Zostali poćwiartowani, a ich głowy nabito na pale pod murem. -
Mary przeszył dreszcz. - Cieszę się, że żyjemy w bardziej cywilizowanych czasach.

John sceptycznie uniósł brwi, lecz ku uldze Mary nie skomentował jej słów. Podejrzewała, że mógłby wspomnieć o kilku brutalnych zdarzeniach z własnej przeszłości.

- Nie wspomniałem, że Isabella okazała się godnym przeciwnikiem francuskich żołnierzy? Niewiele dam rozprawiłoby się z sześcioma wrogami wyłącznie za pomocą sztyletu, ukrytego w sukni.

- Na obrazie sprawia wrażenie kobiety gotowej na wszystko. To chyba dobrze, że zniknęła.

- Bardzo dobrze - zgodził się John.

Mary podsunęła mu książkę, z której czerpała informacje.

- Tutaj jest napisane, że Isabella i jej dwie siostry usiłowały zbiec, lecz tylko jej udało się umknąć. Pozostałe kobiety pojmano i zgładzono. Utrata sióstr musi być czymś potwornym. Nawet nie chcę myśleć o tym, że Dianie mogłoby się coś stać.

- Opowiedz mi więcej o Isabelli - poprosił John.

- Gdy Francuzi zdobyli Florencję, z całej rodziny tylko Isabella miała szansę pozostać przy życiu.

John westchnął i oparł głowę na dłoni.

- Bez wątpienia usiłowała zbiec ze słynnym skarbem ojca.

- Ach tak, oczywiście. Skarb... - Mary rozmarzyła się. - Złoto Feroceuszy! Wzmianka o nim znajduje się w każdej książce o historii Florencji.

- Powie ci o nim także każdy uliczny przewodnik w tym pięknym mieście. - John uśmiechnął się, widząc zapał Mary. - Nikt go nie odnalazł i nie jest to już raczej możliwe. Jeśli zaraz nie napiję się tej parszywej, paryskiej kawy i nie zjem ciastka, to przysięgam, że za moment padnę trupem.

- Och, John! - Niecierpliwie machnęła dłonią. Nie miała ochoty odrywać się od zagadki, gdy rozwiązanie leżało w zasięgu ręki.

- Jak w takiej chwili możesz myśleć o kawie? Przecież lada moment poznamy prawdę o tajemnicy sprzed wieków!

- Jestem tak samo podekscytowany, jak ty, moja droga - wyznał. - Po prostu staram się zachować więcej ostrożności. Cała ta historia to tylko spekulacje i domysły. Prawdziwi są ludzie, którzy usiłovali ukraść twojego anioła. Obchodzisz mnie bardziej niż skrzynia legendarnego złota, Mary.

- Skoro mój anioł wpadł w ręce monsieur Dumonta w Calais, to dlaczego nie miałoby tam się znaleźć także złoto Feroceuszy?

- Bo złoto znacznie łatwiej spieniężyć niż obraz, moja droga. - Zamknął książkę, aby w ten sposób zakończyć lekcję historii. - Powinnaś pamiętać, że cała rodzina tych łotrów wyginęła setki lat temu, masz zatem takie same prawa do pozostałych części tryptyku, jak tajemniczy paryski arystokrata.

- Tak jest - zgodziła się porywczo i poklepała dłonią skórzaną okładkę książki. - Z całą pewnością!

- Mary, zachowaj odrobinę zdrowego rozsądku. Jesteś inteligentna i przenikliwa, więc nie myl głupoty z odwagą. Rzucanie wyzwania potomkowi Feroceuszy nie jest mądre, nawet jeśli uważasz inaczej.

- Nie dam się zastraszyć - zapowiedziała buńczucznie. - Znasz mnie trochę, więc wiesz, że tak łatwo nie ustępuję.

- Niestety. - Westchnął ciężko. Sięgnął po jej dłoń i przycisnął ją do ust. - Pozostanę przy tobie, Mary, aby nikt nie skrzywdził ani ciebie, ani twojego anioła.

Służący zwinnie przesunął brzytwę po szczęce Johna, który z przyjemnością poddawał się zabiegowi. Z ochotą zapominałby o wszystkich problemach, rozłożył na fotelu i zdrzemnął, jak to mu się często zdarzało podczas golenia.

Tego wieczoru sytuacja nie pozwalała mu się odprężyć. Musiał zachować przytomność umysłu, potrzebował też choć trochę szczęścia. Zamierzał uczynić coś, co mogło na zawsze odmienić jego życie. Gdyby

mu się powiodło, stałby się najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. W razie porażki... Nawet nie chciał myśleć o tej ewentualności.

Już za parę godzin poprosi lady Mary Farren o rękę.

Serce zabiło mu mocniej. Tak właśnie powinno być, prawda? Przedtem nigdy nie kochał żadnej kobiety i nadal nie miał pewności, jak ustosunkować się do tego uczucia. Przez jego życie przewijały się rozmaite kobiety, które lubił i darzył względami. W wypadku Mary uczucia okazały się nieporównanie głębsze.

Podziwiał jej urodę, pożądał jej smukłego ciała. Rozmyślał o niej nocami i nie mógł zapomnieć, jak spontanicznie odpowiedziała na jego awanse w Chantilly. Podobała mu się także jej inteligencja. Wnioski Mary często pokrywały się z jego konkluzjami. Uważała się za praktyczną dziewczynę z prowincji, a jemu odpowiadała taka bezpośredniość. Inne młode damy, które znał, zachowywały się niemądrze. Mary nie uśmiechała się bez powodu, nie bawiły jej głupie żarty. Dzięki temu jej śmiech był dla Johna wyjątkowo cennym подарunkiem.

Kiedy przeznaczenie sprowadziło ich oboje do sklepu Dumonta, John uznał, że to okazja do nawiązania przelotnej znajomości. Gdyby wówczas nadarzała się sposobność znalezienia złota Feroceuszy, z pewnością chciałby zagarnąć je wyłącznie dla siebie. Im więcej jednak czasu spędzał w towarzystwie pięknej rodaczki, tym wyraźniej uświadamiał sobie, że prawdziwym skarbem nie jest złoto, lecz Mary. Gdy pamiętnej nocy w Chantilly opuściła jego pokój, był sfrustrowany i rozczarowany, lecz przy tym podziwiał jej siłę charakteru. Zdawała sobie sprawę z własnej wartości, i to mu odpowiadało. W Calais przypadkiem natrafił na artykuł w starej gazecie i w pierwszym odruchu zapragnął wrócić, aby zadbać o bezpieczeństwo Mary. Nie pomyślał wówczas o osobistych korzyściach. Co koń wyskoczy pognał do Paryża i odnalazł ją tam, w Palais du Luxembourg, w otoczeniu całkiem niegroźnych posągów. Ogarnęła go wówczas taka ulga, że zaczął plątać mu się język.

Rzecz jasna, doskonale sobie uświadamiał, jakim trudnościom przyjdzie mu sprostać. Dzielił ich spory dystans społeczny i finansowy. Jej rodzina miała ogromne wpływy, on się nie liczył. Jego majątkiem był

urok osobisty i spryt, ona mogła liczyć na wsparcie ze strony zamożnego ojca, ziemianina z tradycjami, który z pewnością nie zgodzi się na ślub.

Liczył na to, że miłość przezwycięży wszelkie przeszkody. Nigdy nie podejrzewał, że zapala tak silnym uczuciem do kobiety, ale też nie miał dotąd okazji poznać kogoś takiego jak Mary. Pokochał ją i musiał się z tym pogodzić.

Na stoliku przy łóżku John trzymał małe, skórzane puzderko, a w nim pierścionek z brylantami i szafirem równie wyjątkowym jak sama Mary. Zaprosiła go na cotygodniowe przyjęcie u madame du Fontenelle. Zwykle unikał tego typu nużących imprez, lecz tym razem nie mógł się doczekać spotkania z Mary. Zamierzał jak najszybciej zabrać ją w ustronne miejsce, najlepiej do ogrodu - o ile państwo du Fontenelle takowym dysponowali - i tam poprosić ją o rękę.

Wówczas pozostanie mu tylko modlić się żarliwie, żeby przyjęta oświadczyły.

- Stanowczo powinnaś pozbyć się tego obrazu, Mary. - Diana założyła drugi kolczyk z perłami. - Skoro już wiesz, jakich okropieństw dopuszczała się rodzina, która go zamówiła, to chyba nie chcesz mieć go ciągle przed oczami.

- Rodzina rzeczywiście była odrażająca, ale anioł nie jest temu winien. - Mary wygładziła suknię. - Czy anioł mógłby być niegodziwy, skoro wyszedł spod pędzla świętego męża?

- Chciałaś powiedzieć: katolickiego zakonnika. - Diana przysunęła się do lustra i przypudrowała nieistniejącą plamkę.

Pokojówka Deborah pomogła obu damom włożyć suknie, a zamówiona fryzjerka przyniosła im ogromne, napuszone peruki o przypudrowanych włosach, które opadały lokami na plecy. Takie fryzury uważano za szczyt elegancji we Francji. Młode damy miały lada moment wyruszyć powozem do domu madame du Fontenelle, po drodze zabierając Johna. Zaproszenie przyjęły z zaskoczeniem, ale i z przyjemnością. Możliwość pojawienia się w salonach odebrały jako zaszczyt, zwłaszcza że o błyskotliwej madame było głośno nawet w Londynie.

- Kiedy Fra Pacifico malował ten obraz, nie istniał żaden inny chrześcijański kościół poza katolickim, droga siostró - zauważyła Mary i przystanęła przed aniołem, który stał na półce nad kominkiem. - Poza tym to nie ma żadnego znaczenia dla jakości obrazu.

Diana wzruszyła ramionami i owinęła jeden z eleganckich loków wokół palca.

- To nie ma żadnego znaczenia, kropka - poprawiła siostrę. - Naprawdę lepiej byś zrobiła, gdybyś zabrała się z panną Wood i ze mną na pokaz balonów w parku, a nie ślęczała w bibliotece.

- Chciałam iść do biblioteki - zaprotestowała Mary. - John też miał ochotę tam wpaść.

- Zatem mogliście oboje wybrać się z nami - zdecydowała Diana. - Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Te wszystkie wielobarwne, jedwabne balony, sunące wysoko pod niebem! Wiesz, co nam powiedział pewien dżentelmen? To skandaliczna historia, poważnie. Panna Wood nie wiedziała, gdzie oczy podziąć, gdy jej wszystko powtórzyłam, ale ja zrywałam boki ze śmiechu!

- Cóż to za historia? - spytała Mary ostrożnie, niemal z obawą. Dżentelmeni często, zbyt często, opowiadali Dianie rozmaite skandaliczne historie. - Nie będę żałowała, że ją poznałam?

- Och, Mary, przecież to Paryż! - wykrzyknęła Diana i przysunęła się bliżej. - Ten dżentelmen powiedział nam, że niektóre damy zabierają swoich kochanków na pokład gondoli balonów, aby uprawiać upojną miłość pod chmurami, wysoko ponad miastem! Może ty i John powinniście spróbować czegoś takiego, a nie ślęczyć w bibliotece nad książkami.

- Och, Diana, bądźże cicho! Ze mną i z Johnem jest inaczej.

- Inaczej? - osłupiała Diana. - Dlaczego?

- Inaczej, w sensie lepiej - wyjaśniła Mary. - Jesteśmy przyjaciółmi, on się o mnie troszczy, jest mi drogi, bliski i bardziej wyjątkowy niż ktokolwiek inny

- Przyjaciele. - Diana ze smutkiem pokręciła głową. - Chcesz powiedzieć, że nie dostrzega w tobie kobiety?

Mary się zarumieniła, przypomniawszy sobie Chantilly.

- Diano, nie rozumiesz? Chcę powiedzieć, że go Kocham! Tak, nie przestyszałaś się. Kocham go i jestem gotowa to powtórzyć przed każdym!

Diana zrobiła wielkie oczy.

- Naprawdę go Kochasz? Lorda Johna Fitzgeralda, naszego przypadkowego przewodnika? Och, Mary, to naprawdę ciekawa nowina! A czy on o tym wie? Wyznałaś mu miłość? A może uciekasz w milczenie?

- Wie. - Mary przez chwilę myślała. - Musi wiedzieć.

- Zatem nigdy go nie poinformowałaś o tym, co czujesz. - Diana położyła siostrze dłonie na ramionach. - Jeśli naprawdę go Kochasz, musisz mu o tym powiedzieć. Nie oczekuj, że się tego domyśli, mężczyźni nie są na tyle lotni. Nie zwlekaj, wyznaj mu prawdę jeszcze dzisiaj wieczorem. Nadarzy się mnóstwo sposobności, zobaczysz. Gdy przed nim się otworzysz, odwzajemni ci się tym samym, pocałuje cię jak należy i zrobi wszystko, na co będziesz miała chętkę.

- Mary, Diano! - zawołała panna Wood, na moment uchylając drzwi do ich pokoju. - Wyruszamy, moje panny. Powóz czeka przed drzwiami.

Mary odsunęła się od Diany, zdjęła obraz z kominka i szybko ukryła go pod materacem. Narzuciła na ramiona pelerynę, zawiązała jedwabną tasiemkę pod brodą i popatrzyła wyczekująco na Dianę.

- Powiedz mu, Mary - poradziła jej siostra. - To nie jest tajemnica, nie powinnaś ukrywać prawdy.

- A jeśli się okaże, że on mnie nie Kocha? Boję się, że wyznam mu uczucia, a on mnie zignoruje...

- Och, on cię Kocha. - Diana delikatnie poklepała siostrę po policzku. - Nie martw się. Zauważyłam to już wtedy, gdy odnalazł nas nieopodal Abbeville. A teraz chodź, im wcześniej wyruszymy, tym szybciej przekażesz mu dobre wieści.

Tego wieczoru zaszczytny tytuł honorowego gościa przyjęcia przypadł w udziale hrabiemu de Archambault. Zasiadł on w ogromnym fotelu z wysokimi poręczami, które skutecznie chroniły go przed przeciągiem, a

na kolana narzucił koc obsyty futrem. Athenais du Fontenelle osobiście zadbała o wygody gościa i dopilnowała, aby fotel znajdował się możliwie blisko kominka. W takim skwarze kto inny rozpuściłby się jak figura woskowa, lecz Archambault odczuwał jedynie przyjemne ciepło. Nie omieszkał podziękować gospodyni za jej zapobiegliwość - dzięki niej wreszcie przestały go przeszywać nieznośne dreszcze. Madame uśmiechnęła się i skłoniła głowę w podzięcie za miłe słowo i zaszczyt goszczenia tak dostojnej osoby. Tych dwoje łączyła wspólna przeszłość, sięgająca czasów, gdy oboje cieszyli się urokami młodości i namiętności.

W ciągle uroczych oczach przyjaciółki Archambault dostrzegał teraz melancholię. Wiedział, że przyczyną jej smutku jest on, a raczej jego zniszczone chorobami, starcze ciało.; Biedna Athenais! W przeciwieństwie do niego nie szukała pociechy w obrazach, nie potrafiła odnaleźć spokoju, który czerpał z kontemplacji oblicza Niepokalanej.

Teraz sączył napój jęczmienny i udawał, że słucha młodego jegomościa, z zachwytem rozwodzącego się nad walorami poezji hrabiego. Znużony słowotokiem młodzieńca, Archambault w końcu zamknął oczy i udał omdlenie. Zaniepokojony nudziarz pośpiesznie przywołał Athenais.

- Co ty wyprawiasz, szczywany lisie? - wyszeptała rozbawiona, pochyliwszy się nad jego fotelem. - Możesz nabierać innych, ale ja zbyt dobrze cię znam.

Uchylił powieki.

- Czy dziewczęta z Anglii są już na miejscu?

- Ach, więc nie lis z ciebie, lecz kozioł. - Zachichotała z zachwytem. - Zaprosiłam je tak, jak sobie życzyłeś. Przybyły w towarzystwie guwernantki oraz przystojnego młodego dżentelmena. Jedna z nich znikła już wraz z kompanem, jak się należało spodziewać, lecz druga nadal jest tu z nami.

Archambault uśmiechnął się szeroko.

- Gzy jest piękna, ta córka angielskiego księcia? - spytał lubieżnie.

Madame delikatnie trzepnęła go w rękę złożonym wachlarzem.

- Kozioł w każdym calu! - oświadczyła z zachwytem. - Czy mam ją

przyprowadzić, abyś sam ocenił?

Skinął twierdząco głową i ponownie zamknął oczy, gdy Athenais poszła na poszukiwania dziewczyny.

- Panie hrabio, oto lady Diana Farren.

Powoli otworzył oczy, aby jak najdłużej delektować się chwilą. Czy w tym życiu zdoła jeszcze kiedyś cieszyć się towarzystwem uroczej młodej kobiety? Diana była piękna, bez wątpienia, choć w angielskim stylu, bez cienia elegancji i subtelności. Miała jasne włosy i czerwone wargi, zaskakująco namiętne. Taką wyrazistą kobiecość rzadko się spotykało u wyspiarek. Czy ta młoda zmysłowa dziewczyna mogła być właścicielką świętego obrazu anioła Feroceuszy, dzieła ulotnej, nieziemskiej urody?

- Wydaje się pani zagubiona, droga Dianio - przemówił po angielsku i powolnym gestem wskazał taboret, postawiony obok jego fotela. - Proszę usiąść koło mnie, a chętnie przybliżę pani sylwetki pretensjonalnych gburów z tego salonu.

Diana wyraźnie odetchnęła z ulgą, napotkawszy kogoś, kto władał jej rodzimym językiem. Chętnie usiadła na stołku. Hrabia doskonale rozumiał jej zmieszanie i zakłopotanie; goście Athenais byli dumni z faktu, że nie potrafią porozumieć się w żadnym obcym języku.

- Proszę mi wybaczyć, panie hrabio, że nie zrewanżuję się tym samym. Niestety, mówię po francusku w stopniu zdecydowanie niesatysfakcjonującym. Z przykrością wyznam smutną prawdę: nigdy nie przykładałam się zbyt do nauki.

- Och, drobiazg - zbagatelizował sprawę. - Proszę pozostawić naukę starym nudziarzom, takim jak ja.

- Pan hrabia nie jest aż tak stary. - Uśmiechnęła się i rozłożyła wachlarz, sprawnie przyciągając uwagę rozmówcy do atrakcyjnego dekoltu. Archambault pomyślał, że w jej żyłach musi płynąć kropla paryskiej krwi.

- Jest pani kwintesencją uprzejmości, moja droga. - Nagle jego żołądek przeszył znajomy skurcz, przypominając mu, że nie ma czasu do stracenia. - Jak rozumiem, wie już pani, jakie atrakcje ma do zaoferowania Paryż? Są tu parki, sklepy, galerie sztuki... Jak się

podobają?

- Cóż, dotąd oglądałam mnóstwo nudnych galerii i stanowczo zbyt mało sklepów.

- Doszły mnie jednak słuchy, że dokonała pani pierwszorzędnego zakupu, moja droga Diano. Kupiła pani obraz, będący rzadko spotykanym rarytasem, prawda?

Popatrzyła na niego tak obojętnym wzrokiem, że przez moment obawiał się, iż został wprowadzony w błąd. Nagle jednak się rozpromieniła, a jej wachlarz zatrzepotał z nową energią.

- Ach, pan hrabia zapewne myśli o obrazie mojej siostry - wyjaśniła. - Nie mam pojęcia, czemu informacja o nim mogłaby kogoś zainteresować. Moja siostra kupiła go w Calais. Śmiem twierdzić, że brzydszego śmiecia ze świecą by szukać. Mimo to nieszczęsna Mary z uporem stawia go na kominku za każdym razem, gdy jesteśmy w naszym pokoju, i w rezultacie ten okropny anioł nie spuszcza nas z oczu.

Oślabione serce mocno załomotało w piersi Archambaulta.

- Anioł, powiada pani?

- Brzydki anioł - sprecyzowała. - Moja siostra utrzymuje, że obraz jest bardzo stary, a artysta nie potrafił inaczej malować. Mimo to biedaczka ukrywa malowidło nocami, a także wtedy, gdy wychodzimy z pokoju. Zupełnie, jakby przedstawiał jakąś wartość dla kogokolwiek poza nią.

- Czy pani siostra wie, kto jest autorem obrazu? - zainteresował się. Miał nadzieję, że entuzjazm nie położy go trupem. - Nazwisko malarza często przesądza o cenie dzieła.

Diana obojętnie wzruszyła ramionami.

- Jakiś włoski mnich - odparła. - Nie pamiętam nazwiska, ale przypominam sobie, co mi dzisiaj powiedziała. Dowiedziała się skądś, że obraz należał do jakiejś koszmarnie barbarzyńskiej rodziny z Florencji. Podobno ci ludzie nic innego nie robili, tylko walczyli z całym światem, torturowali kogo popadnie i kradli, ile wlezie. Och, przypominam sobie nazwisko tego starego rodu: Feroceusze. Czy pan hrabia słyszał o nich?

- Owszem, słyszałem - wycedził powoli, ostrożnie, aby się nie zdradzić. - Otóż jestem ich potomkiem z linii babki.

- Och, usilnie błagam o wybaczenie! - Zbulwersowana własną gafą, Diana zamknęła wachlarz i pochyliła głowę.

- Nie miałam pojęcia, nigdy bym się nie ośmieliła...

-Niech pani nie przeprasza, moja droga, to zbędne. - Zmusił się do uśmiechu. - Znam ich reputację i nie zamierzam ich usprawiedliwiać tylko dlatego, że są moimi przodkami. Ponad wszelką wątpliwość dowiedli swojego barbarzyństwa, jak to pani ujęła. Zasłużyli na gwałtowną śmierć. Tylko jedna kobieta uniknęła tragicznego końca i dotarła do Francji. Miała przy sobie obraz podobny do tego, który znalazł się w posiadaniu twojej siostry.

Archambault od dzieciństwa fascynował się historią Isabelli, o której usłyszał od babki. Podobała mu się odwaga i nieustępliwość młodej kobiety. Nawet teraz, gdy spoglądał na obraz Niepokalanej, myślał o Isabelli. Wzeniła się w rodzinę Archambaultów nie z miłości, lecz dla władzy. Jej życiowym celem i marzeniem stało się odtworzenie tryptyku. Aby zgromadzić jego części, postawiła na szali swoje życie. On także był gotów umrzeć dla tych obrazów.

Cóż, lady Diana nie podzielała jego fascynacji historią rodziny. Jej spojrzenie powędrowało ku młodszym mężczyznom. Bez wątpienia przestała słuchać.

- To nader interesujące, panie hrabio - powiedziała obojętnym tonem. - Widzę jednak, że przyzywa mnie guwernantka. Muszę iść. Czy pan hrabia zechce mi wybaczyć?

- Oczywiście, droga pani - zgodził się i przyzwalająco skinął dłonią.

Diana pośpiesznie odeszła, a zmęczony Archambault zacisnął powieki pod wpływem bólu. Wiedział, że umiera, ale dotąd nie sądził, że stał się nudziarzem. Nic go to nie obchodziło. Ostatni obraz znajdował się na wyciągnięcie ręki. Dzięki gadatliwości tej głupiej dziewczyny praktycznie miał go już na własność.

Wkrótce odzyska spokój. Na wieczność.

Mary stała przy drzwiach, energicznie trzepocząc wachlarzem. Na próżno usiłowała się uspokoić. Latami marzyła o paryskich przyjęciach i gorąco pragnęła uczestniczyć w jednym z nich, tak niepodobnym do

tego, co widziała w rodzinnym Aston.

Słyszała i czytała, że na francuskich przyjęciach pojawiały się piękne damy i eleganccy dżentelmeni, którzy z poważnymi minami wypowiadali się na istotne tematy filozoficzne. Mary wyobrażała sobie, że dostąpi zaszczytu wysłuchiwanie ważkich opinii, a sama będzie zabierała głos tylko od czasu do czasu, wyłącznie w sprawach dobrze sobie znanych. Żyła w przekonaniu, że panowie nie nadużywają ponczu, co w Aston było na porządku dziennym, damy nie wybuchają skrzekliwym śmiechem, psy nie plączą się między stołami w poszukiwaniu co smaczniejszych kąsków.

W końcu Mary trafiła na wytworne przyjęcie u powszechnie szanowanej madame du Fontenelle. W przepięknym salonie stały połączane krzesła, szafki o marmurowych blatach i porcelanowych elementach, wysokie zwierciadła weneckie oraz kosztowne obrazy modnych artystów, takich jak Fragonard czy Boucher. Towarzystwo okazało się tak wytworne, jak zakładała, i ubrane zgodnie z francuską modą.

- Zgraja koszmarnych nudziarzy - szepnął John, pochyliwszy się do ucha Mary. - Wiem, że chciałaś tutaj przyjść, ale czy nie masz już dość?

Uniosła wachlarz, aby dyskretnie zasłonić usta podczas rozmowy. Tego wieczoru John prezentował się wyjątkowo atrakcyjnie. Jego nieupudrowane włosy wyróżniały się na tle białych peruk, a opalona twarz kontrastowała z modną bladością arystokratycznych oblicz. Wydawał się czymś przejęty, niewiele mówił i był wyraźnie poruszony. Mary postanowiła na razie nie wyznawać mu uczuć.

- Daj spokój - poprosiła cicho. - Jesteśmy gośćmi, nie wypada ci mówić takich rzeczy.

Nieprzekonany, zasłonił usta dłonią tak jak ona wachlarzem.

- Cóż z tego, skoro mam rację. Doskonale wiem, że w paryskich salonach bywają osoby, które uważają się za śmietankę towarzyską i intelektualną stolicy. Wystarczy jednak posłuchać tego, co mówią. Bełkoczą jak małpy w klatce, przekrzykują się i nie zwracają uwagi na innych.

- Och, John, proszę cię... - wyszeptwała zakłopotana Mary i dyskretnie sprawdziła, czy nikt nie podsłuchuje. Niestety, musiała przyznać Johnowi rację. Uczestnicy przyjęcia wyglądali wspaniale, ale jazgotali jak przekupki na bazarze. - Powinniśmy być zaszczyceni, że madame Fontenelle nas

zaprosiła. W jej domu pojawiają się wyłącznie elity.

- Spójrz tam. Jest z nami ten parszywy łotr Archambault. Siedzi na fotelu tak blisko ognia, jakby już tęsknił do płomieni piekielnych.

Mary momentalnie rozpoznała hrabiego z galerii.

- Nie sądziłam, że jeszcze go spotkamy.

- Diabła ciągnie do jemu podobnych - zauważył John. Odwróciła wzrok, aby nie wpatrywać się zbyt natrętnie w niegodziwego arystokratę.

- Może jego obecność tutaj pozwoli ludziom zrozumieć, jak kończą grzesznicy - oświadczyła bez przekonania.

- Z pewnością niejeden tu obecny powinien zastanowić się nad sobą. Wątpię jednak, żeby przykład hrabiego skłonił łotrów do refleksji. -

Delikatnie uściśnął palce Mary. - Nie pasujesz do tego towarzystwa.

- Nie wolno nam wyjść zbyt wcześnie - przypomniała mu, choć sama marzyła o powrocie do domu.

Rozejrzała się po pomieszczeniu. Usiłowała wypatrzeć Dianę, aby nie zostawiać jej na pastwę jakiegoś zepsutego moralnie dżentelmena.

- Twojej siostrze nic nie grozi - zauważył John, trafnie odczytawszy myśli Mary. - Panna Wood się o nią zatroszczy, taka jest jej rola.

- Ale przecież dopiero co przyszliśmy. To nieładnie wychodzić tak wcześnie.

- Wobec tego wyjdźmy na dwór. - John delikatnie zacisnął palce na dłoni Mary. - Przy tak dużym domu z pewnością znajduje się ogród.

Poszedł pierwszy, aby utorować jej drogę między gośćmi. Do ogrodu z tyłu budynku prowadziły wysokie, łukowato sklepione drzwi. Ktoś otworzył je, aby wpuścić do środka odrobinę świeżego powietrza. Mary i John wymknęli się na zewnątrz.

Ogród okazał się długi i wąski. Na otoczonym wysokim murem z

cegieł skrawku ziemi rosły starannie wypielęgnowane rośliny. Przy ścianie posadzono szpaler grusz, których nienaturalnie symetryczne gałęzie przylegały do cegieł. Także ścieżki wytyczono z matematyczną precyzją, aby prowadziły do zegara słonecznego w centrum ogrodu.

- Tylko popatrz. - John nie krył zniechęcenia. - Tylko jakieś cienkie wiązy. Nawet wiewiórka by się nie ukryła w ich cieniu.

- Trudno. I tak muszę ci coś powiedzieć - oświadczyła Mary. - Wolę to zrobić bez świadków.

- Ja również pragnę coś ci wyznać.

John wziął Mary za rękę i poprowadził po schodach na dół. Szedł tak szybko, że Mary musiała podbiegać, aby nadążyć.

- John, wolniej - wykrztusiła zadyszana.

Nagle zatrzymał się przy zegarze i gwałtownie odwrócił do Mary.

- Zawsze dotrzymywałaś mi kroku, a nawet szłaś przodem. Odkąd to jestem dla ciebie za prędko?

- Od teraz. - Przycisnęła dłoń bo boku. Dokuczała jej kolka, ale nie chciała przyznać, że tego wieczoru ma wyjątkowo mocno związany gorset. - Chcę powiedzieć coś ważnego. .. Ale to może poczekać... Jeszcze chwilę.

- Doskonale. - Puścił jej dłoń, otrzepał koszulę i chwycił solidnie zamocowany mosiężny gnomon. Powoli zatoczył półkole dookoła marmurowego piedestału i przystanął naprzeciwko Mary. - Wobec tego pierwszy zabiorę głos.

- Nie! - Nie miała pojęcia, do czego zmierza John, wołała jednak jak najszybciej wyrzucić z siebie to, co jej leżało na sercu. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chcę mówić pierwsza.

- Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu - zgodził się nadspodziewanie łatwo. - Zawsze będę ci ustępował, moja droga.

Ich usta zetknęły się nad cyferblatem.

- Kocham cię - szepnęła Mary, gdy ich wargi się rozłączyły. Miała zamknięte oczy, a słowa wypowiadała tak cicho, że ledwie było ją słychać. - Kocham cię, John.

- Mary. - Jej imię w jego ustach zabrzmiało niczym delikatny powiew

wiatru. - Nic dziwnego, że nie mogłem bez ciebie wytrzymać.

- Kocham cię - powtórzyła śmieiej i wreszcie odważyła się otworzyć oczy.

Kąciki ust Johna uniosły się w łagodnym uśmiechu, jego oczy były na wpół przymknięte, lecz zarazem wpatrywały się w nią tak przenikliwie, że zadrżała. Poczła jego dłonie we włosach. Wiedziała, że cokolwiek ją spotka w życiu, na zawsze zapamięta ten wieczór. Pochyliła się nad zegarem słonecznym i pogłaskała Johna po policzku.

- Ukochany - szepnęła drżącym głosem, jakby chciała mu wyznać, że nie potrafi opisać tego, co przy nim czuje, bo kojarzy jej się to z magią, a on jest jedynym dżentelmenem na świecie, który potrafi wywołać w niej taką burzę emocji.

- Wobec tego wyjdź za mnie, najdroższa - powiedział. -Wyjdź za mnie, zostań moją żoną.

Rozdział dwunasty

John nie mógł się wycofać, nawet gdyby chciał.

- Mary, bądź moją żoną i miłością na zawsze - szepnął. -

Zostańmy małżeństwem, resztę życia chcę spędzić z tobą.

Sięgnął do kieszeni po skórzane puzderko z pierścionkiem. Dlaczego nie potrafił opanować drżenia rąk? Przeklęty jubiler, na pewno celowo wykonał maleńkie zamknięcie, aby go dręczyć. I dlaczego Mary milczała jak zaklęta? Wyjawiała, że go kocha. Czy miał powiedzieć coś jeszcze, aby ją do siebie przekonać?

W końcu uchylił wieczko i blask księżycy zaśnił na pięknych kamieniach. Ponieważ Mary nie przyjęła jeszcze jego oświadczyn - ani ich nie odrzuciła, na szczęście - postawił puzderko na cyferblacie. Dopiero po chwili zauważył, że mimowolnie zaśnił godzinę dwunastą. Czy wskazał w ten sposób północ, czy samo południe? Tak czy owak, będzie to dla niego godzina przeznaczenia.

- Mówisz poważnie - wyszeptała, nie odrywając oczu od pierścionka. - John, tak często się ze mną droczysz, że wzięłam to za żart.

- To nie dowcip, najdroższa. Uważasz, że przyniosłbym ten pierścionek dla żartu?

- Jest przepiękny. - Niepewnie wpatrywała się w klejnot, jakby się obawiała, że zaraz zniknie. - Zawsze mnie zaskakiwałeś swoją dobrocią...

Nie chciał jej okazywać dobroci, pragnął się z nią ożenić!

- Wiem, że uważasz mnie za wagabundę. Nie mam rodziny, która mogłaby za mnie poręczyć, brakuje mi domu. Kocham cię jednak bardziej niż ktokolwiek na świecie i proszę, żebyś mi uwierzyła!

- Miłość... - Głos uwiązał jej w gardle. - Ojciec pragnie mojego szczęścia.

John mocno w to wątpił, lecz nie potrafił przeciwstawić się woli księcia Aston. Było jasne, że bogaty ziemianin oczekuje od przyszłego zięcia zacnego majątku, stanowiącego zabezpieczenie przyszłości córki.

- Co do naszego wspólnego domu... Założymy go tam, gdzie zechcesz,

Mary. Możesz mieć własne studio, prywatną galerię. Studiuj sztukę, jeśli chcesz, zostań wybitnym koneserem malarstwa. Nie ofiaruję ci domu przy Bedford Square, nie mam też posiadłości ziemskiej, ale z pewnością będę potrafił zapewnić ci szczęście.

- Wiesz, że nie oceniam ludzi na podstawie ich majątku -
zaprotestowała - Nie dlatego wspomniałam o ojcu.

- Wobec tego przysięgam, że zrobię co w mojej mocy, abyś nie zaznała przy mnie nic złego - obwieścił uroczyście.

- Zaskoczyłeś mnie - przyznała uczciwie. - Byłam pewna, że to ja wyłożę kawę na ławę i ofiaruję ci miłość. Tymczasem ty chcesz mi podarować nieporównanie więcej.

- Do licha, Mary, to nie jest transakcja! - Objął dłońmi jej twarz, aby nie mogła odwrócić wzroku. - Kocham cię, Mary. Widzisz, powiedziałam to głośno. Jeszcze żadna kobieta nie usłyszała ode mnie tych słów. Kocham cię.

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Ja również nigdy nie wyznałam miłości mężczyźnie.

- Pamiętasz noc w Chantilly?

- W twoim pokoju - szepnęła. - Jak mogłabym zapomnieć?

- Cokolwiek wówczas czułaś, najdroższa, jest zaledwie ułamkiem tego, co ci ofiaruję jako mąż - zadeklarował porywczo. - Każdej nocy dostaniesz ode mnie namiętność i rozkosz. Żadne z nas nie znajdzie tego u innej osoby. Na tym polega moc uczucia, które nas jednoczy. To jest prawdziwa miłość. Opuściłaś dom w poszukiwaniu przygód, a klnę się na Boga, przy mnie czeka cię ich mnóstwo. Wyjdź za mnie, najdroższa. Zgódź się i bądź moją żoną, moją miłością.

Jej oczy zalśniły, gdy dotykała jego twarzy.

- Ach, John, jak mogłabym...

- Tam jest! - krzyknął po francusku jakiś mężczyzna. Jego głos dobiegał od strony prowadzących do ogrodu drzwi.

- To Fitzgerald, przeklęty bękart!

- Co, u licha? - zdumiał się John i popatrzył w tamtym kierunku.

Mary również się odwróciła.

Po schodach zbiegał wysoki dżentelmen w towarzystwie dwóch służących, niosących kandelabry. Z budynku wylegli inni goście, skuszeni perspektywą awantury. John pośpiesznie chwycił Mary za rękę i pociągnął ją ku sobie, aby znalazła schronienie za jego plecami.

- O co chodzi, John? - spytała, bardziej zaciekawiona niż przestraszona. - Kim jest ten nieuprzejmy jegomość?

- Obawiam się, że ma powody, aby czuć do mnie niechęć - odparł John, przygotowując się na to, co miało się zdarzyć. Wiedział, że prędzej czy później do tego dojdzie. Dlaczego jednak przeszłość dopadła go tu i teraz, kiedy Mary zamierzała udzielić mu odpowiedzi?

- Dlaczego miałbyś budzić tak silną irytację u kogokolwiek?

John odetchnął głęboko.

- Wiosną zabiłem w pojedynku brata tego człowieka.

Mężczyzna raptownie zatrzymał się przed nim i gniewnie ukłonił. Jego częściowo zasłonięta peruką twarz była czerwona z wściekłości.

- Fitzgerald - wycedził - mogłem się domyślić, że zaszyjesz się w ogrodzie, aby nikt cię nie rozpoznał.

- Turgeon. - John nie zamierzał się wycofywać, lecz nie chciał też zaognić sytuacji. - Jeśli masz mi coś do powiedzenia, mów. Potem odejdz.

- Jesteś pierwszy do wydawania poleceń, Fitzgerald - odrzekł Turgeon i pogardliwie wykrzywił usta. - Zapominasz tylko, że marny z ciebie dżentelmen i żaden oficer. Ty tchórzliwy, śmierdzący bękartie...

- Nie obrazisz mnie, Turgeon, choćbyś mnie wyzywał od najgorszych - oznajmił John. - Twój brat dostał to, na co zasłużył, a ja jestem usatysfakcjonowany. Na tym koniec.

- Odkąd to zabójstwo nazywa się satysfakcją? - spytał wzburzony Turgeon. Mówił coraz głośniej, aby słyszeli go wszyscy dookoła. - Zamordowałeś mojego brata, kapitana marynarki wojennej Jeana Turgeona, a w dodatku uwiodłeś i doprowadziłeś do ruiny jego żonę!

- Twój brat rzucił mi wyzwanie, Turgeon, stoczyłem z nim uczciwą walkę.

John nie zamierzał podnosić głosu. Nie musiał: swojego czasu o

pojedyńku mówiło się zarówno w Londynie, jak i w Paryżu. John chciał tylko zranić przeciwnika, trafić go w rękę, aby wyjść ze sprawy z twarzą. W ostatniej chwili Turgeon odskoczył na bok i kula Johna przeszła mu klatkę piersiową. Przeprowadzone później dochodzenie potwierdziło jego wersję przebiegu wypadków. John został uwolniony od zarzutów, nie pozwano go do sądu. Opuścił Anglię z własnej woli, aby zapomnieć o skandalu. Z wyjątkiem Mary, zapewne każda osoba w ogrodzie znała szczegóły historii.

- Pojedynek był honorowy, z udziałem sekundantów, lekarza i grupy widzów, gotowych potwierdzić prawdziwość oficjalnej wersji dochodzenia. Nie doszło do rozprawy sądowej, nikomu nie postawiono zarzutów.

- Gadaj zdrów! - wybełkotał Turgeon. Nikt nie wątpił, że przed rozmową z Johnem uraczył się niejednym kieliszkiem wina. - Tak samo gładko wyjaśnisz, co zrobiłeś żonie mojego brata? Uwiodłeś ją, zrujnowałeś, namówiłeś do opuszczenia Jeana.

- Opuściła go już wcześniej, zanim ją poznałem - zauważył John. - Każdy oficer marynarki może potwierdzić, że twój brat traktował żonę wyjątkowo podle, publicznie i prywatnie. Ja tylko ofiarowałem jej przyjaźń.

Ta historia również była powszechnie znana. Marie Turgeon została przedstawiona Johnowi jako bogata wdowa.

Ich romans nawiązał się w Brighton i oboje traktowali go niezobowiązująco. John zerwał z nią momentalnie, gdy tylko się dowiedział, że jej mąż nie zginął w Ameryce. Nie złamał w ten sposób serca kobiety, ale uraził jej dumę. W złości powróciła do męża i zażądała, aby pomścił jej rzekomą hańbę. Skutki jej mściwości okazały się katastrofalne.

- Czy to prawda, John? - wyszeptała Mary, wyraźnie zszokowana. - Czy naprawdę zrobisz... to wszystko?

- Powiedz jej prawdę, Fitzgerald! - dorzucił Turgeon. - Wyjaśnij, jak z zimną krwią zamordowałeś mojego brata.

- To nie tak, Mary. - John westchnął. - Nie zamierzam mówić nic na

temat tamtej damy. Nie będę świadczył przeciwko niej. Każdy jednak, kto oglądał pojedynek, może potwierdzić, że kapitan Turgeon wyzwiał mnie całkiem niepotrzebnie, na własną zgubę.

- Łzesz! - wrzasnął Turgeon i dobył szpady. - Mój brat domagał się satysfakcji, bo uwiodłeś mu żonę!

- Na litość boską, Turgeon, postradałeś zmysły? - John myślał tylko o bezpieczeństwie Mary, ukrytej za jego plecami. - To ogród, nie pole bitwy. Natychmiast schowaj szpadę.

Miał nadzieję, że zaślepiiony wściekłością Francuz dostrzeże własną głupotę i ustąpi. Właśnie dlatego John prawie nigdy nie nosił szpady. Nie rozstawał się z pistoletem, ukrytym pod płaszczem, lecz broń biała najwyraźniej przyciągała awanturników.

- John, nie rób tego - szepnęła Mary, wyraźnie wystraszona. - Cokolwiek masz na sumieniu, zaklinam cię, nie daj się sprowokować!

Nie odwracając się, krzepiąco pogłaskał ją po ręce. Co chciała powiedzieć, gdy wspomniała o jego sumieniu? Co teraz o nim myśli? Do diaska, dlaczego ta parszywa historia musiała wypłynąć akurat wtedy, gdy Mary była bliska przyjęcia jego oświadczyn?

- Mów, szubrawcu! - wydarł się Turgeon. Na jego czole lśniły krople potu. - Nie do dziewczki, tchórzku, lecz do mnie!

John raptownie podniósł głowę.

- To nie jest byle dziewczka, lecz córka angielskiego arystokraty, warta więcej niż tysiąc takich jak ty, Turgeon!

- A ja mówię, że to angielska suka - wychrypiał Francuz i nerwowo poruszył szpadą, kotłując się na nogach. - Ladacznicą, a ty jesteś jej alfonsem, tchórzliwy bękarcie. Teraz wystarczy, Fitzgerald? Dostanę to, czego chcę?

John odetchnął głęboko. Gdyby dał się wciągnąć w następny pojedynek, tym razem w obronie godności swojej i Mary, wówczas ponownie doszłoby do niepotrzebnego rozlewu krwi, może nawet ktoś by zginął. Wiedział, że nie wolno mu do tego dopuścić, skoro przed chwilą wyznał Mary miłość, a ona wspomniała o jego nieczystym sumieniu. Co jednak miał uczynić, skoro powinien bronić jej honoru?

- Nie - oznajmił po długim namyśle. - Dość, Turgeon. Wystarczy, że zginął jeden człowiek. To i tak za dużo.

Pozostali goście wstrzymali oddechy z wrażenia. Odrzucenie takiego wyzwania przez dżentelmena to prawdziwy skandal!

- Niech cię licho, Fitzgerald! - Zirytowany Francuz wybałuszył oczy ze zdumienia. - Jesteś mi to winien!

- Nic ci nie jestem winien, człowieku - odparł John i odwrócił się do Mary.

Chciał znaleźć pociechę i ukojenie w jej ramionach, lecz Mary... znikła. Pomimo skłębionego tłumu dookoła John poczuł się potwornie samotny.

Dwie godziny później Mary ponownie przebywała w swoich komnatach. Zdążyła się przebrać, umyć twarz, wyczesać puder z włosów, lecz zanim położyła się spać, w drzwiach stanęła wyraźnie zirytowana panna Wood.

- Musimy porozmawiać otwarcie, moja panno - zaczęła ostro, spoglądając na Mary. - Nie wyobrażam sobie gorszej sytuacji niż ta, w którą dzisiaj się wplątałaś.

- Ależ panno Wood, przecież John mógł zginąć z ręki tego Francuza, i to na naszych oczach! - zaprotestowała Mary. - To byłoby znacznie gorsze.

Coraz bardziej rozgniewana guwernantka zaczęła nerwowo dreptać po pokoju.

- Zaufałam ci, Mary - przypomniała podopiecznej z wyrzutem. - Pozwoliłam ci na większą swobodę w kontaktach z lordem Fitzgeraldem, bo wierzyłam, że nie nadużyjecie mojej dobrej woli. Tymczasem okazało się, że ten człowiek jest niegodny przebywania w towarzystwie dam. Mary, weszłaś w niestosowne kontakty z tym łotrzykiem. Nie zgadzam się na to.

- To wcale nie jest łotrzyk! - wykrzyknęła Mary. - John to dżentelmen w każdym calu!

- Do czasu, moja panno. Niedługo mogłoby się okazać, że jest zwykłym oszustem.

Mary odwróciła wzrok. Kochała Johna i on ją kochał i pragnął wziąć za żonę. W kieszeni trzymała pierścionek zaręczynowy. Gdyby nie zamieszanie w ogrodzie, wystarczyłyby jeszcze dwie minuty, aby przyjęła oświadczenia.

Gdzie teraz mógł podziewać się John? Co o niej myślał? Pewnie uznał, że uciekła od niego w chwili, gdy najbardziej jej potrzebował. Może nawet uznał, że ukochana kłamie, bo w gruncie rzeczy nie odwzajemnia jego uczuć. A jeśli przyszło mu do głowy, że z taką tchórzliwą pannicą nie warto się żenić?

Tchórz, tchórz, tchórz...

- Przypomnij sobie, do czego przyznał się dziś wieczorem - wycedziła panna Wood. - Wdał się w związek z zamężną kobietą i w ten sposób doprowadził do pojedynku i śmierci niewinnego dzentelmena. Hańba!

- Zapewnił mnie, że pozory mylą - sprzeciwiła się Mary. - Ojciec zawsze powtarza, że każdy kij ma dwa końce, więc także ta historia powinna zostać opisana z innej perspektywy.

Panna Wood znieruchomiła.

- Jego Wysokość nie odnosił się do morderstwa - zauważyła oschle.

- Panno Wood, przypominam, że w wyniku późniejszego dochodzenia lord Fitzgerald został uznany za niewinnego.

- Mary, jeśli pojedynkowanie się weszło temu człowiekowi w krew...

- Ależ panno Wood, John odrzucił wyzwanie! - krzyknęła Mary. - Jakiś dzentelmen na próżno usiłował się z nim pojedynkować. John nie chciał doprowadzić do ponownej, bezsensownej śmierci!

- Moim zdaniem, powinien być bronić twojego honoru, moja panno. - Guwernantka zatrzęsała się z oburzenia. - Zostałaś obrzucona wyjątkowo podłymi obelgami, a on umył ręce. Zebrani w ogrodzie uznali, że widocznie zasłużyłaś na te epitety. Moja podopieczna została publicznie zmieszana z błotem, a żaden dzentelmen nie wstawił się za nią... Och, to nieznośne!

- Wystarczy, że ja rozumiem postawę Johna - podkreśliła Mary. - Jakiś Francuz zamierzał go sprowokować do pojedynku. Sprawa nie miała ze mną nic wspólnego i jestem zadowolona, że nie doszło do przelewu

krwi. John nie dał się wciągnąć w bijatykę i cenię go za to. Cóż honorowego może być w tym, że ktoś umrze z błażego powodu? Nie wybaczyłabym sobie, gdyby zginął przeze mnie.

- Coraz wyraźniej widzę, że ten osobnik rozbudził w tobie niezdrowe uczucia, moja panno. Omotał cię siecią pochlebstw i nieszczerych wyznań, ot co!

- Absurd! - obruszyła się Mary. - Po prostu się o mnie troszczy.

Nieprzekonana guwernantka z powątpiewaniem pokręciła głową.

- Nie wypieraj się prawdy, moja panno. Wiem, co widziałam w ogrodzie i co widzę teraz. Ten człowiek namieszał ci w głowie i dlatego go bronisz, choć zasłużył na potępienie.

- Wcale nie, panno Wood! - zawołała Mary. Guwernantka nie miała pojęcia, że John się oświadczył, a ona zamierzała za niego wyjść. Ta świadomość nieco ją pocieszyła. - John... lord Fitzgerald to dobry człowiek - wyszeptwała.

- Pragnę twojego bezpieczeństwa! - Panna Wood chwyciła Mary za rękę. - Wszystko przeze mnie, jak mogłam pozwolić, żebyś spędzała z nim tyle czasu? Odtąd zaprzestajemy spotkań z tym hultajem. Nie będziesz do niego pisywała, a jego listy odeślemy bez otwierania.

- To okrucieństwo, panno Wood! - zaprotestowała Diana i w desperacji uderzyła pięścią w narzutę.

Mary milczała. Doskonale wiedziała, że gdy guwernantka coś postanowi, żadna siła nie skłoni jej do zmiany decyzji. Mimo to zamierzała dalej spotykać się z Johnem. Nie mogła wykluczyć go ze swojego życia. Jeszcze nigdy dotąd nie zbuntowała się tak otwarcie przeciwko pannie Wood.

- Bynajmniej, Diana - zaprzeczyła panna Wood. - To nie okrucieństwo, lecz konieczność. Po dzisiejszym wieczorze nie ma dla nas miejsca wśród śmietanki towarzyskiej Paryża. Dlatego niezwłocznie wyruszamy do Włoch, najlepiej jutro z samego rana.

- Jutro! - Mary przycisnęła dłoń do ust. Pozostało jej zaledwie kilka godzin na spotkanie z Johnem.

- Tak, jutro - powtórzyła surowo guwernantka. - O świcie Deborah

spakuje rzeczy i zleci przygotowanie powozu do drogi.

- A co ze strażą, wynajętą przez Johna? - spytała Diana niewinnie. - Tak troskliwie zadbał o nasze bezpieczeństwo. .. Musimy powiadomić strażników o wyjeździe.

Panna Wood się zachmurzyła.

- Koniec z przysługami ze strony jego lordowskiej mości. Właściciel gospody zapewni nam inną ochronę. I jeszcze jedno, Mary. Przed wyjazdem napiszę do twojego ojca o wszystkich haniebnych zdarzeniach, do których tutaj doszło. Nie chcę, aby dowiedział się o nich z plotek lub gazet.

- Ja również tego nie chcę, panno Wood. - Mary nie wątpiła, że guwernantka postara się opisać zajście jak najkorzystniej dla siebie i podopiecznych.

- Wobec tego dobranoc, moje panny. - Guwernantka skinęła głową. - Wypocznijcie, bo wstajemy z rana.

Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, Diana natychmiast chwyciła siostrę za rękę.

- Opowiadaj, Mary! - zażądała niecierpliwie. - Czy wyznałaś mu miłość? Och, chcę wiedzieć wszystko!

- Owszem, wyznałam - potwierdziła Mary i odetchnęła głęboko. - Poprosił mnie o rękę.

Diana pisnęła tak głośno, że musiała zastonić usta, aby nie sprowokować panny Wood do powrotu.

- Wiedziałam, że to zrobi! Przyjęłaś oświadczyzny?

- Nie miałam okazji, bo przerwał nam ten okropny monsieur Turgeon.

- Mary wyciągnęła z kieszeni puzderko i pokazała siostrze jego zawartość. - Oto pierścionek zaręczynowy.

Diana zrobiła wielkie oczy.

- Piękny... - wyszeptała z podziwem. - Czemu nie nosisz go na palcu?

- Bo nie miałam okazji przyjąć oświadczyzn - powtórzyła Mary cierpliwie. - Położyłam pudełko na zegarze słonecznym, a podczas zamieszania schowałam je, aby nie zginęło.

- Nie przyjęłaś oświadczyzn, ale zabrałaś pierścionek! - Diana klasnęła

w dłonie. - Będą z ciebie ludzie!

- Teraz muszę spotkać się z Johnem. - Mary sięgnęła po sukienkę. - Zatrzymał się nieopodal, przy Rue Ste. Pierre. Pomóż mi zawiązać gorset.

- Szkoda zachodu, będzie musiał dłużej cię rozbierać - zauważyła Diana, ale pomogła siostrze. - Uciekniesz z nim, aby potajemnie wziąć ślub?

- Co takiego? - zdumiała się Mary. - Nie brałam tej możliwości pod uwagę...

- Powinnaś. Jeśli ktoś się dowie, że idziesz do niego o tej porze, będziesz skończona.

- Wiem - przyznała Mary. - Muszę jednak przeprosić go, że uciekłam. Poza tym chcę przyjąć jego oświadczyzny, może jeszcze mnie zechce.

- Oczywiście, że cię zechce! Jesteś córką księcia i dostaniesz w posagu najmarniej dwadzieścia tysięcy funtów rocznie. To dostateczne powody.

- Najważniejsze, aby mnie kochał i bym ja go kochała - podkreśliła Mary i sięgnęła po pelerynę.

- Chyba jednak nie zmieniłaś się tak bardzo, jak z początku sądziłam. - W oczach Diany zalśniły łzy. - Od razu zauważyłam, że patrzy na ciebie z miłością. Nie zapomnij pierścionka!

Mary pochyliła się i zajrzała pod łóżko. Obraz znajdował się na swoim miejscu, pod materacem. Tam, gdzie go przywiązała.

- Pilnuj mojego anioła - poprosiła siostrę. - Dzisiejszej nocy będzie twoim stróżem. Trzymaj się.

- Ty też - wyszeptwała z przejęciem Diana. - Biegnij do niego, kochaj go i bądź szczęśliwa.

Rozdział trzynasty

John powoli wchodził po schodach, prowadzących do jego pokojów. Intensywnie pił, odkąd opuścił dom madame du Fontenelle, lecz na próżno. Wino nie zdołało wymazać z jego pamięci wspomnień tego wieczoru. O ile jednak potrafiłby opisać najdrobniejsze detale zdarzeń z przyjęcia, o tyle w ogóle nie przypominał sobie Marie Turgeon. A przecież to ona, udając wdowę, doprowadziła wiele osób do rozpacz, stała się sprawczynią cierpienia i bólu.

Westchnął ciężko na wspomnienie słów Mary. Wyznała szczerze, że go kocha, lecz gdy najbardziej jej potrzebował, znikła. Odeszła. Poznała przykrą prawdę i umknęła. Jak miała dzielić z nim przyszłość, skoro nie potrafiła znieść jego przeszłości?

Postanowił, że nie będzie jej nękał. Z pewnością bagaże czekały spakowane, bo wcześniej przestał wiadomość służącemu. Rankiem zamierzał opuścić Paryż i wyruszyć do Calais, a stamtąd do Dover i Londynu. Mary pojedzie na południe, on podąży na północ. Co za ironia losu: ktoś skorzystał z zamieszania w ogrodzie i ukradł pierścionek zaręczynowy. Tak wyglądał żalostny koniec jego pierwszej i ostatniej miłości w życiu.

- Jaśnie panie, jaśnie panie! - Na schodach rozległo się wołanie gospodarza. - Jedno słowo, za pozwoleniem.

John nawet się nie zatrzymał.

- Chcesz mnie uprzedzić, że mam w pokojach karaluchy i szczury? I tak to wiem.

- Nie, jaśnie panie. - Gospodarz puścił cierpką uwagę mimo uszu. - Jaśnie pan ma gościa.

- Człowieku, wpuścisz obcego do moich pokojów? - ostupiał John. - Co cię opętało, u licha?

- Błagała mnie, jaśnie panie. To piękna dama, młoda i ogromnie poruszona...

John nie czekał na dalsze wywody gospodarza. Ogarnęła go szaleńcza nadzieja, że tuż obok, niemal na wyciągnięcie ręki czeka Mary.

Nacisnął klamkę i wpadł do pokoju. Mary gwałtownie zerwała się z krzesła przed kominkiem.

- John - powiedziała cicho. - Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek wrócisz.

- Gdybym wiedział, że czekasz, przybyłbym niezwłocznie.

Gospodarz dyskretnie odchrząknął.

- Jaśnie panie, czy będę jeszcze potrzebny?

- Nie. - John nie odrywał wzroku od Mary. - Możesz odejść, dziękuję.

Mężczyzna zamknął za sobą drzwi.

- Przyszłam cię przeprosić za zachowanie w ogrodzie - wyjaśniła Mary. - Nie powinnam była odchodzić tak nieoczekiwanie. Proszę cię o przebaczenie.

Postanowił powiedzieć jej prawdę, bo nie miał powodu kłamać.

- Gdy się odwróciłem, ciebie nie było - przypomniał ponuro. - Sądziłem, że zostaniesz.

- Też tak uważałam - wyznała. - Zaskoczyło mnie to, co usłyszałam, więc poszłam do panny Wood. Czułam się niepewnie. Guwernantka zabroniła mi spotykać się z tobą i zarządziła natychmiastowy wyjazd z Paryża.

- Ach. - Dlaczego wcześniej nie przyszło mu do głowy, że tak się stanie? Co miał teraz powiedzieć?

- Przepraszam, powinnam była zostać. Postąpiłam tchórzliwie - podkreśliła ze smutkiem.

- Nie mów, że stchórzyłaś - zaprotestował. - To nieprawda. Nie powinnaś też się usprawiedliwiać. Żałuję, że wcześniej nie opowiedziałem ci całej tej smutnej historii.

- Widocznie jeszcze nie byłeś gotowy - oświadczyła krzepiącym tonem. - Czy bardzo... lubiłeś tamtą kobietę? Madame Turgeon?

- Och, Mary... - Pokręcił głową ze smutkiem. - Nic dla mnie nie znaczyła ani ja dla niej. Nie jestem jednak bez winy. Nie zawsze odrzucałem pokusy, jak na przyzwoitego człowieka przystało.

- Już dobrze... Jeśli chcesz, wyznaj mi wszystko, ale i tak nie ma to dla mnie znaczenia. Dźwigasz na sumieniu odpowiedzialność za śmierć człowieka i zniszczone małżeństwo. To ogromny ciężar.

Skąd jego ukochana mogła wiedzieć, jak bardzo męczy go niepotrzebna śmierć człowieka? Czy miała również pojęcie, że kochał ją najbardziej na świecie?

- Powinienem być wystąpić w twojej obronie - zauważył przygnębiony. - Nikt nie ma prawa obrzucać cię obelgami.

- Miałbyś ryzykować z powodu jednego idiotycznego słowa? A gdybyś zabił następnego człowieka? Dobrze wiem, że nie jestem taką osobą, jaką nazwał mnie Turgeon.

Wsunęła rękę do kieszeni i wyciągnęła z niej pierścionek z szafirem.

- Przez cały czas miałaś ten drobiazg. - Odetchnął z ulgą. - Sądziłem, że ktoś go ukradł.

- Nigdy bym do tego nie dopuściła. Pierścionek nadal należy do ciebie, jeszcze mi go nie ofiarowałaś.

- Zatem pozwól, że nadrobię zaległości. - Sięgnął po złote kółko, ukląkł i wziął Mary za rękę. - Zostań moją żoną, a wraz z moją miłością przyjmij wszystko to, co do mnie należy. Czy wyjdiesz za mnie?

- Tak - wyszeptwała. - Tak, John, tak!

Wsunął pierścionek na palec Mary i wstał. Nie był pewien, czy ona pocałowała go pierwsza, czy on ją, lecz czuł, że jeszcze nigdy nie był tak szczęśliwy. Objął ją i przytulił, ale nieoczekiwanie odsunęła go lekko.

- Zaczekaj - powiedziała cicho. - Wyjdę za ciebie, owszem, lecz pod jednym warunkiem.

- Co takiego? - Zamarł zaniepokojony. - O czym ty mówisz, ukochana?

- Chcę wziąć ślub jeszcze tej nocy - oświadczyła, a John odetchnął z ulgą. - Nie zamierzam czekać, aż pojedziesz do Aston Hall prosić mojego ojca o błogosławieństwo. Nie interesują mnie długotrwałe zaręczyny i przygotowania do wystawnego ślubu z tłumem gości. Pragnę zostać twoją żoną natychmiast.

Popatrzył na jej piękną, zaróżowioną z emocji twarz.

- Czy jesteś pewna tego, co mówisz, ukochana?

- Oczywiście - odparła, jak zwykle z przekonaniem. - Wiem, że wywołam następny skandal, ale jestem taka szczęśliwa, że nic mnie to nie obchodzi.

- Masz rację, wybuchnie skandal - potwierdził i pokiwał głową. - I to jaki. Czy na pewno jestem tego wart?

Uśmiechnęła się promiennie i pocałowała go w usta.

- Jesteś wart każdego skandalu - podkreśliła zdecydowanie.

- Na pewno masz świadomość, że ojciec pozbawi cię posagu, a także spadku - zauważył ostrożnie i nagle zrozumiał, że kocha Mary tak bardzo, iż mógłby ją wziąć za żonę, nawet gdyby nie miała grosza przy duszy. - Czy z mojego powodu warto rezygnować z Aston Hall i towarzystwa siostry?

- Ojciec zawsze mi powtarzał, żebym robiła to, co mnie uszczęśliwi - wspomniła. - Ty jesteś moim szczęściem, nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Otworzymy galerię obrazów w Rzymie, zyskamy sławę świętych marszandów. Ty i ja, partnerzy i małżonkowie!

- Moja kochana, odważna Mary - rozczulił się. - Nie musimy jechać aż do Rzymu, aby otworzyć galerię.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Ale ja jestem spragniona przygód - przypomniała narzeczonemu. - W Paryżu z pewnością znajdziemy jakieś miejsce, gdzie od razu można wziąć cichy ślub.

- Spróbujemy coś zaaranżować, najdroższa. - Ponownie ją pocałował i zadzwonił po służącego, który spał w sąsiednim pokoju. Mężczyzna zjawił się momentalnie, rozespany, ale ubrany, gdyż cierpliwie czekał na powrót Johna. - Zejdiesz do gospodarza i powiesz mu, aby obudził doktora Penningtona. Przekaż mu, że chodzi o sprawę najwyższej wagi. Niech tu przyjdzie razem z gospodarzem.

- Kim jest doktor Pennington? - spytała Mary, gdy tylko służący opuścił pomieszczenie. - I do czego nam potrzebna obecność właściciela gospody?

- Doktor Pennington jest powszechnie szanowanym duchownym, obecnie w drodze z Lancastershire do Rzymu, gdzie zamierza zgłębiać

historię pierwszych chrześcijan. - John wziął Mary za rękę. - Poznałem go wczoraj i sądzę, że to właściwa osoba, aby dać nam ślub.

- Mam myśl. - Mary wyrwała rękę z uścisku Johna i ściągnęła pierścionek z szafirem. - To się nada na obrączkę.

Przycisnął do ust dłoń Mary.

- Jak to dobrze mieć praktyczną żonę!

- Jeszcze nieraz cię zaskoczę - zapowiedziała z uśmiechem.

Zaśmiał się, przekonany, że Mary ma słuszość.

Dziesięć minut później stanęli przed obliczem doktora Penningtona. Duchowny wydawał się nieco zaspany, miał na sobie karmazynowy szlafrok i jedwabną szlafmycę, a w dłoniach trzymał otwartą książeczkę do nabożeństwa. U boku pastora stała jego żona, a nieco dalej gospodarz i służący Johna, jako świadkowie.

- Wasza lordowska mość, czy decyzja o ślubie jest ostateczna? - spytał niepewnie. - Sytuacja wydaje się nader niecodzienna. Ojciec lady Farren mógłby kwestionować legalność ceremonii...

- Mój ojciec byłby bardziej zbulwersowany, gdybym nie wyszła za mąż - odezwała się Mary. - Wystarczy, że się dowie, iż przyjechałam do Paryża z lordem Fitzgeraldem nie jako jego żona, lecz...

- Tak, to wyjaśnienie w zupełności mnie satysfakcjonuje - pośpiesznie zapewnił ją duchowny. - Zaczynamy?

John po raz drugi tej nocy podniósł dłoń Mary i wsunął jej na palec pierścionek.

Doktor Pennington odchrząknął.

- Zgodnie ze zwyczajem, wasza lordowska mość może teraz pocałować żonę.

Mary pragnęła jak najlepiej zapamiętać tę chwilę. John miał poważną minę i w skupieniu przypatrywał się świeżo poślubionej małżonce. Poruszona, uśmiechnęła się do niego, a on odwzajemnił uśmiech.

- Moja żono - wyszeptał i pochylił się, by ją pocałować. - Nareszcie mogę wypowiedzieć te słowa. Ukochana...

Roześmiała się przez łzy i zarzuciła mężowi ręce na szyję.

- Doskonale, wasza lordowska mość - oświadczył zadowolony doktor

Pennington. - W takiej sytuacji pozostaje mi tylko poczęstować wszystkich tu obecnych moją nalewką. Wypijmy za zdrowie i pomyślność młodej pary. Dla porządku prosiłbym tylko szanownych państwa o podpisanie się pod aktem ślubu.

Gdy formalności stało się zadość, wszyscy chętnie uraczyli się pomarańczowym likierem, a Mary posłusznie nadstawiła policzek do ucałowania przez gości. Podróż poślubna trwała krótko i zakończyła się pod drzwiami pokoiów Johna, gdzie pan młody nieoczekiwanie wziął żonę na rękę. Pисnęła zaskoczona i ze śmiechem przytuliła się do mocnych ramion męża, który przeszedł przez próg i nogą zamknął za sobą drzwi, a następnie przeniósł żonę do łóżka i położył się przy niej, podpierając głowę ręką.

Mary popatrzyła mu w oczy. Teraz już nie było odwrotu. Dokonała jednego z najważniejszych w życiu wyborów i czuła się z tego powodu szczęśliwa. John delikatnie musnął palcami jej rękę.

- Będzie ci ze mną najlepiej na świecie - oświadczył uroczyście.

- Jestem tego pewna, tylko nie przerywaj. - Poruszyła się tak, aby znaleźć się bliżej męża. - Naucz mnie wszystkiego, co sam umiesz.

Rozwiązał wstążkę sukni i pomógł Mary wysunąć ręce z rękawów. Ukłękła, aby uwolnić się od halki. Po chwili całe ubranie wylądowało na podłodze. Gdy Mary ponownie się położyła, plecami do Johna, pogłaskał nagą skórę jej biodra i pocałował ją w szyję.

- Chcesz, żebym cię uczył? Proszę bardzo.

Dotknął jej talii i pogłaskał krągłe biodra. Za każdym razem, gdy ją pieścił, delikatnie się przysuwał, aż wreszcie jej pośladki przywarły mocno do jego lędźwi. Poruszyła się niecierpliwie.

- No proszę, nauczyłaś się już odpowiednich ruchów - pochwalił ją John. - Nic dziwnego, że chciałem się z tobą ożenić. Jesteś bardzo zdolną uczennicą.

Odetchnęła głęboko, gdy jego dłonie powędrowały ku jej piersiom.

- Masz doskonały biust - oświadczył. - Nie za duży, nie za mały. Mój ulubiony rozmiar.

- Podoba mi się to, co robisz - wyszeptała.

Czuła się jak w Chantilly, tylko tysiąc razy lepiej, gdyż nie musiała walczyć z wyrzutami sumienia ani myśleć o konsekwencjach. Mogła delectować się rozkosznym napięciem, które narastało w jej ciele.

- Świetnie sobie radzisz - nie ustawał w pochwałach John. - Masz wrodzony talent.

- Pragnę cię, John - szepnęła, gdy jego dłonie przesunęły się z piersi na brzuch.

- Wiem, słonko. Ja ciebie również.

Pośpiesznie ściągnął ubranie i ponownie przywarł do nagiej Mary.

- Chcę widzieć twoją twarz - wyznał i odwrócił ją ku sobie. Rozpalona z pożądania patrzyła, jak John rozchyła jej uda. Lekko uniosła biodra i głośno westchnęła, gdy ją wziął. Jednocześnie przygotowała się na ból, bo wiedziała, że przy pierwszym razie to zupełnie normalne.

- Odpręż się, Mary - polecił spokojnie. - Nie odsuwaj się ode mnie. To twoja chwila, korzystaj z niej.

Nigdy dotąd nie doświadczyła takiego uczucia, lecz nie było ono bolesne, a niezrównanie rozkoszne. Zakołysała gościnnie biodrami.

- Pierwszorządnie. - John nie ustawał w pochwałach. - Poruszaj się jednocześnie ze mną.

W krótkim czasie podporządkowała się jego rytmowi.

- Popatrz na mnie, Mary - szepnął. - Chcę widzieć, jak stajesz się moją żoną...

- John... Nie mogę przestać...

- Nie przestawaj - wydyszał. - Nigdy nie przestawaj... Gdy szczytowała, wykrzyknęła jego imię. John dostąpił rozkoszy zaraz po niej i po chwili oboje spoczęli nieruchomo obok siebie.

- Kocham cię - wyznała cicho. Pocałowała Johna w ramię i poczuła na języku słony smak skóry.

- Moja Mary. - Przyciągnął ją do siebie. - Ja też cię kocham.

Uśmiechnęła się ze świadomością, że jej życie nieodwracalnie się zmieniło. Być może tej nocy zostało poczęte ich dziecko, największe błogostawieństwo związku kobiety i mężczyzny.

John dotknął jej policzka.

- Czy jesteś szczęśliwa, ukochana?

- Och tak - szepnęła. - Nie do opisania.

- Ja również, najdroższa - podkreślił łagodnie. - Ja również.

- Och, John, nie miałam pojęcia, że jest tak późno - zaniepokoiła się Mary, zauważywszy zegar nad drzwiami zegarmistrza. W dłoniach trzymała okazały bukiet białych róż, przewiązany błękitną wstążką - swój pierwszy podarunek od męża.

- Za moment dotrzemy na miejsce - uspokoił ją John. - Twoja gospoda jest za rogiem. Pomyśl tylko, ile radości miała Diana, gdy oświadczyła panie Wood, że tym razem ty okazałaś się złą siostrą.

- Nie złą, John, tylko spragnioną przygód. - Nagle jej twarz stężała. - W naszej gospodzie zdarzyło się coś złego - wykrztusiła zaniepokojona. - Na schodach roi się od żołnierzy. Oby tylko Diana i panna Wood były całe i zdrowe...

Oboje pośpiesznie wyskoczyli z powozu, nie czekając, aż woźnica postawi podnózek.

- Co się stało? - spytała Mary po francusku żołnierza u wejścia do budynku. - Tam jest moja rodzina!

- Jestem lord John Fitzgerald, a to moja żona - oznajmił John. - Jej siostra zatrzymała się w gospodzie...

- Nikt nie wchodzi, monsieur. Trwa dochodzenie w sprawie porwania dwóch angielskich dam...

- Co takiego? - Mary chwyciła Johna za rękę. - Jak się one nazywają? Żołnierz pokręcił przecząco głową.

- Mogę tylko ujawnić, że to córki angielskiego księcia Aston.

- To mój ojciec! - krzyknęła Mary.

- Mary! - zawołała panna Wood i wybiegła z gospody.

- Usłyszałam twój głos, co za szczęście, że nic ci nie jest! Gdzie Diana?

- Nie ma jej z nami, panno Wood - odparł John i zaprowadził obie panie do budynku, z dala od ciekawskich spojrzeń. - Teraz może pan powiedzieć, co się zdarzyło - zwrócił się do żołnierza.

- To oczywiście, że damy porwano dla okupu - wyjaśnił z ważną miną. - Czekamy na list z żądaniami porywaczy.

Panna Wood nie potrafiła opanować drżenia głosu.

- Może Diana się znajdzie? - wykrztusiła. - Może tylko poszła na spotkanie z dżentelmenem? Tylko z którym, skoro nie zna francuskiego?

- Wczoraj rozmawiała z hrabią de Archambault - zauważył John. - Siedziała w jego towarzystwie przy kominku.

- Hrabia de Archambault to ważna osobistość, monsieur

- odezwał się żołnierz. - Z pewnością nie ma nic wspólnego z porwaniem.

Mary wymownie popatrzyła na Johna.

- Kiedy pani to odkryła? - Spojrzała na pannę Wood.

- Dzisiaj rano, gdy poszłam was obudzić na śniadanie. Ach, co to był za straszny widok! Nie było moich dziewcząt, a cały pokój zdemolowany!

- Anioł - wyszeptała Mary. - John, szybko na górę! Oboje pobiegli do pokoju i minęli następnego żołnierza, czuwającego przy drzwiach.

Wewnątrz panował upiorny bałagan, podobny do tego, jaki widzieli w Chantilly. Mary z miejsca zajrzała pod materac. Obraz znikł. Zakotłosała się na piętach, jakby miała zemdleć.

- Ukradli mojego anioła - wykrztusiła.

- Mają obraz i twoją siostrę - dodał John. - W drogę, Mary. Musimy jak najszybciej dotrzeć do hrabiego de Archambault.

Rozdział czternasty

Hrabia de Archambault siedział tak blisko kominka, że zbłąkane iskierki spadały mu na gruby wełniany pled, którym okrył nogi. Tak teraz wyglądało jego życie: mógł siedzieć w płomieniach i nie czuć ciepła. Zupełnie jakby grobowy chłód już wyziębiał mu kończyny. Na domiar złego potworny ból brzucha kąsał jego wnętrzności niczym wygłodniały kundel. Hrabia wiedział, że jego dni, a może nawet godziny, są policzone. Musiał się pogodzić z tym, co nieuchronne.

Popatrzył na obraz i wydało mu się, że Madonna się do niego uśmiecha. Odwzajemnił uśmiech i unióś drżącą dłoń, aby przyjąć błogostawieństwo Niepokalanej. Z pewnością wiedziała, jakie wydał polecenia, niewątpliwie sprawił jej radość. Dzięki niemu jej wizerunek ponownie połączy się z obrazem, zaginionym przed tylu laty..

Na ulicy rozległ się stukot końskich kopyt i terkot kół powozu. Pojazd zatrzymał się przed drzwiami domu. Arystokrata pomyślał, że jego marzenie nareszcie się spełnia.

- Szybciej, durniu, dawaj tutaj ten obraz! - krzyknął zniecierpliwiony do służącego.

Wystraszony lokaj ukłonił się i wybiegł z pokoju, aby po chwili zjawić się z zawiniątkiem pod pachą.

- Rozwijaj, psiakrew! - wychrypiał hrabia. Służący wykonał polecenie i podniósł obraz.

- Oto on! - wymamrotał Archambault. - Anioł Niepokalanej! Odwróć go. - Lokaj wykonał polecenie. Namalowany krajobraz Florencji, który pasowałby do pozostałych dwóch części tryptyku, już dawno temu znikł. W jego miejscu pozostało jedynie surowe drewno, pokryte jakimiś bazgrołami.

- Zerwij ramę, tylko nie uszkodź obrazu - rozkazał Archambault. - Delikatnie, kretynie!

Lokaj z łatwością oderwał ramę i suchą szmatką odkurzył obraz.

- No proszę. Nareszcie wolny. Teraz umieść go tam, gdzie jego miejsce, u boku Najświętszej Marii Panny.

Służący zamocował temperę na zawiasach większego obrazu.

- Coś podobnego - wyszeptał z nabożną czcią. - Tyle lat, a pasują jak ulał.

- Oto cuda tego świata - ogłosił Archambault z podziwem.

Poczuł, jak jego ciało staje się lekkie, jakby Matka Boska już go do siebie powoływała i odpuszczała mu wszystkie grzechy.

- Proszę o wybaczenie, jaśnie panie, ale co z dziewczyną? - zapytał lokaj.

- Z jaką znowu dziewczyną?

- O, tą. - Służący pokazał palcem nieprzytomną kobietę, przerzuconą przez ramię innego lokaja, który stał na progu. - Zastaliśmy ją w pokoju z obrazem. Groziła, że zacznie krzyzczeć, więc ją uciszyliśmy, ale żyje, bo chcieliśmy ją jaśnie panu pokazać.

- Dziewczyna - rozmarzył się Archambault. - Dawajcie ją tu.

Jeszcze nie tak dawno temu skwapliwie skorzystałby z okazji do zabawy: kazałby ją przywiązać do słupków przy łóżku i z zapalem wykorzystałby ją psychicznie i fizycznie. Wzięłby ją za jej przyzwoleniem lub bez niego, bo zawsze lubił znęcać się nad ofiarami. Cóż, tamte czasy minęły.

Służący bezceremonialnie rzucił dziewczynę u stóp hrabiego.

- Durniu! - rzekł hrabia. - To nie byle dziewczka, lecz córka angielskiego księcia. Uśpiliście ją?

- Znaleźliśmy odpowiednie medykamenty w powozie, zachowały się sprzed lat. Wkrótce dojdzie do siebie, jaśnie panie.

Archambault przywołał wspomnienie czasów, gdy wysyłał służących, aby porywali z ulic lub parków niewinne dziewczęta i przywozili je do zabawy dla niego i jego przyjaciół.

- Połóżcie ją na kanapie.

- Może ją gdzieś wywieziemy i zostawimy na widoku w publicznym miejscu? Ktoś by ją znalazł i odwiózł gdzie trzeba. Kiedyś tak robiliśmy.

- Nic z tego. Tej będą szukać.

Przypomniał sobie, że dziewczyna mu się przedstawiła. Diana. Miał mało czasu, więc przestał się nią interesować i ponownie wbił wzrok w tryptyk.

- Idźcie już - polecił służbie.

Lokaje wyglądali na skonsternowanych.

- Za pozwoleniem, jaśnie panie, a jeśli ona się obudzi?

- To będzie obudzona - zirytował się Archambault. - Precz.

Zapatrzony w obraz, stracił rachubę czasu. Ocknął się z zamyślenia dopiero wtedy, gdy Diana drgnęła i głośno jęknęła. Za oknem świeciło słońce.

- Gdzie jestem? - wymamrotała. - Kim pan jest?

- Hrabia de Archambault. Wczoraj się poznaliśmy, jesteś u mnie w domu.

- Czemu? - zdumiała się. - Jak to się stało?

- Zadajesz zbyt dużo pytań.

- Zaraz, zaraz. - Diana się zawahała. - Pan jest tym starym, chorym dżentelmenem z przyjęcia.

- Do usług.

Musiał przyznać, że dziewczyna nie zachowywała się tchórzliwie. Z ciekawością rozejrzała się po pokoju i dostrzegła anioła.

- To obraz mojej siostry - zauważyła. - Teraz wszystko sobie przypominam. Jacyś mężczyźni weszli przez dach do naszego pokoju...

- Weszli po obraz z aniołem - potwierdził. - Tak się składa, że to moja własność, nie twojej siostry. Tak wygląda ołtarz Feroceuszy, moje dziecko. Przez trzysta lat pozostawał podzielony, dopiero teraz sprawiłem, że znowu jest w całości.

- Moja siostra słono zapłaciła za tego anioła, a pan hrabia zwyczajnie go ukradł.

Archambault ze zgrozą patrzył, jak Diana podchodzi do tryptyku i zabiera się do odczepiania fragmentu z aniołem.

Bez wahania sięgnął pod poduszkę na fotelu, wyjął pistolet i wycelował w Dianę.

- Stoję nad grobem, moja droga - wycedził. - Twoja śmierć nie będzie

mi długo ciążyła na sumieniu. Obraz zostaje tam, gdzie jego miejsce.

- Jego miejsce jest u mojej siostry - zaproponowała Diana, ale cofnęła ręce i wbiła wzrok w starca, jakby chciała go sprowokować, lecz w tej samej chwili ktoś załomotał do drzwi wejściowych. Archambault usłyszał, że jego służący awanturują się z kimś obcym, zabrzmiały podniesione głosy i rozległ się stukot kroków.

Diana uśmiechnęła się triumfalnie.

- To moja siostra - oznajmiła buńczucznie. - Wiedziałam, że po mnie przyjdzie. Po mnie i po anioła!

- Monsieur, to dom hrabiego de Archambault! - wycedził lokaj. - Tutaj nie wchodzi się jak do byle gospody!

- Hrabia nas oczekuje - odparł John i przepchnął się obok służącego. Mary weszła za nim, jakby nigdy nic. - Nie trzeba nas anonsować.

- Tak nie można, monsieur! - wykrzyknął służący i podreptał za gośćmi po schodach. - Jest zbyt wcześnie! Pan hrabia jest chory, umierający! Litości, monsieur!

- Skoro umiera, nie mamy czasu do stracenia. Za mną, Mary - oznajmił John. - Z ulicy widziałem, że okna na parterze są zaciągnięte zasłonami, lecz w pokojach palą się świece.

Po chwili John załomotał do drzwi.

- Proszę otworzyć! - wrzasnął.

- Diano, jesteś tam?! - zawołała Mary.

John nie czekał na odpowiedź. Wyciągnął z kieszeni pistolet i stanowczym ruchem otworzył drzwi.

- John, uważaj! - krzyknęła Diana. - On jest uzbrojony!

- Lepiej jej posłuchaj, John - potwierdził Archambault słabym, skrzekliwym głosem.

W innych okolicznościach Mary nie poznałaby go, tak bardzo zmienił się przez ostatnich kilka godzin. Miał spiętą twarz, błędne spojrzenie, jego ciało wyglądało tak, jakby zapadło się w sobie. W ręku trzymał pistolet o długiej lufie i celował w Dianę.

- Bądźże rozsądny, John - powiedział. - Rzuć broń, bo zastrzelę dziewczynę.

- Zrób to - szepnęła Mary. - Nie wolno nam narażać Diany.

John pokręcił głową z dezaprobatą.

- Nie wydaje mi się... - zaczął, lecz urwał, widząc groźne spojrzenie żony.

- Ona tu jest przeze mnie - zauważyła Mary. - Nie mam prawa jej w to mieszać.

John z ciężkim sercem położył broń na ziemi.

- To ty miałaś mojego anioła. - Archambault z ciekawością zerknął na Mary. - Dobrze go strzegłaś.

- On zabrał obraz wtedy, gdy mnie porwał - odezwała się Diana. - Sama popatrz.

Mary odwróciła się i wstrzymała oddech. Razem z resztą tryptyku anioł wydawał się kompletny, wyraźnie stanowił element większej kompozycji. Surowość oblicza anioła kontrastowała ze słodczą twarzą Madonny.

Trzecia deska nie była tak silna w wymowie, jak pozostałe dwie, lecz Mary słusznie zgadła, co będzie przedstawiała: klęczącą rodzinę z trzema córkami i dwoma synami. Wszyscy mieli jastrzębie oblicza młodej kobiety z portretu w Palais du Luxembourg.

- Feroceusze - domyśliła się. - Anioł był elementem ich ołtarza.

- Moi przodkowie - przytaknął Archambault z dumą. - Na przedzie znajduje się najstarsza córka, Isabella. Tylko ona okazała się na tyle sprytna, żeby uciec przed Francuzami do Francji. Wyszła za Archambaulta, jest pochowana w rodzinnym grobowcu. Isabella miała Madonnę, lecz tylko ja szukałem pozostałych obrazów. Z powodzeniem, jak widać.

Mary pomyślała, że odtworzenie tryptyku kosztowało wiele ludzkich istnień. Czy Fra Pacifico namalowałby to piękne dzieło, gdyby zawczasu poznał jego historię?

- Odnalazłem obrazy Niepokalanej - zaskrzeczał Archambault gorączkowo. - Z pewnością ją zadowolilem.

Hrabia do tego stopnia skupił uwagę na obrazach, że najwyraźniej zapomniał o obecności obcych osób. John powoli się pochylił, aby

podnieść pistolet. Mary wstrzymała oddech.

- Moja Madonno... - wychrypiał gasnącym głosem hrabia. -
Sprawiłem, że jesteś taka jak dawniej. Poświęciłem się dla ciebie, teraz
proszę cię o wybaczenie. Uwolnij mnie od bólu...

John odepchnął Dianę na bok, chwycił pistolet z podłogi i wycelował
go w starca.

- Teraz kobiety stąd wyjdą - oznajmił. - Moja żona zabierze obraz z
aniołem.

- Tylko nie to! - krzyknął rozwścieczony Archambault i potrząsnął
bronią. - Niepokalana mi tego nie wybaczy!

- Mary, wynieś obraz. - John nie spuszczał oka z chorego hrabiego. -
Jest twój.

Mary powoli podeszła do tempery.

- Nie dopuszczę do świętokradztwa - wyszeptał Archambault. Po jego
twarzy spływały strużki potu. - Nie zrobicie tego Matce Boskiej, nie
skrzywdzicie mnie.

Z największym trudem uniósł pistolet, wycelował go w siebie i
wystrelił. Sypialnię wypełnił smród prochu.

- Nie patrz! - zawołał John, lecz zbyt późno.

Mary ujrzała rozprysnięte, krwawe szczątki głowy szóstego hrabiego
de Archambault. Wstrząśnięte siostry przytuliły się do siebie, a John
opiekuńczo otoczył je ramionami. Jak zahipnotyzowani wpatrywali się w
upiorny widok. Siła wystrzału przewróciła fotel nieszczęsnego
arystokraty, którego zwłoki spoczęły na podłodze niczym porzucona
lalka. Krople krwi i fragmenty mózgu ściekały z kominka i z sykiem
wpadały do ognia.

Po drugiej stronie pokoju Madonna uśmiechała się łagodnie.

Wiele godzin później panna Wood postodziła herbatę i ciężko
westchnęła, spojrzawszy na Mary i Johna.

- Nadal nie rozumiem, jak mogliście coś takiego uczynić. Jesteście
małżeństwem?

- Tak jest, panno Wood. - John z dumą wziął Mary za rękę. -
Wzięliśmy ślub wczoraj w nocy.

- Ale gdzie? - spytała surowo guwernantka. - I gdzie znaleźliście anglikańskiego pastora? To nie do wiary.

- Na szczęście w mojej gospodzie zatrzymał się pewien niestęchający uprzejmy pastor, który poszedł nam na rękę - odparł spokojnie John.

- Poza tym to ja nie chciałam czekać - wtrąciła się Mary. - Biorąc pod uwagę żar naszej namiętności, wolałam pośpieszyć się z ceremonią.

- Żar namiętności? - Panna Wood powoli zrozumiała sens słów podopiecznej i nagle się zarumieniła. - Czy to znaczy, że małżeństwo... zostało skonsumowane?

Mary skinęła głową i również się zaczerwieniła.

-Zatem faktycznie jesteście pełnoprawnym małżeństwem. - Panna Wood przycisnęła dłoń do policzków i zamknęła oczy. - Rety, co ja napiszę w liście do Jego Księżęcej Mości?

- Proszę napisać, że lady Mary Farren zakochała się w pierwszorzędnym dżentelmenie - poradził John. - A ponieważ dżentelmen kocha lady Farren nad życie, nie było powodu, aby zabraniać im ślubu.

Załamana panna Wood pochyliła głowę nad filiżanką herbaty.

- Jeśli w drodze do Włoch Diana zamierza narobić mi tyle kłopotów co ty, moja panno, to zapowiada się naprawdę trudna podróż!

- Och, panno Wood - Mary uśmiechnęła się do Johna -podróż nie będzie trudna, tylko... pełna przygód!

Postówie

Nie możesz podglądać! - ostrzegł John, gdy zasłonił Mary oczy i prowadził ją do pokoju, w którym się zatrzymali. Postanowili pozostać w Paryżu jeszcze przez dwa tygodnie po ślubie.

Panna Wood i Diana podążyły w dalszą drogę do Włoch. Następnego dnia państwo młodzi również wybierali się na południe Europy. - Chcę cię zaskoczyć!

- Z całą pewnością to ci się uda. - Mary się zaśmiała, rozbawiona sytuacją.

- Jesteśmy prawie na miejscu. - Zatrzymał się i odsunął dłonie od jej twarzy. - Teraz otwórz oczy.

Posłusznie wykonała polecenie i z wrażenia głęboko odetchnęła. Tuż przed nią, na kredensie stał kompletny ołtarz Feroceuszy.

- Pozostałe dwa elementy odkupiłem od spadkobierców Archambaulta - wyjaśnił pośpiesznie John. - Żaden z nich nie czuł się związany z tym dziełem i, podobnie jak twoja siostra, uważali je za szkaradne brzydactwo. Z ulgą i radością pozbyli się go za rozsądną cenę.

- Och, John, tylko ty mogłeś wiedzieć, ile dla mnie znaczy ten tryptyk! - wykrzyknęła wniebowzięta. - Ofiarowałeś mi najpiękniejszy prezent, o jakim mogłam marzyć! John odetchnął z ulgą.

- Bałem się, że nie przypadnie ci do gustu - wyznał.

- Doskonale wiesz, jak mi sprawić przyjemność. - Pocałowała go przelotnie i ponownie skierowała wzrok na arcydzieło. - Cieszę się, że anioł dołączył do pozostałych dwóch obrazów. - Ostrożnie odwróciła tryptyk, aby przyjrzeć się jego tylnej stronie. - Na rewersach pierwszych dwóch elementów widnieją namalowane na dodatkowych deskach krajobrazy z Florencji, takie jak te, które widzieliśmy w Chantilly. Kto wie, jaki los spotkał obraz z rewersu mojego anioła?

- Pamiętasz, jak uznaliśmy, że te znaki skrywają wielką tajemnicę? - przypomniał sobie John. - Teraz mógłbym się założyć, że to tylko notatki stolarza, który przepiłował deski.

- Kto wie? - Mary się pochyliła. - Dziwne. Spójrz, w tym miejscu, między drzewami widnieje jakiś napis. To chyba łacina, nie włoski, prawda? Szkoda, że na życzenie mojego ojca panna Wood nie uczyła nas ani łaciny, ani greki.

- Każdy irlandzki uczeń musi znać łacinę - oświadczył John i pochylił się nad obrazem, aby przetłumaczyć tekst. - „Dla niegodziwych nie ma...”, to napis na pierwszej desce „... złota w królestwie...”, to tekst z drugiej.

- Czy napisy na awersie tempery z aniołem mogą być częścią tego zdania? - zapytała Mary podekscytowana.

- *Celiae*. Niebieskim. - John nie posiadał się ze zdumienia. - Mary, jak mogliśmy to przegapić! To oczywiste: „Dla niegodziwych nie ma złota w Królestwie Niebieskim”! Ciekawe, kto odważył się napisać coś podobnego na obrazie zamówionym przez tych drani, Feroceuszy.

- Może Fra Pacifico nie przejmował się opinią swoich mecenasów. John prychnął z powątpiewaniem.

- Gdyby ich obraził, straciłby życie.

- Och, John, już wiem! Wiem, co oznacza ten napis! -zawołała Mary, przekonana, że rozwiązała zagadkę. - Jestem pewna, że sporządził go ktoś, komu nie udało się znaleźć złota Feroceuszy!

- To bardzo prawdopodobne, moja ty mądralo. - John popatrzył na żonę z uznaniem. Rzeczywiście, pełne goryczy słowa mogły być wynikiem frustracji lub rozczarowania. - Mówiłem, że złoto znikło na zawsze, o ile w ogóle kiedyś istniało.

- Nawet Feroceusze nie mogli go zabrać na tamten świat, a już na pewno nie do nieba, bo tam nie trafili. - Mary znowu odwróciła obraz i popatrzyła na grupę klęczących arystokratów. - Spójrz, malarz bardzo się starał, a ci ludzie i tak wyglądają jak zgraja rzezimieszków. Jak Archambault mógł twierdzić, że jestem podobna do tej kobiety?

Jej słowa rozbawiły Johna.

- Podobno dorównywała ci inteligencją - zauważył. - I obie znalazłyście mężów w Paryżu.

- Och, daj spokój. - Mary żartobliwie klepnęła go w dłoń. - Powiem ci,

na co mam dzisiaj ochotę.

- Zamieniam się w słuch.

- Archambault wspomniał, że Isabella została pochowana w rodzinnym grobowcu. Znajdźmy go. Co ty na to?

John się wzdrygnął.

- Nasz ostatni dzień w Paryżu chcesz spędzić na poszukiwaniach grobu?

- Tak. - Mary nie miała wątpliwości. - Znaleźliśmy obraz Isabelli, teraz powinniśmy odszukać jej grób.

Bez trudu dowiedzieli się, gdzie spoczywają zmarli z rodu Archambault. Niedawna śmierć ostatniego hrabiego i jego wystawny i głośny pogrzeb, sprawiły, że wszyscy na wypródki chcieli opowiadać o ohydnych i bulwersujących praktykach całej rodziny arystokratów. Nowy hrabia, kuzyn zmarłego, pochodził z Prowansji i uważano go za nudnego świętoszka.

- Spodziewałam się czegoś bardziej imponującego - wyznała Mary, gdy stanęli przed starym, niepozornym kościołem pod wezwaniem świętego Jakuba. - Naprawdę tutaj spoczywają szczątki członków rodu Archambault?

- Dziwne, że na dachu nie tańczą upiory i strzygi - zauważył John. - Ta rodzina to łakomy kąsek dla potworów.

Mary westchnęła.

- John, proszę cię, abyś darował sobie tego typu dowcipy. Więcej szacunku.

- Masz rację - zgodził się. - Zwłaszcza że te monstra mogłyby zacząć mnie nawiedzać.

W małym kościele bez trudu znaleźli grobowce Archambaultów. Część z nich znajdowała się pod podłogą, inne, bardziej imponujące, zostały ozdobione marmurowymi pomnikami. Grób ostatniego hrabiego był prosty, gdyż od pogrzebu upłynęło niewiele czasu i krewni nie zdążyli jeszcze zamówić dekoracji.

- Tu jest - oświadczyła Mary na widok miejsca spoczynku Isabelli.

Marmurowy grób znajdował się w niewielkiej wnęce.

Posąg kobiety, spoczywającej na plecach, z dłońmi złożonymi do modlitwy, zdobił ciężki sarkofag. Rzeźbiarz uwidoczniał wszystkie szczegóły dworskiej sukni, łącznie z biżuterią i kręconymi włosami. Isabella żyła siedemdziesiąt pięć lat, lecz jej twarz wyglądała tak jak na portrecie w Pa-lais du Luxembourg.

- „Isabella Marie de Archambault, żona Geralda” - odczytał John. - Brakuje choćby wzmianki o tym, że wywodziła się z Feroceuszy.

- Jej trumna pewnie spoczywa w środku - zauważyła Mary półszeptem.

Na sarkofagu widniały sceny z życia bogatej arystokratki: polowanie, taniec, rozmowa z damami, koncert. Na próżno by jednak szukać tam kogoś z jej rodziny, na płaskorzeźbach brakowało jej licznych dzieci czy choćby psa albo kota. Zupełnie jakby zmarła chciała dać do zrozumienia, że nigdy nikogo nie kochała i nie oczekiwała miłości.

- Wygląda na to, że tej kobiecie wystarczało bogactwo i władza - zauważył John.

- Dlatego znalazła sobie takiego męża. - Mary roztarła ramiona. Przenikliwy chłód kościoła stawał się trudny do wytrzymania. - Jak kobieta może żyć bez miłości?

- Ona w niczym nie przypominała ciebie, kochanie. - John pokręcił głową.

Mary wzięła męża za rękę.

- Zaznałam przy tobie tyle szczęścia, że nie wyobrażam sobie innego życia.

- Bardzo się cieszę - odparł John. Nagle cicho gwizdnął. - Spójrz tutaj. To przecież centralny element tryptyku.

Na końcu sarkofagu, pod głową pomnika widniała płaskorzeźba Matki Boskiej, takiej samej jak ta, którą namalował Fra Pacifico. Isabella bez wątpienia użyczyła obrazu rzeźbiarzowi, aby mógł go wiernie odtworzyć.

- Obraz musiał wiele znaczyć dla Isabelli, skoro pragnęła mieć go zawsze przy sobie. - Mary delikatnie przesunęła chustką po zakurzonym obliczu z marmuru. - Ciekawe, czy przed śmiercią żałowała za grzechy, tak jak Archambault.

- Lepiej wytłumacz mi, kochanie, co oznacza ten przedmiot.

John pochylił się i zajrzał pod głowę posągu. Pod kamienną poduszką znajdowała się wyrzeźbiona szkatuła, wraz z paskami i zamkami. Na jednym z nich widniała łacińska inskrypcja, napisana tak drobnymi literami, że większość ludzi nie miała szansy jej dostrzec.

Mary i John nie należeli do większości.

- „Dla niegodziwych nie ma złota w Królestwie Niebieskim” - przetłumaczył John.

- Czy myślisz o tym samym co ja? - zapytała Mary.

- Myślę, że Isabella zabrała ze sobą do grobu złoto Feroceuszy. Skarb spoczywa wraz z nią, w trumnie.

- Może sądziła, że złoto zapewni jej spokój, którego nie miała szansy zaznać w niebie. - Mary po raz ostatni powiodła wzrokiem po rzeźbie kobiety o sercu zimnym jak kamień, który ją teraz otaczał. - Chodźmy, John, dość już się napatrzyłam.

Gdy ponownie stanęli na zalanych słońcem schodach przed kościołem, Mary była bliska płaczu.

- Ukochana... - John objął żonę, aby ją pocieszyć. - Niepotrzebnie tutaj przyszliśmy, tylko się zdenerwowałam.

- Przeciwnie, cieszę się, że zdecydowaliśmy się odwiedzić grób Izabelli. - Po policzkach Mary popłynęły łzy. - Teraz lepiej niż kiedykolwiek rozumiem, jak bardzo cię kocham. To dla mnie ważniejsze niż wszystko na świecie. Uśmiechnął się lekko.

- Ważniejsze niż obrazy? Niż skarb, zapewne niszczący w starym grobowcu?

- Ważniejsze - potwierdziła. - Nieskończenie ważniejsze.

- Ważniejsze niż przygoda?

- Nie. - Uśmiechnęła się szeroko. - Ponieważ miłość do ciebie jest moją przygodą.

John roześmiał się i pocałował ją w usta. - Zatem ruszajmy, Mary - zaproponował. - Stoimy u progu przygody życia.